

MAY GRETHE LERUM

CZAS ZARAŻY

Cykl Córy Życia 27

Z norweskiego przełożyła Anna Marciniakówna

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Vildegard w Lyster, przed dniem świętego Jana 1756

Skończył się lokalny ting, był początek lata, zaledwie trzy dni przed świętym Janem. W jasne noce widywało się teraz niespokojnych, biegających po okolicy młodych mężczyzn. Nie wszystkie panny wyszły już z inwentarzem na górskie pastwiska i nie wszyscy ojcowie z równą zaciekłością strzegli wejścia na strychy lamusów, gdzie zwykle sypiały niezamężne dziewczyny. Gadano nawet, że pastor Cimber, który surowo i nader twardą ręką od ponad dwóch lat rządził tutejszą parafią, bywał, w niezbyt trzeźwym stanie, widywany w pobliżu panieńskich strychów w sąsiadujących z parafią gospodarstwach. Wprawdzie pastor niedługo skończy pięćdziesiąt lat, ale włóczył się po świecie jako kapelan okrętowy i jakoś nigdy nie znalazł sobie żony. Ale panny, które w takie noce leżą pięknie wystrojone i czekają na odgłos kamienia stukającego w ścianę lub drapania młodzieńczej dłoni w drewniany węgiel, nie bardzo by się ucieszyły właśnie z jego wizyty.

Reina Ravisdatter Vildegard nie myślała jeszcze o takich sprawach.

W ciągu tych dziewięciu lat, które przeżyła, zdążyła się wielokrotnie przekonać, że równi jej wiekiem chłopcy nie są najciekawszymi towarzyszami zabaw. Oni by tylko wykopywali robaki i siedzieli z wędką na brzegu albo biegali jak wariaci i z patykiem w dłoni toczyli przed sobą obręcz beczki po twardej drodze. Pocili się, wrzeszczeli i hałasowali, ale Reina niczego zabawnego w tym nie dostrzegą.

Zresztą chyba i tak już wyrosła z dziecięcych zabaw. Na szczęście jej starszy brat też miał to za sobą, więc przynajmniej z tej strony nie musiała się obawiać zaczepek ani żadnych niewczesnych pomysłów. Brat był taki sam jak ona, też najbardziej ze wszystkiego lubił siedzieć w pokoju mamy i czytać książki, których tam było mnóstwo. Kiedy Reina skończyła sześć lat, mama z powagą oświadczyła, że zacznie ją uczyć sztuki czytania. Zajęło im to tylko jedną zimę, zaraz potem dziewczynka nauczyła się po duńsku, co sprawiało jej wielką przyjemność. Pismo niemieckie i łacińskie tak naprawdę zaczęło ją interesować dopiero ostatnio. Pod tym względem Benjamin bardzo ją wyprzedzał, on w jej wieku miał już za sobą cały katechizm i piękne książki pana Linneusza na temat roślin. Ale też on jest od Reiny o całe trzy lata starszy, a poza tym jest, oczywiście, o wiele mądrzejszy.

Ostrożnie zeszła w dół na drogę, przeniknął ją dreszcz, gdy znalazła się w miejscu, w którym kiedyś wywrócił się powóz wiozący orszak ślubny. Jej ukochani rodzice też siedzieli w tym powozie razem z prababcią Marją, beznadziejnym panem Remmermannem, dziadkiem Bendikiem i Heleną. To właśnie oni, Bendik i Helena, mieli brać ślub. No i zdarzył się taki okropny wypadek, odpadło koło od powozu, i wszyscy razem stoczyli się na łeb na szyję z wysokiej skarpy w stronę rozpadliny przy korycie rzeki. Na szczęście przygoda dobrze się skończyła. Tylko mamie została blizna nad okiem, brew jest stale lekko uniesiona, co sprawia, że mama, kiedy się zamyśli, przypomina ptaka.

Na drodze do wsi kościelnej Reina nie spotkała nikogo. Spokojnie przeszła obok dużych zagród na równinie i wyminęła wielki dąb, bardzo stary, pełen dziupli i kryjówek. Prababcia Marja mówiła, że to drzewo szczęścia. Należy wpełznąć do jednej z dziupli i myśleć o tym, czego się bardzo chce. Można być pewnym, że w swoim czasie życzenie się spełni.

Reina zawsze pragnęła jednego: żeby ktoś wymyślił lekarstwo na wszystkie choroby, tak żeby ludzie byli zdrowi. Reina bowiem od wczesnego dzieciństwa pomagała mamie w izbie chorych i wiedziała więcej o ludzkich bólach i cierpieniach niż dzieci najbiedniejszego komornika. Najbardziej chorym nawet mama nie umiała

pomóc. I ci musieli umierać. Albo na przykład tracili nogę i do końca życia musieli skakać na jednej, podpierając się kijem, i żebrać o jedzenie, bo nie mogli pracować. Nawet małe dzieci pluły krwią, robiły się coraz bardziej żółte, ich skóra stawała się przezroczysta i nie pomagały im ani napary mamy, ani kosztowne lekarstwa z apteki w Kopenhadze.

Ale pewnego dnia jej marzenie zostanie spełnione, nigdy nie przestawała w to wierzyć. Kiedy pytała o to tatę, on też kiwał głową i mówił, że owszem, teraz jest tyle mądrych kobiet i mężczyzn, zajmujących się tymi sprawami, że z pewnością zagadka zostanie rozwiązana. Czasy się zmieniają, dziś nikt już prawie nie wierzy, że ludzie chorują dlatego, bo wstępuje w nich zły duch lub siła nieczysta. Ich wychudłym ciałom też pomaga się coraz lepiej. Łatwiej je wyreperować, chociaż, oczywiście nie tak łatwo, jak cieśli wymienić zbutwiałą belkę w domu, czy też kowalowi, kiedy naprawia złamaną podkowę.

O tych wszystkich sprawach można czytać w książkach. Można się też nauczyć o wiele więcej, na przykład tego, że Ziemia jest kulą i że nikt z niej nie spada dlatego, że ona się bardzo szybko obraca. W to akurat stara Asta nijak nie chce uwierzyć, ale kiedy Reina pokazała jej obrazek w pięknym atlasie, służąca wbiła swoje pokrzywione reumatyzmem palce w ławę i błagała Boga, żeby jej nie strącał do otchłani...

Dziwna historia z tymi książkami. Nawet nauczyciel nie zna spraw, o jakich ona już czytała na długo przed tym, zanim zaczęła chodzić do szkoły. No, ale jest tyle innych ciekawych rzeczy, którymi można sobie wypełniać dni, zwłaszcza latem.

Reina musiała się uśmiechnąć, kiedy tak wędrowała sama w stronę Dosen.

Reina bowiem kryje w sercu tajemnicę.

I jest to znacznie ważniejsza tajemnica niż te, z którymi tak się obnosiła Ingalill, kiedy ostatniej niedzieli przyjechała do nich z wizytą. W gruncie rzeczy to Reinie trochę żal Ingalill. Jest jej siostrą, ale nie może mieszkać u ich kochanego taty. Ingalill mieszka u dziadka Bendika, który ożenił się z jej matką, Heleną. Helena ma najbardziej rude włosy, jakie Reina kiedykolwiek widziała, i prawie zawsze nosi je rozpuszczone, jakby była młodą dziewczyną albo co. Bendik jest bardzo kochany, zawsze trzyma w kieszeni coś pysznego. Ostatnio jednak Bendik jest bardzo zajęty, a rodzynek i lodowego cukru jest już mniej, kiedy muszą się nim dzielić wszystkie dzieci: Ingalill i Benjamin, bliźniaki Levord i Engebret, no i Reina. Lepiej bywało, zanim bliźniaki dorosły. Reina jak przez mgłę przypomina sobie, kiedy chłopcy się

urodzili, ona miała wtedy trzy lata. Teraz skończyli już po sześć lat, ale wciąż są okropnie dziecinni. Miała nadzieję, że niedługo wszyscy, razem z tą zarozumiałą starszą siostrą, wrócą do Meisterplassen. Z takiej siostry jak Ingalill to naprawdę niewielki pożytek. Ale jej włosy są najdłuższe na świecie, to trzeba przyznać. Z rudawymi pasmami, które odziedziczyła po matce. Uff, ona w ogóle jest za ładna, westchnęła Reina, pociągając swoje ciemnobrązowe loki.

Tata nie chciał odpowiedzieć, kiedy zapytała, którą z córek uważa za ładniejszą. Kiedy jednak zapytała, która jest bardziej do niego podobna, to roześmiał się i ucałował ją mocno.

- Ty, moja mała Reino. Wszyscy to widzą.

W gruncie rzeczy odpowiedział też i na pierwsze pytanie, myślała Reina. Bo nikt na całym świecie nie jest taki urodziwy jak jej tata. Włosy ma czarne jak krucze pióra, w dodatku rzadko je strzyże. Reina uwielbia bawić się nimi, nawijać sobie loki taty na palce, gładzić tę lśniącą grzywę, która jest mięciutka, a jednocześnie dziwnie szorstka. Od czasu do czasu tata pozwala, by usiadła za nim i zaplatała mu długie warkocze. Wtedy jednak mama robi surową minę: - Ludzie wezmą cię na języki, Ravi, jeśli się w takiej fryzurze pokażesz na wsi. Potraktują cię jak jakiegoś włóczęgę lub wyrostka, chociaż masz już co najmniej troje dzieci.

Na szczęście śmiała się przy tym, a śmiech mamy jest dźwięczny niczym śpiew albo szmer wiosennego strumyka. Nie zawsze jednak bywa taka wesoła. Mama ciężko pracuje, wstaje najwcześniej ze wszystkich.

Reina zwolniła kroku. Było już naprawdę zbyt późno, żeby małe dzieci wybierały się bez pozwolenia do Dosen. Z izby gospody słychać szum ludzkich głosów, Dominikus stał w drzwiach, sam jeden dźwigał ciężki antałek piwa.

Dziewczynka bardzo uważnie rozejrzała się wokół i znalazła kryjówkę za wysokim słupem. Tutaj mogła spokojnie siedzieć i obserwować ludzi kręcących się koło karczmy, placu tingowego i pomostu.

Jest bowiem jedna rzecz, którą Reina lubi bardziej nawet niż czytanie książek, Reina uwielbia odczytywać ludzkie twarze.

Zeszli z gór i rozłożyli się obozem wysoko w Dalsdalen, w sporej odległości od najwyżej położonych zagród. Nie było stąd daleko do wsi kościelnej. W ciągu jednego dnia zresztą mogli dotrzeć do wielu wsi. A gdyby udało im się zdobyć łódź, mogliby sprzedawać swoje towary w Marifjaren, w Solvorm, a nawet w daleko położonej Kinsedalen aż do Gaupne.

Mówili o sobie: lud wędrowny, a wśród najstarszych znajdowali się tacy, którzy już kiedyś odwiedzili Lyster. Handlowali końmi oraz ozdobami ze srebra i brązu. Kobiety tkwały piękne narzuty z nici wełnianych i jedwabne chustki, sprzedawały je wiejskim gospodyniom, którym niezbyt często nadarzała się okazja nabywania takich pięknych rzeczy. Dla służących i parobków miały tańsze krajki i przepaski do włosów z farbowanej wełny. Mężczyźni przynosili skrzynie pełne noży, wyrabiali misy i naczynia z twardych, starych korzeni. Robili metalowe dzbany do piwa i wyplatali koszyki z wierzbowych witek. A gdy chcieli, to nie było takiego, kto by się z nimi mógł zmierzyć na rękę albo dorównać im w robocie. Prawdziwe konie robocze, czarnowłosi siłacze. Potrafi taki w ciągu dnia oczyścić z gładów i kamieni parę akrów ziemi, a w dodatku używa swoich koni. Toteż ich zarobki są zwykle bardzo dobre, biorą nierzadko pięć zwyczajnych dniówek, które dochodzą przeważnie do ośmiu szylingów. Wprowadzone przed dwoma laty nowe prawo nakazuje każdemu dziecku komornika, które ukończyło szesnaście lat życia, szukać całorocznej służby. Bardzo to pogorszyło warunki dla takich, którzy woleli przez pół roku pracować na dniówki, co dawało im dochody znacznie przewyższające zapłatę za roczną służbę.

Przybycie obcych do Lyster było niczym iskra, która padła na beczkę prochu, do eksplozji doszło zaraz pierwszego wieczoru.

Reina nie zdawała sobie sprawy z tego, czego jest świadkiem, dopóki ponad wsią nie rozległo się wołanie:

- Hołota! Hołota nadchodzi! Chrońcie dobytek i kobiety, zamykajcie drzwi domów!

To Johan Kroken pierwszy zauważył cygański tabor, który niemal tuż po śladach Reiny zbliżał się do parafii. Dziewczynka w swojej kryjówce odwróciła głowę, spojrzała tam, gdzie pokazywał dobrze podpity mężczyzna, i jęknęła. Takich ludzi chyba jeszcze nigdy we wsi nie widziano! Mężczyźni o śniadych twarzach nosili duże wąsy, a na głowach czerwone i zielone chustki, jak kobiety. Na nogach mieli ciężkie buciory na drewnianych podeszwach, podkuwane żelazem. Zwróciła uwagę na spodnie, dużo szersze niż noszą zwyczajni mężczyźni, u kamizelek mieli dla ozdoby poprząszone błyszczące monety. Na szyjach wiązali kolorowe szaliki.

Zdaniem Reiny wyglądali wspaniale.

Wielu z nich jednak zaplatało włosy w długie warkocze, więc mama by pewnie krzywiła nos i wyrażała się o nich lekceważąco.

- Nie chcę w domu żadnych obieżyświatów, nie! Ani w szpitalu! Johanna

oparła dłonie na biodrach i wpatrywała się w trzy obce kobiety, które cofały się niepewnie. Jedna była właściwie jeszcze dziewczynką, niewysoka i drobna, ale z chmurą włosów spływających na plecy. Ubrane były przyzwoicie, w szare spódnice i równie szare koszule. Johanna uważała jednak, że ich brudne ręce i podzwaniające ozdoby nie pasują do cichych, przestronnych izb szpitalika.

- Ale szanowna pani, my jesteśmy robotne. Możemy pracować i ścierać łóżka, czyścić piec i polerować srebro tak, że będzie błyszczeć bardziej niż niebo.

- Dziękuję - powtarzała Johanna, próbując zamknąć drzwi. Wtedy najstarsza wsunęła stopę między drzwi i próg, Johanna z drżeniem zauważyła, że Cyganka ma przy tej stopie tylko jeden palec, duży. Skóra była pokryta bliznami jak po głębokim odmrożeniu.

- Piękna pani... na Boga... w imię Jezusa, daj nam pracę na dzień lub cztery... mamy dzieci, one chcą jeść.

Reina stała nieruchomo ukryta za spódnicą matki. Z całych sił powtarzała w duchu: mamó, powiedz „tak”! Bo one mają takie obce twarze, chciałabym z nich wyczytać, co tylko można.

Johanna usłyszała, że jakimś jakby nie swoim głosem odpowiada coś kobietom, po czym one weszły do środka, podzwaniając ozdobami, ich białe stopy zostawiały ślady na czystej podłodze. Reina ukloniła się pięknie i powiedziała, że zaprowadzi je do kuchni, którą właśnie najstarsza służąca postanowiła wyszorować od sufitu do podłogi.

Najmłodszą Johanna zabrała ze sobą, pewnie dość się zmęczy, pomagając przy wiązaniu i cięciu na kawałki suchych ziół. Przed świętym Janem trzeba zebrać możliwie jak najwięcej pachnących roślin. Poza tym młoda Cyganka będzie w łaźni pilnować ognia, palono go teraz dzień i noc, żeby rozłożone na półkach zioła dobrze schły. U sufitu gęsto wisały pęczki i wieńce dziurawca i skrzypu polnego, pięknie pachnącej lawendy oraz od niedawna w Lyster zaprowadzonych róż o czerwonych kwiatach. Johanna wiele na ich temat czytała i cieszyła się, że będzie mogła wypróbować działanie. Potrzebowała zwłaszcza lekarstwa na kaszel i na suchoty.

- Jak ci na imię? Młoda kobieta spuściła wzrok.

- Andżelika. Johanna uśmiechnęła się blade.

- To... bardzo ładnie. Cyganka, słysząc życzliwe słowo, odważyła się spojrzeć jej w oczy.

- Wszyscy mamy imiona od kwiatów, wszyscy jak jeden. My... sześć siostr... i

brat. Ale teraz zostałam tylko ja.

Johanna skinęła głową, nie powiedziała nic więcej.

Cygańskie tabory zawsze wlokły za sobą gromadę dzieci, ale kiedy policzyć dorosłe pary, to okazywało się, że na każdą przypada nie więcej niż dwoje lub troje. Zimy odbierały życie wielu maleństwom, nawet tym, które miały ciepłe domy i jasne izby dla ochrony przed chłodem. Ci ludzie, gdzie oni mieszkają? Widywała ich, jak przemierzają wsie w okresie lata, widziała obozowiska, zakładane na pustkowiach, otoczone wozami. Ale tutaj, aż do Dalsdalen, nigdy chyba jeszcze nie dotarli. Bóg jeden wie, skąd przychodzili. Jeśli jednak Johanna dobrze zna pastora Cimbera, to długo tu nie zabawią. Może więc nie zaszkodzi dać im zarobić chociaż parę szylingów czy beczułkę solonych śledzi. Z wyjątkiem najstarszej Cyganki wszystkie są chude jak ryby na wiosnę.

Słyszała, że tamte rozmawiają w kuchni. Dziwnym, śpiewnym językiem, z mnóstwem śmiechu pomiędzy poszczególnymi zdaniem. Mieszał się z nim śmiech Reiny.

Johanna zwróciła się znowu do dziewczyny i podała jej sierp podobny do księżycy.

Krzew miał ciernie i Johanna pokazała dziewczynie, jak powinna owinąć sobie rękę chustką, zanim ujmie gałąź. Cyganka posługiwała się jednak narzędziem bardzo niezdarnie i zanim nacięła gałęzi, zraniła się paskudnie w udo.

- Oni mają się stąd wynosić! I to natychmiast, zanim spadnie na nas więcej nieszczęść!

- Nieszczęść? O ile wiem, to nic się jeszcze nikomu nie stało - mruknął lensman.

Niewielka delegacja stała przy jego drzwiach, wymachując rękami, lensman jednak siedział i spokojnie jadł wieczorną kaszę. Jego żona zastygła bez ruchu pod ścianą z garnkiem w ręce. Przybyłych niczym nie częstowano. Lensman nie lubił takiego późnego pukania do drzwi, a jeszcze bardziej nie lubił awantur takich jak ta. Ci ludzie... mieli noże świeżo wyostrzone i długie takie, że...

Wolno przełknął kaszę i popił. Potem wbił spojrzenie w przywódcę delegacji, niedużego dzierzawcę z Njos.

- Porozmawiam z nimi. Myślę jednak, że zrobilibyśmy najlepiej, zostawiając ich w spokoju. Zabiorą się stąd sami, zanim tydzień dobiegnie końca. Ci ludzie nigdzie dłużej miejsca nie zagrzeją, zaraz pojedą dalej. Czego wy się właściwie

boicie?

Wśród przybyłych znajdowała się kobieta. Teraz ona zabrała głos.

- Lensmanie, zaraz wam powiemy, czego się boimy! My, którzy znamy tę bandę! Kiedy jeszcze byłam panną w domu mojego ojca, też przyjechał taki tabor i wynajęli naszą starą stodołę. Tej jesieni nieszczęścia sypały się na nas jak grad. Najpierw dwie krowy spadły z górskiego urwiska. W ziarnie zaległy się szczury. A moja dobra stara babka... umarła w męczarniach po tym, jak jedno z nich spojrzało na nią złym wzrokiem...

Lensman poczuł, że kasza jest dziwnie słona, zirytowany odsunął od siebie miskę. Kobieta dodała:

- Jedno musisz wiedzieć, lensmanie: jeśli coś takiego miałoby się powtórzyć... to oskarżymy cię przed tingiem. A wtedy... pożegnaj się ze swoją urzędową kurtką!

Mimo powagi sprawy niektórzy członkowie delegacji chichotali, słuchając pyskatej baby. Ale przewodniczący był mroczny i uparty.

- Ona ma rację, lensmanie. Żądamy, żeby ta banda wyniosła się z naszej ziemi. I wiemy też, że stoi za tobą prawo. Takie włóczęgostwo nie jest zgodne z wolą króla!

Lensman wstał, z hałasem odsunął krzesło, mamrotał coś pod nosem.

Ludzie mają rację, to jego obowiązek. Ale nawet jeśli członkowie delegacji są przestraszeni i rozzłoszczeni, to z pewnością wielu ludzi w Lyster potrzebuje usług, jakie proponują Cyganie. Ba, wielu nie poskąpi jedzenia i napitku, byle dowiedzieć się, co słychać w szerokim świecie, a ci wędrowni ludzie wiedzą wiele, znają różne tajemnice. Zaś ich kobiety potrafią tańczyć! O, tak, niejedna karczma została przewrócona do góry nogami, gdy one ruszyły w tan.

Mężczyźni też są zdolni. Wpuść takiego do kuźni, to będzie tam pracował za trzech. To naprawdę niezwykle, jak ci wędrowcy potrafią opanować takie osiadłe w gruncie rzeczy rzemiosło jak kowalstwo.

Z rozpalonym kawałkiem żelaza w obcęgach byli niczym górskie trolle.

A lensman też potrzebuje i okuć, i narzędzi, nowych obręczy do beczek, a może nawet nowego pługa na jesienne podorywki.

- Zobaczymy - powiedział krótko do delegacji. - Pójdę do nich, ale nie wygonię ich ze wsi, dopóki nikt nie wniesie konkretnej skargi. Bo, o ile wiem, to na razie nic takiego się nie stało?

Lensman potrafił tak spojrzeć na człowieka, że widziało się w jego oczach lodowiec z Jostedal. Jego długie ręce zdawały się bezradne i słabe. Ale innego

lensmana nie mieli, więc wszystko, co mogli jeszcze zrobić, to zamknąć za sobą drzwi, które właśnie przed nimi otworzył.

- Co ty mówisz? Jak to byk się wściekł? Kobieta kiwała głową, zwijając nerwowo palcami rąbek fartucha.

- No wściekł się. Stoi teraz przywiązany do drzewa, na obu przednich nogach ma ciężkie łańcuchy, grube kółko w nosie. Cały łeb pokryty czarną pianą, a ryczy jak diabeł w piekle.

Johanna poczuła na plecach zimny dreszcz. Stojąca przed nią komornica była żoną kulawego Fredę, który nie był już w stanie pracować ani wypełniać swoich komorniczych obowiązków. Parę lat temu gospodarz polecił mu naprawić dach, ale nie dał żadnego zabezpieczenia, liny ani niczego, Fredę spadł i doznał skomplikowanego złamania nogi. Od tamtej pory chodził o kulach. Jako zadośćuczynienie za kalectwo dostał od gospodarza tego właśnie byka i dzięki niemu jakoś się oboje z żoną utrzymywali. Nie mieli dzieci, a byk był sławny na całą okolicę, wszyscy przyprowadzali do niego swoje krowy, więc Fredemu starczało i na chleb, i na sól. Kobieta szlochała głośno.

- Co z nami będzie, jak stary Nils nas opuści? Jak zdobędziemy strawę? Nie będziemy w stanie za nic zapłacić, jakby do tego doszło. Nieszczęsny Fredę, on może tylko nosić bicz, żeby poganiać byka, nie nadaje się do żadnej roboty... A ja... ja też jestem za stara i za słaba, mogę co najwyżej wynająć się do jakiejś przepierki...

- No, no, nie powinnaś patrzeć tak czarno na sprawy. Może zwierzę stało na słońcu, w upale? Często może być od tego takie chore, że toczy pianę z pyska. Ale ja mam na to radę... chodź, pójdę z tobą.

Kobieta ucichła, ocierała rękawem zapłakaną twarz. Ale pozbawione koloru wargi drżały niczym u dziecka.

- Och, pani Johanno, okaże nam pani tyle łaski? Och, dziękuję, dziękuję, niech panią Bóg błogosławi!

Johanna włożyła do torby jakieś butelki i słoiczki, potem ujęła komornicę pod rękę. Nie miały daleko, ale stara była taka roztrzęsiona, że Johanna zawołała do parobka, by zaprzągnął konia do dwukółki. Uspokajała komornicę:

- Nie martw się. Na pewno sobie z tym poradzimy. Wasz byk jest młody i silny, nie mogę uwierzyć, żeby tak ni z tego, ni z owego śmiertelnie zachorował. Jesteś pewna, że Fredę nie zapomniał go napoić?

Tamta składała ręce i kiwała bez słowa głową.

- To może go jakiś giez ukąsił albo szerszeń? A może nadepnął na węża?
Kiedyś jedna z naszych krów tak zrobiła, wąż ją ukąsił, o mało nie oszalała. Trwało to mniej więcej dobę i potem doszła do siebie, urodziła piękne cielę.

Nareszcie stara kobieta się uśmiechnęła. Johanna popędzała kobyłkę ciągnącą powozik. Kiedy dotarły na miejsce, byk był już martwy i sztywny. Fredę zdążył podciąć mu gardło i wydobyć serce.

- Przeklęta hołota! Diabelskie sługi! Zabili mojego byka, odebrali mi, co miałem najdroższego!

Nie wiadomo, czy to widok zakrwawionego zwierzęcia sprawił, czy też rozpaczliwe przekleństwa męża, dość że jego żona padła na ziemię i krzyczała, jakby jej się rozum pomieszał. Johannie przybyła kolejna pacjentka do izby chorych, a jako zapłatę za fatygę dostała kawał krwistego wołowego mięsa.

W jakiś czas potem Ravi głaskał drobną staruszkę po włosach i poił ją mieszanką kwaśnego mleka i wody, żeby zabić gorzki smak ziołowej herbaty, którą Johanna w nią wmusiła. Wkrótce biedaczka zasnęła. Służące już dawno poszły spać. W tę jasną noc początku lata światło dnia odbijało się jeszcze w szybach okien, Johanna czuła jednak, że ponura ciemność czai się po kątach.

- Jak to wszystko się skończy? - zapytała z lękiem, kiedy nareszcie oboje znaleźli się pod cienką kołdrą w swoim małym alkierzyku.

Ręce Ravięgo dotykały jej pleców delikatnie niczym skrzydła małego ptaka.

- Nie wiem - odparł ochryple.

- Boję się - szepnęła Johanna. - Boję się, że dojdzie do jakiejś awantury...

- Myślę, że tak - przyznał Ravi cicho. Ciało Johanny pokryło się gęsią skórką, włoski na rękach zjeżyły się.

- Dlaczego oni tu przychodzą? Ludzie są przerażeni. A lensman nie chce nic zrobić... widocznie sam też jest pełen obaw. A teraz po tym...

Ravi nie znajdował odpowiedzi. Johanna leżała przez jakiś czas zamyślona.

- Nie wolno Reiny spuszczać z oczu. I trzeba pilnować, żeby drzwi były zawsze dobrze zamknięte.

Wolno skinął głową w ciemnościach. Prawie czuła, że jego myśli płyną wysoko. Z lękiem złapała go za rękę. Była gorąca.

- Bardzo tego nie lubię... Teraz nareszcie odpowiedział:

- Ja też nie, moja kochana. Westchnęła i wtuliła twarz w jego nagą klatkę piersiową.

- Obejmij mnie. Mocno...

Opasał ją ramionami, jakby wznosił wokół niej mur. Johanna zamknęła oczy i skupiła całą uwagę na wyczuwaniu jego siły, wsłuchiwaniu się w rytmiczne, dalekie uderzenia jego serca.

Delikatnie całował jej twarz, gładził włosy, które na noc zaplotła w ciężkie warkocze. Bardzo ostrożnie dotknął wargami jej ust, poczuł lekko kwaśny smak i zapach przypominający silną woń ziół, który zawsze otaczał jego Johannę.

Krew w obu ciałach zaczęła szybciej krążyć, obudziła się w nich tęsknota, żeby spotkać się poza wszelkimi zmartwieniami i obowiązkami. Ravi wciąż posiadał zdolność budzenia jej samą swoją bliskością, delikatnymi pieściami składał wszystko w jej ręce, a ona szukała jeszcze i jeszcze...

Pozwoliła, by podniósł ją na łóżku ponad sobą, oparła kolana o twarde materac, obejmowała go mocno, okrywała własnym ciałem. Poczwała, że warkocze się rozplatają, wspomagane przez zręczne palce Ravięgo. Włosy spływały jej na plecy, ukrywały nagość. Ravi patrzył na nią, choć oczy miał przymknięte. Wiedziała, że ją widzi, i to podniecało ją jeszcze bardziej. Uśmiechała się w ciemności, mrugała, udało jej się zobaczyć jego twarz w bladej poświacie płynącej z otworu w dachu.

W pokoju zrobiło się bardzo gorąco, nie było to ciepło płynące ze ścian po upalnym dniu, lecz takie, które promieniuje z dwojga napiętych ciał. To ciepło wypływało ze wszystkich porów skóry Johanny. Ravi przyciskał ją mocno do siebie, ona jednak wiedziała, że mogliby zbliżyć się jeszcze bardziej, przysunąć się jeszcze bliżej. Już ona potrafi usunąć tę zasłonę, która zawsze go otacza niczym niewidzialne ubranie.

Dziś wieczorem nie było to potrzebne, Ravi sam usunął wszelkie przeszkody, a w chwili, kiedy oboje poczuli, że ciała prężą się i zamierają tak, że przypomina to śmierć, ale jest właśnie najpiękniejszym dowodem życia, otworzył oczy i popatrzył na nią z wielką czułością.

Przywarła do niego, chwyciła go za ramiona, poczuła jego ręce na swoich biodrach, trzymał ją mocno, jakby nie miał jej wypuścić przez tysiące lat.

Trwali tak długo, nie rozluźnili uścisków nawet wówczas, gdy ciała zwiotczały i drżały lekko spocone. Palce Ravięgo zostawiły ślady na jej bladej skórze. Ból jego uścisku był największą słodyczą, jaką znała. Było przecież w jej życiu tyle nocy, kiedy wbijała sobie paznokcie w skórę z rozpaczą, że jego przy niej nie ma, i z bólu, że niebawem zacznie się nowy dzień bez niego. To się już nie może powtórzyć, nic

takiego nie stało się ani razu od chwili, kiedy dostali od pastora papiery stwierdzające, że zawarli w obliczu Boga prawdziwe małżeństwo. No i od czasu, kiedy Bóg ich pobłogosławił i urodziła się Reina o niepokornym charakterze i obdarzona nazbyt mądrymi oczami.

Ravi poruszył się pod nią, ale przesunął tylko ręce z bioder na talię. A ona nie chciała, żeby drgnął choćby jeden jej mięsień, nie chciała wypuścić Ravięgo z objęć, tuliła się do niego, spoczywała na nim całym swym ciężarem, dopóki nie nadszedł sen i nie rozdzielił ich.

ROZDZIAŁ DRUGI

Nigdy nie mogła zrozumieć Heleny. Lata mijały i otaczały oczy obu kobiet kurzymi łapkami, ale nawet gdyby żyły setki lat i tkwiły obok siebie niczym dwie stare, na pół uschłe sosny, Johanna nie mogłaby z czystym sumieniem powiedzieć, że zna tę kobietę.

Zdawało jej się, że wiedziała, kim Helena jest, kiedy przyszła obca do Vildegard i oznajmiła, że nosi dziecko Ravięgo i że to on kazał jej szukać opieki u swojej żony.

Uparta i bezwstydną ładacznica.

Albo kiedy zrozpaczona szlochała przed Johanna i błagała, żeby jej oddać dziecko.

Słaba, niedojrzała dziewczyna.

Kiedy siedziała za stołem Bendika i trzymała go za rękę - wtedy bliźniaki były już na świecie i Helena dała im imiona po swojej rodzinie.

Dumna i znająca własną wartość kobieta.

Kiedy w nocy po chrzcinach chłopców przyszła do Johanny i chciała rozmawiać o wszystkim, co je dzieli. Wtedy otworzyła przed Johanna serce i prosiła o radę, co zrobić z córką, która nikogo nie chciała słuchać.

Zrozpaczona matka, kobieta, która zbyt mocno prostowała kark i za bardzo zadzierała nosa. Na razie.

Po tym wszystkim Johanna, wbrew własnej woli, zaczęła dostrzegać różne inne cechy u Heleny, zwracała uwagę na drobne wydarzenia, z których w końcu, niczym z małych paciorków, złożyło się coś, co mogło być przyjaźnią. Doszło do tego, że pewnego wieczoru Bendik ucałował je obie i miał w oczach łzy wdzięczności, kiedy zobaczył, że śmieją się serdecznie nad miską grochu, który

przebierały.

Krok po kroku Johanna ustępowała.

Po owym nieszczęsnym dniu ślubu sprzed wielu lat musiała przyznać, że Helena ma w sobie ciepło. Nikt zresztą nie mógłby już temu zaprzeczyć. Wydorosłała, zrobiła się nieco tęższa, wyprostowana teraz postać zdawała się wyższa. I jakby jednocześnie rozrastało się też coś w niej, jakby otwierała się na światło i miała odwagę stanąć bezbronna przed światem.

Johanna wiedziała, że to jej rodzony ojciec jest twórcą tego cudu. Nie odmawiała mu zwycięstwa, nawet jeśli jej własna przegrana piekła jeszcze boleśniej w chwilach samotności. Chciała zmusić go, żeby wybierał, w końcu jednak była zadowolona, że uniknął tego kielicha goryczy, który przed nim stawiała.

Miała wrażenie, jakby to ona zajęła miejsce matki. To wstyd. Dużo większy, niż gdyby to samo zrobiła Helena.

Helena mogłaby być córką Bendika, jest przecież młodsza od Johanny. Jej historia była dość powszechnie znana w bliższej i dalszej okolicy, co dziwniejsze jednak, lata ją powoli zacierały, czyniły mało interesującą, nieważną. Johanna wiedziała, że Helena traktowana jest z niezbędnym respektem, nawet w Sogndal, gdzie starym zwyczajem ludzi z Meisterplassen nie przyjmowano w domach.

Była pracowitą, zapobiegliwą żoną, przygotowywała jedzenie, dbała o porządek w domu i gospodarstwie. Nie umiała szyć i pewnie nigdy nie miała do czynienia z warsztatem tkackim, przędła natomiast cienką, mocną włóczkę i nauczyła się robić na drutach.

Poza tym bawiła się z Ingalill jak rówieśnica i znakomicie radziła sobie z bliźniakami.

Trzeba było paru lat, żeby Johanna nareszcie to uznała, a jeszcze i teraz zdarzało się, że policzki jej płonęły, kiedy widziała, jak Helena zajmuje się malcami. Kochali ją bez zastrzeżeń i zawsze rozradowani biegli jej na spotkanie.

Ona sama nie miała w sobie tej łatwości kontaktu z dziećmi, w chwilach samotności modliła się o wybaczenie, bo często widziała, jak jej własny cień gasi spojrzenie Reiny. Benjamin nigdy się nie pokazywał w towarzystwie innych chłopców, najbardziej lubił siedzieć w samotności i czytać, albo niezauważony przez nikogo szedł do Oppdal, do samotnej chaty Karla Martina.

Johanna westchnęła ciężko, wolałaby, żeby to nie była niedziela.

Powinna by rozpaść ogień w łaźni. Pęki ziół leżały i traciły swoją moc,

podczas gdy świąteczny dzień tak strasznie wolno chylił się ku wieczorowi. W tym tygodniu nie odprawiano mszy w kościele w Dale, ludzie ze wsi poszli do Gaupne albo odpoczywali w bezczynności. Nikt z Vildegard do kościoła nie poszedł, Bendik i Helena bowiem mieli jutro rano wracać do domu, wyprawa do sąsiedniej wsi to w tej sytuacji zbyt wiele dla dzieci.

Johanna podała zimne niedzielne jedzenie, wszyscy zjedli, potem sprzątnięto. Wciąż jeszcze pozostawało bardzo wiele czasu do chwili, gdy zegar Karla uderzy sześć razy na znak, że czas karmić świnie, zamykać kury na noc i przygotowywać dom do snu.

Siedzieli wszyscy przy dużym stole w salonie.

Johanna splatała nerwowo palce, to wyglądała przez okno, to poprawiała obrus. Pogoda tego dnia była ciężka, powietrze stało gęste, że można je krajać. Spostrzegła, że biała koszula Raviego jest przepocona na plecach. Nie miała sumienia zwracać mu uwagi, że jest niedziela i że powinien mieć na sobie swój czerwony surdut.

Bendik czytał Biblię.

Helena ziewała.

Dzieci szeptały coś do siebie w kącie pokoju. W niedzielę nie wolno im było grać w żadne gry, ale dopóki dorośli nie zwracali uwagi, próbowały się zabawiać.

Ciężkie milczenie przerwała Ingalill.

- Chcę teraz ciasta! Hanna, obiecałaś nam ciasto i sok! Reina przyłączyła się do niej.

- Prosimy, mamó, bądź taka dobra... Powiedziałaś, że dostaniemy, jak będziemy grzeczni.

Helena kazała córce milczeć, ale Johanna podniosła się z miejsca, rada, że może nareszcie zniknąć w piwnicy.

Na dole ciężkie powietrze wydawało się jeszcze trudniejsze do zniesienia. Spojrzała na garnek z kwaśną śmietaną i wiedziała, że białozółta masa zbije się w maziste grudy, jeśli nadejdzie to, co wróży to gęste powietrze, czyli burza.

Zabrała śmietaną na górę, postawiła ją na stole obok pszennego ciasta i podplomyków. Dzieci jadły wszystko dużymi łyżkami, nie przejmując się dalekim grzmotem.

- Złe znaki! Czy nie to przepowiadaliśmy, lensmanie? Rób więc coś, dopóki jeszcze masz szansę! Jutro może być za późno! Nikt nie wie, jaka noc nas czeka!

Wysoki lensman wciągał głęboko powietrze. Teraz przyszło ich więcej, dużo więcej. Cały batalion ubranych na szaro chłopów, rozdygotanych jak gromada wróbli, tak samo nastroszonych i przemoczonych w gęstym deszczu. Burzowe chmury od popołudnia przewalały się nad górami i jeszcze teraz, w poniedziałkowy wieczór, słychać było dalekie grzmoty. Niektórzy myśleli, że burza będzie krążyć tu i tam, tak że kiedy nadejdzie noc świętojańska, znowu w górach pokażą się błyskawice.

- Sprowadź żołnierzy z Karlsgard. Jest tam jeszcze paru młodych mężczyzn, którzy nie złęką się walki! I sprowadź też pastora! Niech Cimber z tobą przyjdzie. On nam obiecał nakreślić znak krzyża nad wszystkimi, którzy zechcą dobrowolnie pójść, żeby przepędzić te zawszone psy!

Densman westchnął. Spojrzał żonie w oczy.

Ona wolno potrząsnęła głową, lęk sprawił, że jej wychudłe policzki zrobiły się białoszare.

- Nie odważę się - powiedział matowym głosem. - Moja żona... nosi syna pod sercem. A coś mi mówi, że ze mną mogłoby być tak samo jak z bykiem Fredego...

Chłopi spoglądali po sobie.

Najwyraźniej czas najwyższy, żeby zgłosić na tingu propozycję wybrania nowego lensmana. Pisarz nie może tego ocenić inaczej jak zaniedbanie obowiązków.

Gospodarz Severin Flatabo wystąpił przed zebranych i trzema czy czterema energicznymi szarpnięciami oderwał od kurtki lensmana srebrne guziki.

Znajdowało się na nich godło i królewska pieczęć.

Potem gromada wróbli opuściła zagrodę lensmana. Znowu wyszli na deszcz, wiatr przyginał niemal do ziemi korony drzew. Spadające krople były ciężkie niczym roztopiony ołów.

Ida drżącymi palcami przyszywała guziki. Zniecierpliwieni ludzie czekali na deszczu, nie mogli już być bardziej przemoczeni. Parobcy Magnusa wyprowadzali konie ze stajni, przynosili broń. Na dziedzińcu dosłownie się gotowało, zebrani podniecali się nawzajem, prześcigali w przekleństwach i wyzwiskach.

Świeżo wybrany, choć jeszcze tymczasowy lensman stał wśród nich i pozwalał się wychwalać.

Gromada przeszła od zagrody do zagrody, ale żaden gospodarz czy rzemieślnik nie chciał przyjąć srebrnych guzików, by, bez zatwierdzenia przez ting i radę, zostać nowym lensmanem tylko dlatego, że dawny nie chciał wypełnić swego obowiązku wobec ludzi i króla.

Ale Magnus Storlendet nie bał się garstki zawszonych włóczęgów.

Walczył już z ciemniejszymi mocami niż oni, i wygrywał.

- Pospiesz się, ty guzdrało! Przegonimy hołotę ze wsi, zanim wybije świętojańska północ.

Gospodarz Storlendet lubił dramatyczne efekty, a teraz ludzie zagrzewali go wrzaskami i wymachiwali zaciśniętymi dłońmi. Zebrali się przed nim najśmielsi mieszkańcy wsi, którzy w przyszłości będą wiedzieli, jak zainkasować podziękowania od tych, którzy dzisiejszego wieczoru zamknęli im drzwi przed nosem.

Nikt sobie nie zasłużył na to, żeby mu się po wsi włóczyła jakaś zgraja złodziei i czarownic.

Na dłuższą metę handel mógłby się okazać bardzo kosztowny, chociaż w skrzyniach tych umorusańców znajdują się bardzo pożądane towary.

Wszyscy jednak zdążyli się dowiedzieć, że przybysze mają złe oczy i że byk Fredego to tylko pierwsza ofiara. Taki sam los spotka każdego, kto się im narazi. I niczego nie zmienia fakt, że cena, jaką za byka proponowali, była wyjątkowo okragła. Bo po tym jak zwierzę padło, kupili w Teigen konia za cenę, którą przerażony gospodarz musiał przyjąć, a która była po prostu szyderstwem. Ale nie miał odwagi się targować.

No to dostanie konia z powrotem. Jeszcze tej nocy!

Włóczędzy dowiedzą się, że tutaj, w Lyster, takich spraw się nie toleruje! I że nawet jeśli większość mieszkańców wsi kryje się za zaryglowanymi drzwiami, to są tu jeszcze chłopi, którzy nie boją się żadnych uroków ani przekleństw.

W końcu guziki zostały przyszyte, a Ida w podzięce dostała solidnego kuksańca.

Zawsze jednak pociechą było to, że mały Arill przychodził do niej, tulił się, delikatnymi rączkami głaskał jej policzki i mówił do niej mamó.

Siostrzeniec był jej największym skarbem. Dla niego gotowa była znieść wiele. Już w chwili, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy, małą odrobinę, jeszcze zakrwawioną i nie umytą po urodzeniu, poczuła drgnienie w sercu z wielkiego żalu nad siostrą, ale też jakieś święte uczucie, że to maleństwo pochodzi z jej krwi. Że jest wszystkim, co zostanie po ich niegdyś takim żywotnym rodzie. Chętnie więc przyjęła propozycję Magnusa Storlendet, żeby poprowadziła mu gospodarstwo, chociaż wiedziała, że proponuje jej to z musu.

Zmusił Maren, żeby z nim żyła, dlatego że była biedna.

Ida zamieszkała tu z tego samego powodu, na szczęście nigdy nie musiała zapłacić tak wysokiej ceny jak siostra. W pierwsze noce zamykała swoją izdebkę na skobel, a kiedy to nie pomagało, któregoś wieczoru otworzyła, wpuściła go i powiedziała mu, co siostra wyznała jej na łożu śmierci. Przysięgła, że jeśli nie zostawi jej w spokoju, to pójdzie i powie o wszystkim pisarzowi.

Minęło wiele czasu, zanim ból z powodu straconego życia Maren w niej zelżał. Najbardziej bolało ją to, że siostra nigdy nie mogła jakoś wynagrodzić swego haniebnego czynu. Na szczęście nikt wtedy nie stracił życia. Zawsze jednak, kiedy widziała Johannę z Vildegard w kościele, patrzyła na jej uniesioną brew, przypominającą pióro ptaka. To Maren poszła wtedy do Vildegard jako wysłanniczka śmierci. Wyciągnęła zatyczkę utrzymującą na miejscu koło powozu po to, by zabić. Właśnie w dniu wesela ludzie w Vildegard mieli odczuć, że wróg nie śpi.

Wielokrotnie przyglądała się temu staremu dziadowi, którego musiała nazywać swoim gospodarzem, i zastanawiała się, gdzie też siedzi w nim ta nienawiść.

I nie raz też przysięgała sobie, że zrobi wszystko, by te mroczne uczucia, które położyły się cieniem na jego domu, nie oblepiły chłopca, nie zdławiły jego pogodnego usposobienia.

On był zupełnie inny.

Dostrzegła w nim podobieństwo do Maren, w miarę jak rósł coraz większe.

Chociaż miał wielkie dłonie Magnusa Storlendet i włosy tak samo ciemne jak starsi synowie tamtego. Ostatni, jaki został przy życiu, Edvard, był wysoki i chudy, podczas gdy Arill miał szerokie ramiona i wąskie biodra.

Widziała w nim również wspomnienie swojego ojca.

Ida postanowiła, że wytrwa.

Kiedy tłum opuścił dziedziniec, udając się w drogę, znowu zaczęło padać. Widziała, że jadą ścieżką, tamtędy wiodła najkrótsza droga przez zagajnik w stronę doliny.

Pochodnie gasły jedna po drugiej, niebo otworzyło się teraz i lunęło szarym deszczem na wieś i na fiord.

Czerwone dzwoneczki, arnika i leśne fiołki. Miała już szczaw i białe, pachnące zajęcze łapki. Brakuje jeszcze jednego i będzie mogła wrócić do domu. Czy odważy się włożyć kwiatki pod poduszkę? Czy to ma jakieś znaczenie, że zostały zebrane na polach należących do czterech gospodarzy, a nie do siedmiu? Powinna była pobiec do Solbakken i stamtąd przez wiejskie pastwisko do rzeki. To byłoby tak

jak powinno. Ale spadł deszcz, gęsty i zacinający, i Reina bardzo tęskniła do ciepłych pokoi w domu. Może zaczęli się tam już martwić, gdzie się podziała? Może Benjamin właśnie schodzi ze schodów i woła, że w jego pokoju Reiny nie ma.

Reina otuliła się szczelniej i przyspieszyła. Najbardziej lubiła chodzić bosą, chociaż miała kilka par butów w najlepszym gatunku. Matka często krzyczała na nią za tę chęć dotykania ziemi i trawy gołymi stopami, ale Reina wiedziała, że mama też, kiedy myśli, że nikt jej nie widzi, wymyka się na wieczorne spacerunki bez butów. A pewnego razu szła za mamą i tatą w letni wieczór i widziała, że nad rzeką za zaroślami wierzby rozebrali się oboje do naga...

Zrobiło jej się zimno na wspomnienie, ale mimo to uśmiechała się do siebie. Jej rodzice bardzo się nawzajem lubią. Bardziej niż inni znani jej rodzice. Mama udaje, że jest nieprzystępna i surowa, ale tak naprawdę to bardzo lubi się bawić. Reina wiedziała.

Może ona też kiedyś zbierała siedem kwiatów i myślała wtedy o tacie?

Nie, mama jest za poważna na takie rzeczy. Bo to przecież głupstwa i stare przesady. Nikt rozumny w to nie wierzy, sama Marja to mówiła, kiedy opowiadała o starych zwyczajach.

Reina chciała swoje kwiaty zanieść do prababci i poprosić, by wyjęła jedną z tych swoich kolorowych książek. Może są tam namalowane, może mają te długie trudne nazwy, choć to tylko zwyczajne i do niczego nieprzydatne arniki i fiołki?

Może więc mogłaby się czegoś nauczyć dzięki tej głupocie ze zbieraniem kwiatków w wieczór przed świętym Janem, myślała Reina, biegnąc dalej. Dziwne łaskotanie w żołądku dodawało szybkości jej nogom.

Koło płotu oddzielającego łąki od wiejskiego pastwiska zatrzymała się, żeby odetchnąć. Potem złapała mocno skrzypiący płot i skoczyła. Materiał sukni rozdarł się z głośnym trzaskiem, jedna stopa utkwiła między sztachetami i dziewczynka zawisła w górze. Im bardziej machała rękami i szamotała się, tym mocniej płot zdawał się ją trzymać. Wisiała zupełnie bezradna między niebem i ziemią z nosem przylepionym do zbutwiałego drewna. Płot się chwia. Reina szukała jakiegoś oparcia, ale została z ręką pełną drzazg, z jedną nogą wbity mocno między sztachety, a drugą wymachującą w powietrzu.

- Mamo! Ratunku!

Cienki wełniany materiał został utkany z włóczki Heleny, spódnica zaczepiona o płot nie puszczała.

Reina miotła się jak szalona, z oczu płynęły jej łzy, bolały otarcia na nodze i pokaleczona ręka, miała wrażenie, że w uwięzionej nodze kość zaraz pęknie.

- Ratunku! Niech mi ktoś pomoże! Deszcz padał na poranione członki, a im więcej się szarpała, by uwolnić stopę, tym bardziej ona więzła w płocie.

Tak właśnie wisiała, z głową w dół jak przybita do płotu, gdy nadszedł Arill, który skradał się za swoim ojcem i jego orszakiem. Chłopiec chciał zobaczyć, jak tamci będą się rozprawiać z obcymi.

- Ale, mamo, on był taki miły! I obiecał, że nie powie nikomu, że ja... no, że miałam spódnicę na głowie... och, to okropne!

Johanna, pobladła, przyglądała się swojej córce. Wiedziała, że powinna się cieszyć. Przecież dziecko mogło tam wisieć nie wiadomo jak długo, zanim ktoś by się pojawił. Zanim domownikom przyszłoby do głowy, że małej trzeba szukać. Nikt przecież nie zauważył, że wymyka się z domu w deszcz, dopóki sama nie przyszła rozdygotana niczym mokry kociak i nie pokazała skaleczonego nosa, sinej nogi i krwawiącej dłoni, pełnej małych skaleczeń.

Opatrzono ją czystymi szmatkami i odpowiednią maścią. Rany nie były głębokie. Potem dostała gorącego, słodkiego piwa i kazano jej opowiedzieć ze szczegółami, na jakiej to szalonej wyprawie była.

Johanna słuchała w milczeniu, musiała się uśmiechać nad całą tą dziewczynską historią. Któż to bowiem nie zbierał siedmiu kwiatów w świętojański wieczór? Zresztą Johanna nie wierzyła, że młodzi ludzie robią to z romantycznych powodów. Raczej są ciekawi, czy to działa. A ciekawości przecież sama ją uczyła...

Ale ten chłopak.

To mógł być tylko Arill ze Storlendet. Johanna nie znała we wsi nikogo innego o tym imieniu. Sama przypominała sobie jak przez mgłę tego ciemnowłosego chłopczyka, sprawiał bardzo niewinne wrażenie, kiedy siedział w kościele u boku swojej ciotki i ssał palec.

Ale w jego żyłach płynie niebezpieczna krew.

Przeklęta krew.

Johanna czuła, że wszystko się w niej burzy na myśl, iż jej mała, niewinna córeczka wisi na tym płocie, niczym ptak w sieci, zdana na łaskę syna gospodarza ze Storlendet.

Bogu dzięki nie zrobił jej nic złego.

Mała śmiała się i opowiadała jak zwykle, była tylko lekko zawstydzona, że ten

chłopiec widział ją, jak wisi z pupą wystawioną na deszcz.

Johanna spoglądała na Raviego, zastanawiała się, czy on też odczuwa ten niepokój co ona, słuchając pełnych zachwyty opowieści Reiny.

- Jutro pójde do niego z wielką torbą lodowego cukru. Wtedy on już na pewno nic nie powie Annie i Ingrid o tym beznadziejnym wydarzeniu.

Ravi chrząknął, Johanna szturchnęła go ostrzegawczo.

Nadszedł chyba czas, żeby Reina dowiedziała się jakiejś części tego, co rozgrywa się w świecie dorosłych, gdzie istnieją ludzie, których należy się wystrzegać, oraz ludzie, których absolutnie trzeba unikać.

Johanna spokojnie opowiedziała o wszystkim, co się stało, oczy Reiny robiły się coraz większe i coraz bardziej okrągłe, i zanim wszystko zostało jej wyjaśnione, płakała żałośnie.

- Biedna, biedna mama! I tatuś biedny! Jak oni mogli być tacy źli? Jak mogli zrobić coś takiego? Czy on naprawdę chciał zabić Benjamina?

Johanna kiwała ciężko głową. Całej prawdy o końcu Erlenda córka nigdy nie może się dowiedzieć. Musiała jednak wiedzieć tyle ile możliwe o wrogości tamtej rodziny. Tyle, by zawsze miała się na baczności i żeby już nigdy nie musiała się znaleźć na łasce kogoś z rodziny Storlendet.

- Teraz mamy spokój. Po tamtym nieszczęśliwym wypadku Magnus nas nie zaczepia. My wiemy, że on to zrobił, bo chciał zabić nas wszystkich. Wiemy, że jest szalony, bo się boi, że któregoś dnia zażądamy zwrotu Karlsgard.

Reina mrugała oszołomiona, była pewna, że zna swój świat. Zamek Marji, Vildegard. Szpital. Mały domek w lesie, gdzie tata maluje swoje obrazy. Domy komorników nad Ovrejordet, gdzie zawsze jest witana tak serdecznie. I wieś kościelną, i karczmę, nabrzeże, gdzie takie interesujące ładunki bywają niekiedy znoszone na ląd.

Nigdy nie zastanawiała się nad tym, dlaczego mama po nabożeństwie nie siada przy tym samym stole, co mieszkańcy Storlendet. Nigdy też nie pomyślała, dlaczego to tata nie bywa zapraszany do stołu, przy którym siedzą członkowie rady, której w ostatnich latach przewodniczył Magnus Storlendet.

Ale teraz już wie.

A skoro jest tak, jak rodzice mówią, to powinna sama opowiedzieć o swoim wypadku innym dzieciom. Żeby sobie Arill Storlendet nie myślał, że może jej kiedyś dokuczyć, wyjawiając, jak wisiała na płocie głową w dół, a wszyscy przechodnie

mogli ją oglądać.

Reina umilkła.

Johanna popatrzyła na Ravego i wolno skinęła głową.

Dziecko jest uparte, ale też rozsądne. Widocznie rozumiała wszystko i pogodziła się z tym, że świat to coś więcej niż rodzice dotychczas jej przedstawiali, czyli miejsce zamieszkane przez sympatycznych ludzi, którzy pragną tylko dobra i z którymi można szczerze rozmawiać. Że to, iż słyszy w szpitaliku pochwały dla swojej matki, a także widzi ludzi przychodzących z darami i pięknym słowem, to tylko jedna strona życia.

Istnieją bowiem ludzie, którzy żywią nienawiść do jej dobrej mamy i taty.

Jakkolwiek dziwnie to brzmi, to okazuje się, że w tej wsi, którą Reina zna tak dobrze, mieszkają ludzie, którzy życzą im źle i chcą wyrządzić im krzywdę.

Ludzie, którzy kiedyś chcieli zamordować ich kochanego Benjaminą. Którzy bili i byli niedobrzy dla mamy. I którzy ukradli rodzinie piękne Karlsgard, a prócz tego mnóstwo pieniędzy i drogich przedmiotów.

Reina z trudem wierzyła, że to prawda.

Ale przecież nigdy, absolutnie nigdy żadne z rodziców jej nie kłamało.

Teraz zmrużyła oczy i patrzyła na ojca. Starła się uciszyć własne serce.

Cicho, cicho, to będę mogła usłyszeć jego myśli. Zamknęła oczy i udawała, że śpi. Myśli ojca pływały w jej głowie niczym rybki, ale nie mogła się dopatrzeć żadnego sensu. Mimo wszystko starała się je zatrzymać, ukraść cząstkę ojca, o której sądziła, że jest jej prawowitą własnością. Widziała fragmenty obrazu, nad którym pracował, czasami wyczuwała zapach mamy, nagle odebrała jakiś niepokój ojca, ale wtedy jego myśli były czarne i nieprzeniknione.

Po chwili znowu zrobiły się nudne.

Zastanawiał się, czy powinien użyć do swoich obrazów barwnika, który Johanna kupiła do farbowania lnianych obrusów. Albo niepokoił się, czy dach, który niedawno uszczelnił, wytrzyma taką ulewę, jaką zdawały się zapowiadać wiszące nad fiordem chmury.

Reina nigdy jeszcze nie uświadomiła sobie, że ta zabawa jest tylko jej właściwa, ani że jest coś ponurego w tym, iż może się niezauważona wślizgiwać do mózgu innego człowieka.

Tak po prostu jest z Reina i jej tatą.

Nie był w stanie dotrzymać im towarzystwa, chociaż konie musiały stąpać

bardzo ostrożnie po mokrych kamieniach i gliniastej drodze. Wielu ludzi szło piechotą, ale oni byli przyzwyczajeni do szybkich wędrówek w ciężkich buciorach po wąskich, nierównych ścieżkach.

Chłopiec chwilami biegł, ale mało co widział, bo deszcz zacinał prosto w twarz. W dodatku ta dziewczyna go zatrzymała, ale przecież nie mógł jej tak zostawić. Potrzeba było tylko jednego cięcia nożem, żeby spódnica rozpruła się do końca, wtedy dziewczynka spadła na ziemię. Trochę się chyba potłukła, mimo to śmiała się i dziękowała mu. Deszcz spłukał z jej twarzy kropelki krwi, kiedy podniosła na niego wzrok i uśmiechnęła się. Pomógł jej wstać i dopiero wówczas rozpoznał, że to dziecko czarownicy z Vildegard. Wtedy pobiegł dalej. Nie warto myśleć o jej oczach, bo to oczy wiemy, dziewczyna jest po prostu córką bezwstydnego mordercy.

Biegł, nie oglądając się.

Jeszcze nie całkiem rozumiał, dlaczego ucieka, wiedział tylko, że krew pulsuje mu w skroni i że się boi. Obcy tabor może patrzeć na ludzi złymi oczyma. Ojciec w takie rzeczy nie wierzył, ale Arill słyszał ciche zaklęcia Idy:

- Niech złe oko na ciebie spojrzy, ty diable. Żeby tak wypróbowali na tobie swoje sztuczki, to chętnie oddałabym i byka, i konia.

Doznał skurczu serca, bo nawet serdeczne pieszczoty Idy nie były w stanie wynagrodzić braku uznania ze strony ojca.

Dzisiaj wieczorem może się jednak zdarzyć, że będą potrzebować jego pomocy.

Pokaże ojcu, jaki jest dzielny, kiedy trzeba.

Arill Storlendet nie boi się żadnych włóczęgów.

Nawet gdyby jego potężny ojciec się bał.

Żałował, że nie zabrał ze sobą swego małego miecza, który kiedyś ofiarował mu kapitan Joachim. Ale to raczej dziecinna zabawka, nic więcej, krótki i tępy.

Arill ułamał dużą gałąź i przygotował sobie zaostrzony na końcu kij. Zamachnął się parę razy na próbę, ale deszcz zalewał mu oczy.

Wiedział, gdzie Cyganie rozłożyli się obozem. Nic więc nie szkodzi, że stracił tamtych mężczyzn z oczu. Potrafi pojawić się w odpowiednim momencie i pokazać ojcu, że jest właśnie takim małym, dzielnym żołnierzem, jakiego Magnus chciałby mieć.

Wtedy to może nawet dorosły brat i jego żona przestaną zwracać się do niego

różnymi paskudnymi przezwiskami, kopać go i szczypać, kiedy Ida nie widzi.

Kiedy posuwali się dróżką wiodącą w górę do Hovda, odpadł pierwszy guzik. Wcale tego nie zauważył, bo właśnie rozległ się potężny grzmot i Magnus miał pełne ręce roboty, żeby powstrzymać przestraszonego konia. Jechał obok gospodarza z Flaata i to właśnie on wrzasnął:

- Lensmańskie srebro! Magnus, zgubiłeś guzik!

- Przekłete babsko - syknął tamten, chciał zatrzymać konia, żeby zsiąść i poszukać guzika. I wtedy odskoczył drugi, o mało nie trafił go w oko. Spojrzał uważnie na swój wielki brzuch i stwierdził, że jeszcze jeden guzik ledwo się trzyma. Szarpnął, żeby całkiem rozpiąć kurtkę, ale to kosztowało go utratę kolejnego srebrnego guzika.

Już tylko jeden dyndał na długiej nitce. Orszak zatrzymał się za jego plecami.

- Co się dzieje? - wołali chłopci. Gospodarz z Flaata przełykał ślinę z rozdziawioną gębą.

- Boże święty - wyszeptał i przeżegnał się. - To musi być jakiś znak... Po czym szarpnął z całych sił lejce i zawrócił konia. Ruszył z kopyta, wołając do pozostałych:

- Daliśmy lensmańskie srebro nie temu co trzeba. Guziki odpadały na moich oczach! To jest znak! Nie powinniśmy mu towarzyszyć dzisiejszej nocy. Może nas spotkać wielkie nieszczęście, jeśli nie posłuchamy tego znaku!

- Tchórzliwy pies - warknął Magnus i splunął za odjeżdżającym. - Po prostu mam za ciasną kurtkę, ha, ha... Wszyscy wiedzą, że w Storlandet piwo jest mocne, a mięso tłuste, co?

Dał znak ręką, że czas ruszać.

Mniej więcej połowa pojechała za nim.

Za następnym zakrętem zobaczą przekłety cygański obóz. Przedtem jednak muszą pokonać bardzo wąską i śliską ścieżkę. Mrok gęstniał wokół nich. Choć była to przecież najjaśniejsza noc w roku, widzieli mało co.

Nagle błyskawica rozjaśniła drogę i w tym samym momencie rozległ się straszny grzmot.

Magnus Storlandet roześmiał się ku niebu:

- Patrzcie! Wszystkie moce są dzisiejszej nocy po naszej stronie! Kiedy znaleźli się poza zakrętem, spodziewali się, że zobaczą cienie kosmatych koni i siodeł. Obcy bowiem szukali schronienia pod skalnymi nawisami i za uskokami lub nocowali pod gołym niebem jak zwierzęta. Czasami budowali wysokie szałas z

gałęzi, które okrywali ubraniami lub skórami i w ten sposób otrzymywali schronienie. Teraz jednak dolina, do której pościg się kierował, była pusta i wymarła.

Magnus zaklął.

Chłopi natomiast z wyraźną ulgą zawracali do domu, zadowoleni, że uniknęli walki. A kiedy nadszedł brzask, po wsi rozeszła się wieść: Wędrowna hołota poszła swoją drogą. Niebezpieczeństwo minęło.

Widział, jak zawracają, i próbował się ukryć. Kiedy nadeszły pierwsze konie, naprawdę cudem uniknął rozjechania. Gospodarz z Flaata miał przerażenie w oczach, w świetle błyskawicy jego twarz była całkiem biała i Arill o mało nie udławił się własnym językiem, żeby nie zawołać: Co się stało z tamtymi? Czy obcy ich wymordowali?

Niczego nie rozumiał.

Mężczyźni zawrócili i jadą do domu. Czyżby nie mieli odwagi zbliżyć się do Cyganów?

A może postanowili zmienić taktykę?

Może zamierzają gdzieś ukryć konie i podczołgać się potem do obozu?

Albo planują wystrzelać ich po prostu, kierować jeden nabój za drugim w te żalosne skórzane zasłony, za którymi tamci się ukryli?

Ale nic się nie działo.

Naprawdę trudno cokolwiek zrozumieć.

Nawet z tego miejsca, w którym stał, mógł wiele setek metrów poniżej wyraźnie widzieć starą kobietę, która chodziła między końmi i głaskała je po mokrych od deszczu karkach. W głębokiej skalnej szczelinie płonęło nawet niewielkie ognisko.

Ale chłopci, z jego własnym ojcem na czele, zawrócili i odjechali, jakby niczego nie zauważyli.

Arill skradał się dalej, aż pod sam obóz.

Kiedy jakaś potężna ręka chwyciła go za kołnierz bluzy, wcale się nie przestraszył. Wbił zaostriżony kij w brzuch tamtego, a gdy chwyt zelżał, pognął na łeb na szyję przed siebie.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Fantazjujesz, chłopcze! Tam nie było żywego ducha! Oni uciekli, wszyscy. Musiało ci się coś przyśnić. Żeby mi tu wygadywać takie głupstwa! Było nas tam ośmiu chłopów, wszyscy dorośli, i nikt nic nie widział. Dość z tym!

Arill milczał.

Wiedział jednak, że coś tu jest nie tak.

Czuł przecież bolesny chwyt na karku i słyszał krzyk mężczyzny, kiedy wbił mu w brzuch zaostrzony kij. Widział też starą kobietę i ognisko, które oświetlało całą dolinę poniżej wodospadu.

Nie mógł pojąć, dlaczego ojciec twierdzi, że nie widział obozu.

Straszna myśl przyszła mu do głowy: Ojciec jest tchórzem.

Ale tak nie jest, to niemożliwe. Ojciec to najsilniejszy i najpotężniejszy człowiek, jakiego Arill zna, i zrobił też więcej niż ktokolwiek inny. Jest chyba raczej tak, jak ojciec mówi, że mianowicie wszystko to mu się przyśniło. Dobrze, że nie wspomniał o tej dziewczynie z Vildegard, która tkwiła niczym zajac w potrzasku.

Bo wtedy pewnie ojciec spuściłby mu takie lanie, że błyskawice i grzmoty schowałyby się przy tym ze wstydu.

Ida pocieszała go łagodnie, poiła słodzonym mlekiem, mówiła, że dzisiejszej nocy nie przyśni mu się już nic strasznego.

Ravi wyczuwał w głosie starej kobiety strach pomieszany z zachwytem. Tak, to prawda! Magnus Storlendet i jego ludzie przepłoszyli wędrowną hołotę, gdzie pieprz rośnie. Zanim się rozwidniło, zniknęli. Nie został ani jeden zawszony pies. W ogóle żadnego śladu! Tak się to właśnie skończyło, poszli drogą przez góry, tą samą, którą przyszli. Zrozumieli, że w tej wsi nikt się nie pozwoli straszyć. Uświadomili sobie, że nikt tu nie będzie tolerował obcych, którzy rzucają czary i sprowadzają nieszczęścia, powodują, że zdrowe byki zdychają bez powodu, a śmietana kwaśniej w garnkach.

Kobieta odetchnęła z ulgą, wypila ostatni łyk napoju, którym ją poczęstowano, i zerwała się, by biec dalej, zanieść nowinę do następnej zagrody.

Ravi uważał, że najbardziej przypomina ona gdaczącą kure, której mózg jest zbyt mały, by nadać jakiś sens wypowiedzianym słowom. Dbała jednak nieustannie, by ludzie orientowali się w wydarzeniach, nic się nie ukryło przed ciągle nastawionymi z ciekawością uszami łachmaniarki.

Zresztą dobrze było mieć kogoś takiego jak ona, kto nie zawaha się nawet przed trudami całodziennego marszu, jeśli tylko trzeba zanieść nowinę, i kto nie żąda w zamian więcej niż posiłek i może parę szmat.

Ravi wsunął jej do ręki duży żytni placek, uśmiechnęła się w podzięcie i pobłogosławiła go.

Jej twarz przed oczyma Ravięgo rozmazała się i zniknęła. Instynktownie zatkał rękami uszy, wiedział jednak, że ten łoskot to nie powracająca burza. Mimo wszystko ukrył się w sypialni, choć to dopiero środek dnia.

Johanna słyszała szcęk zamka w drzwiach i poszła za nim.

W takich chwilach zawsze było dość łatwo zorientować się, co się z nim dzieje. Szarpały nim spazmy, ale jej to już nie przerażało. Ta dziwna dolegliwość nie odbierze mu życia, wiedziała o tym z doświadczenia. Wszystko, co mogła zrobić, to zadbać, by leżał wygodnie, kiedy trwa atak, najlepiej z głową na jej kolanach. Po wszystkim będzie przez jakiś czas milczący i oszołomiony, jakby te jakieś szczęki w jego głowie potrzebowały czasu, by przeżyć straszne wydarzenia, jakie się rozgrywały za jego zamkniętymi powiekami.

Zostawiała go w spokoju, o nic nie pytała. Ale w ostatnich latach on sam coraz częściej jej o tym mówił, pozwalał jej dźwigać część tego brzemienia, które na nim spoczywało. Tym razem było bardzo źle. Ravi widział trzaskający ogień, buzujący i wściekły, taki, jaki wybucha na wysuszonym polu, przetacza się po nim niepowstrzymaną falą i zostawia za sobą czarną, spaloną ziemię. Opowiadał jej o tym w krótkich, prostych słowach, aż ją również ogarnął lęk, niepokój jakby czający się pod skórą.

W wizji Ravięgo były wielkie, tłuste szczury, odgryzające żywym ludziom ręce i nogi.

Johanna przymknęła oczy i miała nadzieję, że Ravi nie będzie jej wyjaśniał znaczenia tego koszmaru.

Pamiętała jednak, co się stało, kiedy Ravi po raz ostatni widział szczury.

Powietrze po burzy było czyste i świeże, trawy i zboża na polach wyprostowały się i rosły tak, że niemal z godziny na godzinę widziało się różnicę. Na skraju drogi wiodącej na dziedziniec Vildegard rozwijały się róże. To Marja wycięła szczepy w swoim ogrodzie i posadziła je tutaj. Marja spędzała w Lyster lata, jak daleko Reina sięga pamięcią. I zawsze taki sam smutek ogarniał wszystkich, kiedy na zboczach wzgórz żółkły pierwsze brzozy. Reina wiedziała wtedy, że zbliża się czas, gdy prababka zacznie pakować swoje kufry podróżne.

A pewnego dnia, zwykle gdy osiki okryją się płomienną czerwienią, do brzegów fiordu przybije stateczek, który zabierze Marję, pana Remmerna oraz resztę towarzystwa, gości i służących. Domostwo Marji zostanie puste i wymarłe.

Emmi znowu zacznie odbywać swoje nocne wędrówki, palić fajkę Marji, i nie

odzyska spokoju aż do Bożego Narodzenia.

Ale teraz jest lato, prababka biega zadowolona po swoim gospodarstwie, w tym roku dodatkowo dogląda robotników budujących w ogrodzie mały domek. Nie był to zwyczajny budynek, Reina domyśliła się tego, już oglądając fundamenty. Zbudowano je na planie koła, nad nimi zaś wzniesiono niezwykle kopułę wspierającą się na cienkich metalowych słupkach.

- To teraz w Kopenhadze bardzo modne - tłumaczyła Marja. - Wszyscy budują sobie w ogrodach takie altany obrośnięte bluszczem i kapryfolium.

Johanna kręciła głową, ale nie mówiła nic. Reina uważała, że to niezwykle, zwłaszcza że pewnego dnia przyjechał sam proboszcz i robił Marji wymówki, dlaczego wydaje pieniądze na coś tak niepotrzebnego, zamiast dać ofiarę na kościół i zapewnić zbawienie swojej duszy.

- A cóż to znowu za staroświeckie głupstwa - odcięła się Marja i wykrzyczała pastrowi, że o ile jej wiadomo, to handel odpustami i zbawieniem został zakazany co najmniej dwieście lat temu. I czyż ona nie opłaca należnego podatku kościelnego?

Widocznie nawet pastor Cimber nie jest w stanie wygrać z Marją.

Nie bez przyczyny nazywano ją królową.

A zamek, w którym mieszkała, każdego lata stawał się większy i ładniejszy. Ani razu Marja nie przyjechała do domu bez nowego żyrandola, pięknego wazonu, rzeźbionych mebli czy ślicznych firanek z najdelikatniejszych, niezwykle barwnych materiałów.

Zdarzało się nawet, że ludzie przychodzili z dalekich stron, by oglądać tę niezwykle budowlę, która pyszniła się ponad szarymi, niskimi chatami wsi. Porównywano dom Marji z siedzibą baronostwa, czynili tak zwłaszcza ci nieliczni, którym udało się zajrzeć za żelazną, kutą bramę.

Reina uwielbiała biegać w tym domu latem, po jego chłodnych, kamiennych posadzkach.

Zimą natomiast wszyscy zostawiali Emmi w spokoju.

Sama przecież zna drogę do ludzi, gdyby zatęskniła do towarzystwa. Czyniła to jednak coraz rzadziej. Miała wystarczająco dużo zajęcia z pisaniem listów, a także z nie kończącymi się nocnymi wędrówkami po pokojach. Sprowadzano całe skrzynie woskowych świec, bo Emmi miała zwyczaj zapalać wszystkie żyrandole, kiedy w ciemne noce późnej zimy krążyła po domu, tęskniąc za wiosną.

Johanna nosiła jej ciepłą zupę w dni, kiedy Emmi nie chciała przychodzić do

Vildegard, by jeść posiłki ze wszystkimi.

Reina uważała, iż najgorsze zimą jest właśnie to: że dom prababki jest pusty i wydaje się martwy, bo prawie nigdy nie dymi się tam z komina.

Jakby Emmi nie była człowiekiem odczuwającym chłód i gorąco.

Albo jakby jej w ogóle nie było, z wyjątkiem tych krótkich tygodni, kiedy wszystko żyło w oszołomieniu, w towarzyskim gwarze, żartach i śmiechu.

Ale jest dopiero połowa lata. Szpinet Amelii został przeniesiony do jednego z salonów, Marja przywiozła z Kopenhagi pięciu mężczyzn, którzy grali na niezwykle instrumentach, a jeden wyczarowywał muzykę z na ogół przykrytej pluszem klawiatury, której nikomu nie było wolno dotykać.

Na dzisiejszy wieczór znowu zaplanowano zabawę i tańce. Deszcz zagonił towarzystwo pod dach w tę noc świętojańską, wielki stos drewna nasiąknął wodą i nie chciał się zapalić. Marja jednak znalazła radę i na to. Wszyscy chcieli się bawić i tańczyć, dbała więc, żeby cała służba miała wolne i mogła wziąć udział w dorocznym święcie. Dzięki temu ludzie ze wsi łaskawie spoglądali na jej niezwykle sposób życia.

I chociaż obchody nie były z powodu pogody takie uroczyste jak zwykle, noc miała ten magiczny nastrój, który sprawił, że Reina dostała gęziej skórki, kiedy muzycy zaczęli stroić instrumenty, a goście zasiedli przy nakrytych stołach.

- To właśnie w taki wieczór zostałam stworzona - wyznał jej kiedyś tata. Jego oddech pachniał wtedy słodko i Reina zapamiętała, że pozwolono jej pozostać na zabawie tak długo, jak długo potrafiła walczyć ze snem. Tata z nią tańczył, trzymał ją na rękach. Może miała wtedy cztery lata, może pięć.

- Mały cudzie, nie dość że jesteś taka śliczna i niezwykła, to jeszcze zostałam poczęta w noc świętojańską...

Nie całkiem rozumiała, co to znaczy, ale z pewnością coś podniecającego i dobrego, bo tata uśmiechał się i był jakiś dziwnie onieśmielony.

Kiedy zapytała mamę o te sprawy, Johanna pogłaskała ją tylko po głowie i odeszła, nie odpowiadając.

Czasami trudno czytać w myślach dorosłych.

Przeważnie jednak, zdaniem Reiny, to bardzo łatwe.

Teraz krążyła wśród bawiących się i szukała swego ojca. W tłumie bogatych strojów i kołyszających się białych peruk powinna była zobaczyć go bez kłopotu. Ravi nigdy peruki nie nosił, poza tym miał na sobie zwyczajne niedzielne ubranie. Rozglądała się więc za czerwoną kurtką z ołowianymi guzikami albo zieloną,

zapinaną na drewniane kołeczki.

Żeby była chociaż trochę wyższa, zadanie byłoby prostsze. Wtedy mogłaby wypatrywać czarnej głowy pośród białych, wysoko upiętych peruk. A tak to przeciska cię w tłumie, a szerokie suknie pań laskoczą ją po twarzy. Zapach perfum mieszał się z wonią potu i kwaśnego wina, i Reina miała wrażenie, że jeśli stąd natychmiast nie wyjdzie, to ją zemdli. Zaczęła krzyczeć, wyciągała ręce przed siebie, lecz tańczący odpychali ją, poszturchiwali i musiała bardzo uważać, żeby panowie jej nie zdeptali wysokimi, nabijanymi srebrem butami.

Ale ruch! Prawdziwe gniazdo os, myślała Reina, wpatrując się w świecznik, który od czasu do czasu gdzieś jej majaczy! między tańczącymi. Głos szpinetu zdawał się bardzo daleki, jakby dochodził spoza murów. Nareszcie jakoś wyrwała się z ciżby i wciągnęła głęboko świeże powietrze.

Ale nigdzie nie widać ojca.

Mamy zresztą też nie.

Tylko prababka Mar ja tańczy z mężczyzną przypominającym wróbla. A nieco dalej siedzą dziewczyny z Vildegard, zarumienione i podniecone, bo podszedł do nich jakiś szlachcic i częstował je winem. Reina rozgląda się dookoła, odgarnęła włosy z twarzy. Zobaczyła panią Annę w rozmowie ze starą ciotką karczmarza, która spędza lato w Dosen. Nieco dalej muzykanta Klerka, który już dawno zdążył się zorientować, że tu chodzi o inne takty. A tam! Pod brzożami chowają się jacyś młodzi, ledwo ich znała. Jest tam Vilhelmina z Nes, dziewczyna o wielkich wargach, oraz chłopcy i dziewczęta z gospodarstw w sąsiedztwie plebanii.

Nigdzie natomiast nie widać ojca.

I nagle uświadomiła sobie, co się z nim mogło stać: ten tchórz na pewno schronił się w swojej leśnej chacie, często tak robił, kiedy w domu zbierało się zbyt wiele ludzi. Może i mama tam z nim poszła! To przecież nie ich przyjęcie. Mar ja zajmie się wszystkim sama, będzie częstować swoich gości miejskim jedzeniem, miejskim pićciem, zatroszczy się o miejskie rozrywki. Reina ruszyła w drogę. Nagle poczuła się całkiem sama pośród tego liczego, rozkrzyczanego tłumu.

Jakaś dama w wysadzonej perłami peruce szturchnęła lekko Marję w bok i powiedziała cicho:

- Ta mała, tam, na pewno zostawi po sobie wyraźny ślad na świecie.
- Tak. Zdążyłam się już tego dowiedzieć.
- A czy jej matka wie?

Mar ja przełknęła łyk wina i wolno potrząsnęła przecząco głową. Nie uznała natomiast za konieczne informowania baronowej, że ojciec dziewczynki wie o tym aż za dobrze.

Rodziców nie było w chacie i Reina zaczęła żałować swojej wyprawy do lasu. Drzewa tutaj były stare i ciemne, niektóre pokryte mchem i czymś, co nazywano brodą czarownicy. Dziewczynka wiele razy przełykała głośno ślinę i zmuszała się do zachowania spokoju. Noc wydawała się taka jasna, kiedy odchodziła od chybrotliwych świateł świec w Zamku Marji. Gdyby wyteżyła słuch, mogłaby jeszcze usłyszeć dolatujące stamtąd strzępy muzyki i echa głośnych śmiechów. Ale trzeba będzie znowu iść spory kawałek. Pod górę stromymi zboczami, potem w dół nad rzekę i dalej przez zagajnik, gdzie ścieżka wiję się i zakręca, aż nareszcie schodzi ku obejściu. Jeszcze ostatnie pola i będzie na miejscu. Starła się wyobrazić sobie dom już wtedy, gdy otaczały ją jeszcze potężne drzewa. Próbowwała przypominać sobie wszystkie przejścia, które pokonywała tutaj z tatą. On lubi las. Mówi, że las mu śpiewa. I że kiedy był mały, wiele razy mieszkał w lesie sam.

I że wtedy pocieszały go zwierzęta.

Mimo strachu przed ciemnością musiała się uśmiechnąć.

Zwierzęta przemawiały do taty! Dawniej w to wierzyła, teraz jednak jest za duża na takie opowieści. Zresztą tutaj nie dostrzegła ani jednego żywego stworzenia, nawet najmniejszej wiewiórki. Wprost pragnęła, by jakiś lis wyskoczył na ścieżkę przed nią albo chociaż mała myszka.

Bo las trwał w głuchej ciszy, jak wymarły!

To właśnie ta cisza sprawiła, że Reina dostała gęsiej skórki i zaczęła szybciej oddychać. Wiedziała, że gdyby pozwoliła stopom biec, to strach by ją pokonał. Dlatego z całych sił starała się stąpać spokojnie, krok za krokiem, jedna noga obuta w pantofelek z brązowej cielejącej skóry ostrożnie przed drugą. Wpatrywała się w nie, patrzyła na obszuty koronką brzeg sukni, który uderzał o łydki, gdy dziewczynka szła. Sukienka nie jest całkiem nowa, ale bardzo ładna. Mar ja przywiozła ją dwa lata temu z miasta. Od tamtej pory ciało Reiny urosło przynajmniej o całą głowę, więc strój nie sięgał już aż do ziemi. Ale to nic nie szkodzi, bo Reina wołała, że nie musi wciąż uważać, żeby się nie potknąć, że nie musi stąpać niczym dama, może natomiast biegać i skakać tak jak lubi.

Jakaś gałąź zaczepiła o jej włosy i Reina krzyknęła rozpaczliwie.

Serce zaczęło tłuc jeszcze szybciej, trzeba koniecznie myśleć o czym innym.

Odpychała od siebie mroczne cienie, mrużyła oczy w wąskie szparki, tylko kącikiem oka widziała ścieżkę przed sobą. Po czym zaczęła się koncentrować na zupełnie innym widoku. Wypływał wolno z ciemności, Reina poczuła na plecach zimny pot. Najpierw pojawiły się jakieś krążące białe plamy, jakby kłębiące się chmury przesłaniały obraz. To się zawsze tak właśnie zaczynało. Nauczyła się odprężyć, wpatrywać się prosto w obraz, nie przejmować się wirującymi kłębami mgły.

Jeśli nikt jej nie przeszkodzi, to po chwili wszystko się znacznie rozjaśni.

Tak! Teraz!

Zobaczyła swoją mamę krążącą po jasnych izbach Vildegard. Och, jaka ta mama piękna! W niebieskiej sukience i olśniewająco białym fartuchu. Ale... na fartuchu są plamy. Wielkie, brązowe, czerwone. Plamy się powiększają...

Reina mrugała, potrząsała głową, miała nadzieję, że nie jest jeszcze za późno, by odepchnąć to wszystko od siebie i widzieć tylko ścieżkę wijącą się w mroku.

Na szczęście nie było za późno. Odetchnęła z ulgą. W oddali zobaczyła polankę, zaraz wyjdzie z lasu.

Wtedy usłyszała za plecami trzask łamanej gałązki.

Odwróciła się. Zrobiła to bardzo wolno.

Przed nią stał mały chłopiec z malutkim mieczem z drewna skierowanym przeciw Reinie. Natychmiast go rozpoznała i zarumieniła się.

- Wstrętna wiedźmo, mogę cię zabić!

- Co powiedziałeś?

- Ja cię... ja cię mogę zabić... myślę. Jeszcze mocniej wbiła w niego spojrzenie.

Ułga, że nie spotkała jakiegoś potwora czy drapieżnika, że nie zważyło się na nią wielkie drzewo, była tak wielka, że musiała się cicho roześmiać, słysząc tę straszną groźbę.

- Tym chcesz mnie zabić? Wskazała palcem mieczyk. Arill stał onieśmielony, ta mała najwyraźniej się nie boi. On by się przecież bał, gdyby go tak ktoś zaskoczył w ciemnym lesie. Dziewczynka ma na sobie śliczną sukienkę, uszytą z mnóstwa marszczonego materiału. Widział bielejące spod sukni cienkie, białe pończoszki. Ma takie maleńkie stopy. Właściwie to ona jest bardzo ładna, jeśli nie wisi zakleszczona na płocie z potarganymi włosami i pupą w górze... Lekko opuścił swój miecz, wyciągnął natomiast nóż z futerału u pasa.

- To jest ostre! - syknął. Reina cofnęła się o krok. Ha! Teraz powinien go widzieć ojciec! Bachor czarownicy boi się! Tak, tak!

- A znasz jakieś sztuczki? Otworzył usta ze zdumienia.

- Sztuczki...?

- Tak, z nożem. Mój tata na przykład umie rzucić nożem z odległości dwunastu kroków i trafić w gałązkę grubości mojego małego palca! A poza tym potrafi wyrzeźbić z drewna motyla o skrzydełkach cieniutkich jak papier!

- Ja... ja też umiem wycinać i rzeźbić. Na każdą Gwiazdkę robię dla Idy nową mątwkę!

Cmoknęła z uznaniem.

Wobec tego wsunął ostre narzędzie z powrotem do futerału, ale nie zapiął guzika, który utrzymywał nóż na miejscu.

- Dziękuję ci, że pomogłeś mi... wtedy.

- Nie ma za co... Chłopiec zarumienił się, wyczuła to w ciemnościach niczym dotknięcie czegoś ciepłego.

- I za to, że nikomu nie powiedziałaś... Skinął głową i zapragnął, żeby naprawdę nie był nikomu o niej wspomniał. Ojciec się wściekł. I wielokrotnie wypychał Arilla do beczki z wodą w stajni, o mało go nie utopił. Dopiero kiedy chłopiec nie mógł złapać tchu, ojciec uznał, że oczyścił go z pcheł wiedźmy, jak to powiedział. I wtedy ojciec wydał mu polecenie, że gdyby jeszcze kiedyś spotkał dziewczynę w takiej pułapce, to zamiast ją ratować, powinien wbić jej nóż w piersi. Bo to jej matka zamordowała jego brata i sprowadziła na całą rodzinę wielkie nieszczęście.

Popatrzył na Reinę, która stała z rękami skrzyżowanymi na plecach. Była taka mała i krucha. Prawdopodobnie byłoby łatwo przewrócić ją na ziemię i przynajmniej potężnie stłuc.

Splunął daleko, po męsku, i powiedział, że powinna się mieć na baczności. Bo tamtego dnia jeszcze nie wiedział, że ona ma w swoich żyłach taką paskudną krew.

Reina przechyliła głowę.

- I ja też nie wiedziałam, że to twój ojciec jest tym draniem, który podstępem odebrał nam nasze dwory i ukradł pieniądze mamy. Ani że twój brat to zbój, który prześladował mamę i chciał zamordować Benjamina!

Chłopak mrugał zakłopotany.

- Kłamiesz! To wy jesteście podstępne dranie! Reina włożyła palec do buzi.

- Jesteś tego pewien? Znowu te dziwne odpowiedzi. Jak rozmawiać z taką dziewczyną?

Wszyscy, których dotychczas znał, już dawno by uciekli przerażeni. Miecz, nóż, ciemny las...

Usiadł pod drzewem. To trzeba przemyśleć. Dziewczynka podeszła, szurając nogami po ściółce, i zdecydowanie usiadła obok niego.

- Mnie się zdaje, że to trochę głupie - powiedziała ponuro. Zerknął na nią spod oka, ale nie zobaczył nic oprócz małego noska i jednego oka, które mieniło się niebieskawo w mroku nocy.

- To, że oni się nienawidzą. Że twój ojciec powiedział, żebyś mnie zabił.

Chłopiec z wolna skinął głową i nagle drgnął:

- A skąd ty to wiesz? Uśmiechnęła się leciutko.

- Powinieneś się domyślić. Przecież nazwałeś mnie wiedźmą. Gapił się na nią wytrzeszczonymi oczyma, poczuł, że wargi mu zdrętwiały.

- A ty... ty naprawdę jesteś? Reina wybuchnęła śmiechem. Chłopak był tak przestraszony, że musiała wyciągnąć rękę i pogłaskać go po policzku.

- Nie, no coś ty. Żartowałam. Myślisz, że wiedźmy i czarownice boją się ciemności?

Arill potrząsnął głową. Reina przytaknęła.

- No a ja właśnie się boję. Okropnie. Zwłaszcza w lesie. Wtedy Arill Storlendet podniósł się z ulgą i podał jej rękę.

- No to odprowadzę cię do domu. A przynajmniej blisko domu...

- Dziękuję - odparła Reina po prostu. Chłopiec prychnął. W głębi duszy jednak uznawał, że dobrze było ją spotkać. Zapłonął w nim maleńki ognek uporu. Ojciec nie może się nigdy o tym dowiedzieć, lecz mimo to chłopca przeniknęło rozkoszne uczucie siły, że odważył się okazać lekceważenie słowom ojca ponuraka. Tak jak wtedy, kiedy zakradał się do spiżarni i wyjadał brunatny cukier.

Albo jak wtedy, gdy oboje z Idą poszli potajemnie na wesele jej kuzynki w Nes, chociaż surowo im tego zakazał.

Ze strony Reiny nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. O głowę od niego mniejsza, dłonie maleńkie jak ptasie skrzydełka. Nie miał wątpliwości, że gdyby tylko chciał, to jednym ruchem powaliłby ją na ziemię i stłukł na kwaśne jabłko.

Tylko że na razie tego nie chciał.

Ani słowem o tym nie wspomniała. Wystrzegą się zwłaszcza ojca, bo on ma niezwykłą zdolność dowiadywania się spraw, które Reina najchętniej zachowywałaby w tajemnicy. Chociaż i mama też mogła przyjść do niej, wbić w nią te swoje dwubarwne

oczy i zapytać: Kto odgryzł kawałek świeżo upieczonego placka, odstawionego w chłodne miejsce, by wystygł? Albo: Kto wyniósł z domu kłębek pięknych jedwabnych nici, którymi Marja chciała naprawić swój letni kapelusz? Gdzie się podział srebrny napastrzek Asy? Czy Reina go sobie pożyczyła i bawiła się nim na podwórku?

Mama wiedziała wszystko.

Teraz Reina nie miała odwagi nawet myśleć o swojej tajemnicy, przeczuwała bowiem, że kara byłaby dużo, dużo większa niż w przypadku kłębka jedwabiu czy nawet srebrnego napastrka.

Ten napastrzek zresztą później znalazła. W gnieździe sroki na dachu szopy.

Znajomość z tym chłopcem wydawała się czymś niezwykłym. Więc chyba nie może być zła. Czyż i mama, i tata nie powtarzają ciągle, że ludzie powinni być wobec siebie lepsi, przyjaźnić się z sobą i pomagać sobie nawzajem? A co w takim razie z Ingalill? Czyż wielokrotnie nie nakazywano im obu, żeby byli dla siebie miłe? Chociaż mama miała dziwną minę, gdy Reina zapytała kiedyś, czy ona sama nie mogłaby być bardziej sympatyczna dla ciotki Heleny. Czyż nie karano myciem podłóg i nie kończącymi się obowiązkami, jeśli czasem się zdarzyło, że Reina i Benjamin skoczyli sobie do oczu? To bardzo dziwne sprawy.

Reina postanowiła machnąć na to wszystko ręką i przyjaźnić się z Arillem jak długo zechce. Zdążyli już oboje zbudować w lesie dużą osadę. Ulokowali ją przy wysokim gładzie, otoczyli wałami, porobili wzgórza i wyżłobili rzekę. Arill zbudował chaty, śliczne, z wszystkimi szczegółami, dachy z torfu i w ogóle. Jedna miała nawet drzwi, które można było otwierać, chłopiec bez zastanowienia wyciął kawałki skóry, którymi połatano jego spodnie, i zrobił z nich maleńkie zawiasy.

Reina przyniosła trochę tych niezwykłych zwierząt, jakie rzeźbił jej ojciec. Niestety, tata rzeźbił przeważnie zwierzęta z książek, różne małpy, żyrafy, lwy, a nawet smoki i węże morskie. Nie bardzo się one nadawały do chłopskich gospodarstw, ale były znacznie lepsze niż krowy z szyszek.

Przynosiła też ze sobą jakieś smaczne kąski, a to ciastka, a to kawałek sera, czasem nawet kandyzowane owoce, których zawsze pełno było na tacach u babki Marji. Było im naprawdę wesoło. Arill potrafił się świetnie bawić. Nauczył ją też ciekawych gier, a poza tym miał dwie szklane kulki, o których twierdził, że to oczy rosyjskiego tygrysa.

Reina bardzo chciała zapytać o te tygrysy Marję, która przecież długo mieszkała w Rosji.

Ale to może nie takie ważne. Kiedy trzymała te kulki w ręce, czuła lekkie drżenie. Wiedziała, że gdyby teraz zamknęła oczy, to może mogłaby zobaczyć coś niezwykłego.

Nigdy jednak się na to nie odważyła. Ale złamanie zakazu, by nie spotykać się z nikim ze Storlendet, było czymś nadzwyczajnym. Przecież dotychczas nie wiedziała nawet, że oni są źli. Dopiero niedawno...

Tylko jedna przestroga wciąż tkwiła w jej sercu: Słowa ojca, by nigdy nikomu nie mówić o tych dziwnych wizjach, które czasami pojawiają się w jej głowie, bez powodu, po prostu same z siebie.

Zawsze, kiedy o tym rozmawiali, ojciec był taki poważny, że Reina nigdy nie odważyła się zlekceważyć jego ostrzeżeń.

- Przyjdź zawsze do mnie, to pomogę ci zrozumieć to, co widzisz - powiedział ojciec. I nikt na nią nie krzychał nawet wtedy, kiedy przybiegła z wiadomością, że Eva ze Stranden niedługo umrze. Bo miała na plecach kamień nagrobny, kiedy dzisiaj kupowała w sklepiku Jensemanna sól do śledzi. Reina była wtedy jeszcze bardzo mała.

Dziwne sprawy, myślała Reina z ulgą. Arili jednak sprawiał wrażenie, że lubi się z nią bawić. Nigdy nie przypuszczała, że chłopak może znać takie wesołe gry. On miał nawet książki, przyniósł kiedyś jakiś mały przedmiot pełen obrazków. Była tam też beznadziejna historia o kaczorze, który ożenił się z żabą, opowiedziana w krótkich, dziwnych słowach. Arili powiedział, że to książka dla dzieci, podobno bardzo droga, a on dostał ją z Bergen od znajomego ojca. Był z niej najwyraźniej bardzo dumny i Reina musiała przyznać, że obrazki są ładne. Słowa jednak uznała za głupie. Dla małych dzieci! Zdziwiła się, kiedy Arili przyjrzał się książce, cmoknął parę razy i rzucił ją w stronę Reiny.

- Masz! Weź ją! Wiem, że do was przyjeżdżają czasem dwaj mali chłopcy. Dzieci twojego dziadka, prawda?

- No tak, bliźniakom książka się z pewnością spodoba. Ale... nie możesz jej przecież nikomu oddać? Co twój ojciec na to powie?

Arili zuchwale wzruszył ramionami.

- Ech, wytłumaczę mu, że wpadła mi do rzeki. Reina uśmiechnęła się. Włożyła rękę do kieszeni i szukała wśród swoich skarbów. Była tam wstążka do włosów, nieduży ostry gwóźdź, jakiś zwinięty w rulon papiera, kawałek węgla zawinięty w płótno i szkatułka, na której wieczku ojciec wyrzeźbił kwiatki. Wyjęła pudełko.

Otworzyła je i zawartość wysypała na dłoń. Roziskrzyły się małe kryształki.

- Oooch, diamenty! Podobał jej się wyraz twarzy Arilla, musiała go jednak rozczarować.

- Nie, to kryształy. Tata znalazł je wysoko w górach. One tam rosną, na przykład jak maliny, tylko że w skale. Można nazbierać mnóstwo. Nie mają wartości... ale są śliczne, nie uważasz?

- Bardzo!

- No to możesz je sobie wziąć. Wszystkie, z wyjątkiem tego dużego, o tu... bo tata obiecał zrobić mi z niego broszkę.

- O! Dziękuję! Dotykał palcami nieco zniszczonych ornamentów na pudełku. Całe było wykonane starannie, z maleńką, wysuwaną szufladką i zatyczką przy wieku. A jakie malutkie! Chowało się w jego zamkniętej dłoni.

- Wiesz, Reina... - Tak?

- Teraz... jesteśmy prawdziwymi przyjaciółmi. Uśmiechnęła się.

- Tak myślę. Chłopiec jęknął cicho.

- W takim razie muszę ci coś powiedzieć... coś straszego...

ROZDZIAŁ CZWARTY

Mógł ich teraz słyszeć wyraźnie. Niczym dalekie bębnienie we krwi, niczym prastary sygnał podawany z jednego wzgórze na drugie: Chodź. Chodź. Chodź.

Najgorzej było po nocach, kiedy nie mógł zasnąć. Ten tydzień po świętym Janie był spokojny, ale upalny, nawet nocami ciepło od nagranych drewnianych ścian buchało jak z pieca i wyciskało siódme poty z jego ciała.

Wszystko robiło się mokre i lepkie, nawet najmilsze ciepło Johanny stawało się nagle męczące i zbyt bliskie. Bywało, że wstawał, moczył jakąś szmatę letnią wodą i ocierał siebie i żonę. Ulgę przynosił nawet najdelikatniejszy powiew z otworu w dachu.

Najchętniej sypiałby na dworze. Powiedział o tym Johannie, ale ona uśmiechnęła się tylko i nazwała go głuptasem.

Jakże chętnie zrobiliby dla nich postanie pod gołym niebem, może pod wielkim, drzewem na podwórzu albo na miękkim mchu w lesie na wzgórzach... Wzięłyby jej ulubiony materac, mogłaby rozkosznie spać w ładnej pościeli, z niebem zamiast sufitu nad głową, kołysana do snu przez wszystkie uspokajające szepty lasu.

Ale Johanna nie chciała.

Ostatniej nocy jednak Ravi poprzysiągł, że jeśli jutro będzie tak samo gorąco, to pościeli sobie przed domem z dużym paleniskiem pod pozorem, że musi pilnować drogocennych nasion, które się tam wykłada do suszenia.

Johanna poruszyła się leciutko we śnie, jęknęła i przesunęła język po suchych wargach.

Zwilżył je delikatnie swoimi ustami i pogłaskał ją zamyślony po zamkniętych oczach. Nikt nie jest ładniejszy od niej. Ani bardziej kochany.

Ravi znowu przełknął ślinę i pozwolił wzrokowi błądzić po pograżonym w mroku pokoju. Po tamtej stronie ściany śpi Reina, teraz ona dostała mały alkierzyk, nie chciała już dłużej dzielić strychu z Benjaminem. Tak więc rodzice musieli zrobić sobie znowu sypialnię w mniejszej izbie. To teraz ich pokój. Nie umieszczano tu chorych od czasu rozbudowy, kiedy powstało nowe miejsce na lekarstwa, pomieszczenia dla dziewcząt opiekujących się szpitalikiem i mała izdebka dla służącej, która nie miała już siły wspinać się po drabinie na strych lamusa.

Lubił ten pokój. Sufit został pomalowany na niebiesko, bo gospodyni słyszała gdzieś, że to odstrasza muchy. Wielką szafę wbudowaną w ścianę sam wymalował w pnącza i niebieskie ptaki. Johanna nie była tymi ptakami specjalnie zachwycona, powiedziała, że najbardziej przypominają jej wrony Trugego, i wolałaby, żeby Ravi wymyślił coś innego.

On się uśmiechał i pytał, czy Johanna nie widzi, że to nie wrony, tylko jaskółki, zwinne i lekkie, takie same jak te, które co roku wracają do gniazd pod ich dachem?

Johanna uszyła poduszki i rozłożyła je na ławach, wyhaftowała też obrus na stół pod oknem. Na dużym, długim stole nie kładziono obrusa, tam domownicy jadalili posiłki i wykonywali najróżniejsze prace. Czasem, w razie konieczności, przenoszono go nawet do izby chorych.

Ta jego Johanna jest naprawdę bardzo zdolna.

Czasami jednak dziwił się, że traci tyle dni i nocy, że zużywa mnóstwo leków, żeby uwolnić chorego od plag, które on by po prostu usunął samym tylko dotykiem rąk...

I nigdy go o nic takiego nie poprosiła.

Czuł się tym boleśnie dotknięty.

Stare przekleństwo, mawiała o jego zdolnościach.

Przez całe życie, zanim ją spotkał, Ravi myślał tak samo, mimo to w jej ustach

takie słowa brzmiały niewłaściwie i sprawiały mu ból.

Zastanawiał się też nad inną sprawą przez te wszystkie lata, a mianowicie, czy Johanna wiedziała; co się wtedy tak naprawdę stało, kiedy Helena leżała przed nią blada i cicha? Czy zdaje sobie sprawę, że to nie jej dech skierowany w usta Heleny uratował tamtą? Nigdy nie wspomniał o tym ani słowem, ona też nie. Ravi wiedział jednak, że gdyby Johanna tamtego dnia nie pochyliła się i nie próbowała ratować umierającej kobiety, to on też nie użyłby swojej siły.

Czy kiedykolwiek tego żałowała?

Nie sądził. Gdy Bendik i Helena w końcu wzięli ślub, nie trzeba było wiele czasu, a wszystko się ułożyło.

Czy powstał jakiś dystans między ojcem i córką z tego powodu? Czy mimo wszystko Johanna czuła się zdradzona?

Ją tak łatwo zranić.

Ravi westchnął.

Ze wszystkich znanych sobie mężczyzn najchętniej odwiedzał spokojnego Bendika. Nieczęsto się to zdarzało, Ravi wiedział jednak, że kiedy się taka okazja nadarzy, mogą siedzieć ze sobą w milczeniu, czując, że przeżywają coś istotnego.

Może dlatego, że obaj tak kochają Tohanę?

Albo może dlatego, że obaj czują się przynależni do tego miejsca odziedziczonego po starym kacie, miejsca, w którym znajdują spokój?

Trudno powiedzieć.

Ale w tę długą, upalną noc najchętniej by siedział na wzgórzach ponad Meisterplassen i rozkoszował się tamtejszym nieustannym chłodnym powiewem znad fiordu.

Sama pułkownikowa wyszła w ten piękny wieczór na spacer, a towarzyszył jej młody siostrzeniec, Christian Amadeus Gripstad. To jej bladą twarz oświetlał księżyc i to jej zdławiony jęk sprawił, że kuzyn obejrzał się w stronę kościoła, a potem zemdłał. Bo to młodzieniec zemdłał, pułkownikowa zaś stała i chwiała się niczym źle załadowany żaglowiec przy bocznym wietrze.

Ktoś krążył po kościelnym cmentarzu.

Co tam krążył. Unosił się! Szybował ponad grobami.

Pułkownikowa przysięgała i przed własnym mężem, i przed pastorem, że to, co widziała, to był upiór. Duch powracający z zaświatów, i to nie byle kto, lecz stary Czarny Mons. Widziała nawet, że trzymał pod pachą książkę i zaciśniętą pięścią

wygrażał ku niebu.

- Cóż to za głupstwa - powiedziała Marja zirytowana. - Myślałam, że w naszych czasach świat zaszedł już dalej. Upiór? I to stary Mogens Skanke, ten przyjazny ludziom pocziwiec? Słyszałam o nim wystarczająco dużo od mojej matki, by wiedzieć, że on nie należał do takich, co by straszili stare pułkownikowe w piękne letnie noce.

Marja roześmiała się i starała się naśladować ducha:

- HUUUUU - huuuu! Chodź, drogi pastorze, i pozwól sobie zaproponować coś dla ciała. A potem będzie pan mógł pójść do swojej zmartwionej rady parafialnej i wytłumaczyć, że to wszystko to jedynie skutek nadużywania wiśniowego likieru na przyjęciach dla pań.

Pastor Cimber burczał niezadowolony.

- Możliwe, że masz rację, Marjo. Obawiam się jednak, że to nie uspokoi wzburzonych umysłów. Wiadomość rozchodzi się już jak na ptasich skrzydłach, baby się nawzajem podniecają. Czy nie mogłabyś z nimi porozmawiać?

Marja przyglądała mu się uważnie.

- Ja? Ależ mój dobry człowieku, to przecież ci sami ciemni ludzie, którzy o mnie mówią hekxa - Marja!

- Diabelska sprawa - mruczał pastor, opróżniając kieliszek koniaku. Potem podsunął go w stronę Marji z pożądlivym uśmiechem.

- Jeszcze raz to samo, to opowiem o tym, jak niegdyś jako kapelan w Indiach Wschodnich uczyłem młodego Murzynka śpiewać psalmy!

- Nie, dziękuję - odparła Marja z surową miną. - Swoje wstrętne historie może pan zachować dla siebie, panie Cimber!

Pastor roześmiał się grubiańsko, wiedział, że ta kobieta jest prawdopodobnie jedyną w jego parafii, która by zniosła akurat tę historię. Dzielna osoba ta pani Marja. I na dodatek nie miesza się do spraw, z którymi nie ma nic wspólnego. I zawsze z nawiązką płaci za wszelkie usługi. Chociaż za jego czasów nie było u niej ani ślubów, ani pogrzebów, to zawsze, z okazji świąt kościelnych lub innych okoliczności, dostawał pół świni i dodatkową baryłkę masła.

- Błagam cię... Plotki krążą po okolicy, że on wzywa swoją żonę. A w takim razie ty jesteś najbliższa, prawda? Gadają... że on odebrał sobie życie. Że jego dusza nie zaznała spokoju, ponieważ twoja matka została pochowana u boku tego... kata. Ludzie mówią, że trzeba przenieść zwłoki.

Twarz Marji stężała.

- Ja jestem córką tego kata, a nie Mogensa. Moja matka będzie spoczywać u boku mojego ojca i nikt nie będzie na ten temat rozsiewał żadnych plotek! A teraz, panie Cimber, zdaje mi się, że ma pan dość. Proszę iść do domu i wypocząć. I niech pastor nie roztrząsa tej sprawy, to i plotki ucichną.

Pastor jęknął i wyciągnął przed siebie jedną nogę.

- Więc nie chcesz z nimi porozmawiać? Mój Boże, jak ja nie znoszę rozhisteryzowanych bab. One są gorsze od stada kur! Gdaczą, biją skrzydłami i dziobią mnie przez cały czas...

Marja kiwała głową, jej twarz wyrażała pełne zrozumienie. Ten pastor nie cieszył się szacunkiem, tyle zdążyła zauważyć. Dręczył swoich nieszczęsnych dzierzawców, gonił z batem parobków i chłopców stajennych, poza tym jest podobno chodzącym śmiertelnym zagrożeniem dla wszystkich panien w parafii.

Marja cmoknęła i wbiła w niego litościwe spojrzenie.

- Mój biedny panie Cimber... myślę, że musi pan natychmiast odzyskać powagę. Dlaczego sam nie miałby pan spędzić nocy w kościele, żeby udowodnić tym babom, że to wszystko głupstwa i wymysły?

Jego przerażone spojrzenie ubawiło ją.

Stał się jeszcze zabawniejszy, kiedy z rozbieganymi oczyma zaczął jej przedstawiać wszystkie swoje zdrowotne dolegliwości, które, niestety, nie pozwalają mu sypiać gdzie indziej jak tylko we własnym, ciepłym łóżku. W żadnym razie nie może narażać swego zdrowia na szwank poprzez spędzanie tak długiego czasu w wilgotnym jak piwnica kościele.

- Szkoda - westchnęła Marja. Upiór ukazał się staremu Einarowi Smedestuen. A w kilka nocy później grupę żeńców, wracających późno z najwyższych położonych pól, przeraził ten sam widok: świetlista, pozbawiona konturów postać unosząca się nad cmentarzem.

Niektórzy opowiadali, że można było rozróżnić rysy twarzy i że na pewno był to mężczyzna z brodą oraz przeredzonymi włosami. Otwierał usta w niemym krzyku, jakby z wielkiego bólu. Po chwili osunął się na ziemię i zniknął akurat tam, gdzie teren się obniża u węgła kościoła, czyli tam, gdzie zgodnie z zachowanymi pogłoskami Mogens Skanke nakazał zniknąć duchowi zmarłego parobka, gdy ten bawił się z nim po śmierci i nawiedzał go dość często.

- Mogens Skanke z nikim się nie bawi - gorszyli się ludzie. Starsi spoglądali

po sobie ze zgrozą. To nie przypadek, że wszystkie te dziwne zjawiska przytrafiły się równocześnie. Najpierw ten złodziejski tabor, potem straszna niepogoda, byk, który padł z niewytłumaczalnego powodu, ten dławiący upał i wreszcie strachy na cmentarzu. Żegnali się i mamrotali pod nosem, że to dopiero początki, na razie widziano tylko cztery zapowiedzi nieszczęścia, dopiero kiedy będzie ich siedem, nastąpi prawdziwa katastrofa. Przypuszczalnie Dzień Sądu. Albo potop. Mogłoby też być morowe powietrze lub huragan, który zniszczy wszelkie uprawy i sprowadzi głód na całą okolicę.

To ostatnie wydawało się najbardziej prawdopodobne.

Zboża na polach już dawno zaczęły żółknąć, choć kłosa ledwo się rozwinęły. Nawet te maleńkie ziarna nie dojrzeją, jeśli wkrótce nie spadnie deszcz. Szybko rosnące wiosną rośliny zniszczy susza.

Jeszcze dwa tygodnie bez deszczu i będzie po wszystkim.

Ludzie ocierali pot z twarzy i spoglądali w niebo. Ono jednak stało nad nimi wysokie i jasnoblękitne, niczym odwrócona do góry dnem elegancka waza do zupy.

Zatem znowu kierowano wzrok ku ziemi i powracano do nawadniania wyschłych pól, wiadro za wiadrem ludzie dźwigali wodę z rzeki.

I coraz więcej parafian widywało cień starego Mogensa.

Pewnego dnia przyszedł list od pisarza, że wybrany pośpiesznie nowy lensman nie może być zatwierdzony przez władze i że w zamian wyznacza się młodego Jensa Munthe, syna samego pastora Christiana Munthe z Hafslø. Dawny lensman, rzecz jasna, wystąpił do tingu z żądaniem zwrócenia mu srebrnych guzików i należnych przywilejów.

Jednak dobry syn pastora najwyraźniej nie był specjalnie zainteresowany stanowiskiem, twierdził, że ukazał mu się Mogens Skanke i dał znak, by w żadnym razie nie podejmował się tego rodzaju zadania.

Magnus Storlendet chichotał złośliwie, siedząc przy narożnym stole w karczmie w Dosen, jak to czynił często w te upalne dni.

- No to skończy się chyba na tym, że ja i mój syn, Edvard, zajmiemy dwóch lensmana!

Chłopi byli zakłopotani. Rzecz jasna, woleliby przystojnego lensmana, takiego jak ten urodziwy i skromny syn pastora Munthe. Ale Magnus Storlendet jest jednym z nich. To chłop i myśli po chłopsku. Z takim łatwiej się porozumieć. A gdyby się zaczął wywyższać lub działał niesprawiedliwie, to przecież zawsze można się

poskarżyć do pisarza. Ten zaś jest w porządku, można się z nim dogadać, i można sporo osiągnąć.

No i całe szczęście, bo na przykład pastor nikomu nie pomoże. Szczerze powiedziawszy, takiego jak pastor Cimber we wsi jeszcze nie widziano, był jak świadectwo złych czasów, kłótniwy i nieustępliwy.

Może to jego stary Mons nie chce widzieć na swoim miejscu, gadali chłopci nad piwem w karczmie i wybuchali złośliwym śmiechem.

- Trzeba napisać skargę do biskupa, to zobaczymy, czy przestanie straszyć - zaproponował odważnie pewien młody komornik. Nie wiadomo, jak się to stało, ale minęły ledwie dwa dni i komornik został wyrzucony z chałupy. Biedak zapomniał, że jego gospodarz winien jest Cimberowi opłaty za ostatnie półrocze.

No i gadanie ucichło.

Nikt jednak nie miał odwagi chodzić nocą koło kościoła, a w niedzielę bardzo wielu nie przybywało na mszę, wymawiając się chorobą.

Johanna naliczyła zaledwie sześćdziesiąt osiem dusz w drugą niedzielę po świętym Janie, chociaż tego dnia właśnie miano odczytywać rozmaite obwieszczenia biskupa i króla.

Ravi, jak zawsze, wiercił się na ławce, Reina natomiast siedziała spokojnie ze wzrokiem utkwionym gdzieś wysoko jakby ponad ołtarzem coś zwróciło jej uwagę. Johanna westchnęła, robiła sobie wyrzuty, że pozwala myślom krążyć swobodnie, nie słucha pastora. Ale jego kazanie było dzisiaj pokrętne i pełne dziwnych słów. Zastanawiała się, czy on po prostu nie czyta jakiejś nabożnej książki. A może to są stare łacińskie przepisy kucharskie?

Na szczęście chyba zaraz skończy. Pastor Cimber nie wygłaszał długich kazań. To jedna z niewielu dobrych jego cech, myślała Johanna.

Kolejny psalm zapoczątkował ostatnią część nabożeństwa. Dziewięć wersów. Potem wierni wstali, a przynajmniej ci z nich, którzy już wcześniej się podnieśli, żeby powoli kierować się ku drzwiom. Johanna wytrzeszczyła oczy, ku swemu największemu zdumieniu stwierdziła, że Cimber się zachwiał, chwycił kurczowo brzeg ołtarza i opadł na niego. Twarz przypominała szarą maskę. Było widoczne, że proboszcz ma boleści.

Od kobiecej strony rozległy się wystraszone okrzyki.

Mężczyźni przez chwilę siedzieli jak zmrożeni, po czym podbiegli i ułożyli na podłodze nieprzytomnego pastora, który wydawał z siebie jakiś bełkot.

- Johanno Vildegard! chodź szybko, pastor jest chory! Poczwała rękę Reiny na rękawie, ale uwolniła się od niej łagodnie, cicho uspokajała małą.

Pastor miał czoło wilgotne i rozpalone, policzki mu się zapadły. Skóra była zmęczona i szara, ale obwódki oczu zaczerwienione. Za dużo alkoholu? Najpierw tak pomyślała, zwłaszcza że oddech pastora czuć było kminkiem i anyżkiem. Serce jednak biło miarowo, wkrótce też nawiązała kontakt z chorym. Wracwał do przytomności, ale skarżył się na piekielny ból głowy.

Poprosiła mężczyzn, by przenieśli chorego do łóżka, i poleciła woźnicy z probostwa jechać do Vildegard. Herbata z ziół z owoców czarnego bzu, liści jesionu i bobrka trójlistkowego. Kora wierzby wyschła już za bardzo i nie posiada żadnej mocy. W takim razie powinna mu zaaplikować parę kropel wyciągu z kasztanowca, by trochę odwodnić opuchnięte ciało.

Nie mogła opanować niechęci do tego chorego człowieka. Twarz pastora nie była urodziwa, nawet gdy się uśmiechał. A kiedy teraz wykrzywił ją ból, stawała się naprawdę przerażająca. Odetchnęła z ulgą, gdy go zabrano, a ona mogła z Ravim i Reiną wrócić do domu i w spokoju rozkoszować się niedzielnym obiadem.

- Co z pastorem, mamó?

- O, zdaje mi się, że źle znosi upał. I chyba używa za wiele alkoholu do gaszenia pragnienia.

- To ludzie tak robią? Gaszą pragnienie lekarstwem?

Johanna pogłaskała dziecko po czarnych włosach, musiała ze wstydem przyznać, że chyba za bardzo chronią małą, izolują ją od prawdziwego życia. Widuje ona przeważnie własne podwórko, szafasy w górach i od czasu do czasu, podczas krótkich wizyt, Meisterplassen. Johanna sama nie potrafiłaby powiedzieć, dlaczego tak trzyma córkę przy sobie, a zresztą chyba nie jest tak źle. Mała przez cały czas jest przy niej, więc pod wieloma względami wie chyba więcej o życiu niż nawet starsze od niej dzieci. Kiedyś nawet schowała się w kącie i stamtąd obserwowała poród. Wielokrotnie widziała umierających ludzi. Sama czuwała przy starej Jonsa - Mari i trzymała ją za rękę, dopóki serce tamtej nie przestało bić i nie została uwolniona od wszystkich ziemskich cierpień.

Natomiast nigdy Reina nie widziała pijanego człowieka.

W każdym razie nikogo poza rozradowanymi gośćmi, których Marja przywoziła co roku. Oni jednak w żadnym razie nie przypominali tragicznych postaci znajdujących w przydrożnych rowach, przed karczmą w niedzielne poranki lub w

dniach wiejskiego tingu.

- Alkohol to wspaniałe lekarstwo, może nawet najlepsze, jakie istnieje, kiedy używamy go do wyciągania leczniczej mocy z różnych ziół i do przechowywania tej siły. Ale jest on bardzo niebezpieczny, Reino, jeśli ludzie piją go ponad rozsądną miarę.

- I Cimber tak robi? Napotkała czyste spojrzenie dziecka. Reina zawsze wymagała prawdziwych odpowiedzi. Dlatego Johanna przytaknęła.

- Tak. To będzie jego przekleństwo, zobaczysz. Reina długo się nad tym zastanawiała.

Johanna kazała jej się umyć przed jedzeniem. W niedziele zwykle Marja i Remmermann przychodzili do nich na kolację bez towarzystwa rozgadanych przyjaciół i znajomych.

Mógłby to być naprawdę miły wieczór, może nawet mogliby siedzieć na dziedzińcu pod wielkim drzewem i czytać sobie głośno jakiś ciekawy opis podróży lub coś równie interesującego.

Johanna bardzo lubiła te chwile, kiedy Reina robiła się senna w jej objęciach jak całkiem małe dziecko. A oczy Benjamina zawsze lśniły radośnie, kiedy Marja odkładała książkę i zaczynała opowiadać jedną z własnych przygód. Ona sama podejrzewała, że babka wymyśliła co najmniej połowę tych dramatycznych wydarzeń, które opisywała tak barwnie.

Ale cóż to ma za znaczenie.

Dzieci dowiadywały się tak wiele. Nawet Ravi dawał się porwać pięknemu głosowi Marji. A nikt nie śmiał się głośniej niż Remmermann, kiedy opowiadała o kapitanie piratów, którego uwiodła, czy o Indianinie, który oddał całą skrzynię bardzo kosztownych przypraw za amulet przez nią osobiście zrobiony ze starych sznurowadeł, kilku mewich piór i kociej sierści.

Tak jest, dziś wieczór będą się cieszyć życiem i odpoczywać. Nadchodzi kolejny tydzień pracy i będzie on bardzo trudny. Trzeba zebrać skoszone siano, a jeśli pogoda się nie zmieni, będą musieli co wieczór nosić wodę. Ponadto trzeba wykorzystać okazję, że większość służby jest z bydłem w górach, i zrobić gruntowne porządki, wywietrzyć i wymyć izby, wytrzeć materace, uprać pościel i zimowe ubrania...

Johanna miała aż nadto zajęcia ze zbieraniem ziół i przygotowywaniem lekarstw. Każdego lata Marja przywozi mnóstwo książek i czasopism, a w tym roku

Johanna nie miała ani chwili czasu, żeby do nich zajrzeć. Wciąż leżały w skrzynkach, mimo że ściany w małej izbie Ravi pokrył solidnymi półkami na książki.

- Mamo... Reina najwyraźniej doprowadziła swoje filozoficzne rozmyślania do końca.

- Dlaczego oni to robią? To znaczy ci, którzy piją za dużo alkoholu. To przecież smakuje okropnie!

Johanna nie bardzo wiedziała, ile dziecko jest w stanie zrozumieć.

- Może dlatego, moje dziecko, że po alkoholu ma się bardzo ładne sny. Albo dlatego, że nie są w stanie widzieć życia takim, jakim ono jest. Nie wiem. Alkohol powoduje, że człowiek przestaje się tak bardzo wszystkim przejmować, nie myśli o smutnych i trudnych sprawach.

Umilkła. Te jej wyjaśnienia mogą się wydać bardzo pociągające.

- Potem jednak wszystko staje się jeszcze trudniejsze, człowiek czuje się chory, nie może pracować. W ogóle nic nie jest w stanie robić!

Reina znowu się zamyśliła.

- Więc to najlepsze lekarstwo, jakie mamy, robi też ludzi chorymi? Johanna przytaknęła.

- No właśnie, tak jak naparstnica, wiesz przecież. Tłumaczyłam ci, jest groźna dla życia, jeśli się nie wie, jak się z nią obchodzić. Jak ją zbierać, suszyć, jak przygotowywać lekarstwo, z czym mieszać.

- Tak, tak! Tak samo jest ze sporyszem i z jaskółczym zielem, i z kozieradką! I z tymi ślicznymi czerwonymi dzwoneczkami...

- No właśnie. I z alkoholem też. Reina była zadowolona. Zacisnąwszy małą piąstkę, oświadczyła:

- Nigdy nie będę pić alkoholu inaczej jak tylko na cukrze. Johanna musiała się roześmiać, przytuliła córeczkę i dziękowała Bogu, że Ravi też doszedł do takiego samego wniosku jak Reina. Odkąd to dziecko się urodziło, nigdy nie znalazła go nieprzytomnego po wódce. Dawny strach powoli, ale konsekwentnie opuszczał jej ciało i serce.

Teraz bez najmniejszego niepokoju mogła iść go szukać wieczorem, jeśli zapomniał o upływie czasu w swojej chacie i malował. I zawsze go tam znajdowała, przejętego, umazanego farbami, z pędzlem lub rylcem w ręce.

- Co to, już wieczór? Johanna uważała też, że jego obrazy są teraz ładniejsze. Malował lepiej niż wędrowni artyści, którzy niejednokrotnie przychodzili do wsi,

proponując swoje dzieła. Powiedziała mu o tym, proponowała, by odwiedzał bogatsze domy, na przykład urzędników i oficerów, i pokazywał im swoje obrazy. Wtedy on zaprotestował ze śmiechem:

- Przecież ja maluję głównie potworki i trolle, różne huldry i krasnoludki. Kto by chciał powiesić sobie coś takiego na ścianie?

Johanna musiała przyznać, że z pewnością niewielu. Ale Ravi mógłby przecież malować też kwiaty, ludzi i zwierzęta. A takie obrazy były w ich czasach bardziej niż popularne. Malarze przychodzili aż z Telemarku lub Gudbrandsdalen, by z chłopami z zachodniego wybrzeża rozmawiać na temat zamówień. Jeden taki pól zimy przemieszkał u rodziny Krohg i przemienił ich wysoką izbę w bujny i barwny ogród kwiatowy. Johannie zakreśliło się w głowie, kiedy po raz pierwszy się tam znalazła, tańczący ludzie mieszały się na ścianach z pobożnymi sentencjami i dość niezdarnymi obrazami zaczerpniętymi z Biblii.

Ravi bardzo lubił malować.

Nie myślał jednak o zarabianiu pieniędzy na swojej sztuce, zresztą wcale mu też nie przeszkadzało, że tylko Johanna i niekiedy Reina je ogląda. Gotowe malowidła wnosił na strych, zapełnił już przestronne pomieszczenie za pokojem Benjamina dużymi drewnianymi płytami i płótnem rozpiętym na drewnianych ramach.

Z czasem, ku zadowoleniu Johanny, obrazy stawały się pogodniejsze i jaśniejsze. Jakby czystsze, no i ładniejsze.

Nie takie jak tamte, które oglądała na początku.

Odetchnęła z ulgą. Tutaj na dziedzińcu, pod rozłożystym drzewem, panował niezmacony niedzielny spokój. Usłyszała, że Marja śmieje się w kuchni, rozmawiając ze służącymi. Reina też tam pobiegła.

Przyszedł Benjamin, mrużąc oczy pod słońce, i usiadł obok matki. Objęła ramieniem jego chude barki, ostrożnie i delikatnie, jak przywykła dotykać tego dziecka.

- Jesteś głodny, mój dorosły synu? Skinął głową i znowu zmrużył oczy. Miały one ten najczystszy niebieski kolor, jaki istniał też w jej tęczęwkach, głęboki i intensywny, jak w dniu, w którym się urodził. I wyraz zachowały także ten sam, jaki zapamiętała z tamtych, pełnych przerażenia godzin, kiedy siedziała nad rzeką pod kościołem w Torpo i myślała, że dziecko umrze...

- Jestem bardzo głodny - powiedział. - Mam nadzieję, że będzie kasza ze śmietaną i solone mięso.

Johanna uśmiechnęła się. Bogu dzięki przygotowywanie jedzenia nie należało już do niej. Stara służąca miała pod tym względem więcej zdolności, Johanna była pewna, że ona potrafi nawet starą podeszwę tak przyrządzić, że wszystkim smakuje. Nauczyła się używać pieprzu, gałki muszkatołowej i wielu innych przypraw. Przed Bożym Narodzeniem w całym domu pachniało cynamonem i kolendra, nawet do kiszzonej kapusty dodawała mnóstwo przypraw, nie tylko kminek.

Benjamin przyniósł pod pachą książkę.

Jakżeby inaczej.

Wyciągnęła mu ją i studiowała piękną okładkę ze skóry. To atlas, opis mórz świata dokonany przez pewnego marynarza. Pełno w nim było dziwacznych węży morskich i ludzi innych ras, jakich Bóg rozsiał po świecie. Johanna doznała głębokiego wzruszenia.

Benjamin wciąż mówił o swoim największym marzeniu, o podróżach...

- Jeszcze nawet nie widziałem królewskiego miasta narzekał, kiedy Johanna tłumaczyła mu, że będzie musiał trochę poczekać.

Nie miała sumienia powiedzieć synowi otwarcie, że nigdy nie zniesie trudów marynarskiego życia. Teraz był dość zdrowy, ale blady i szczupły. Jego długie ręce nie zostały stworzone do naciągania lin, raczej właśnie do przewracania kartek w książkach. Może powinien pójść na studia? Zostać pastorem lub lekarzem? A może prokuratorem?

Nie, on by nie wytrzymał takiego obciążenia. Johanna popatrzyła na jego ładną, szczupłą twarz i pomyślała, że pewnego dnia syn będzie musiał spojrzeć prawdzie w oczy.

Pewnego dnia jego marzenia rozpadną się na kawałki jak wielka bryła soli pod uderzeniem młotka. Na szczęście, jeszcze nie teraz.

Nie w to błogosławione popołudnie, gdy lekki wietrzyk w koronach drzewa niesie zapowiedź trochę chłodniejszej pogody, może nawet deszczu.

Obeszła właśnie dom, by sprawdzić, czy wszystkie drzwi zostały pozamykane, gdy chrzęst końskich kopyt na zwirowanej alejce powiedział jej, że ktoś przyjechał. Nie było jeszcze późno, dopiero dziesiąta, przez szpary w okiennicach wpadało wciąż sporo światła, duża izba chorych skąpana była w delikatnej poświacie. Leżała tu teraz tylko jedna położnica z Feigum, która nie miała jeszcze dość sił, by znieść trudy podróży do domu. Przywieźli ją tutaj, bo bali się, że nie zdążą sprowadzić Johanny. Męczyła się biedaczka trzy doby, zanim tu trafiła, i Johanna musiała używać swoich

zakazanych łyżek. Głowa maleństwa się zaklinowała, nie było innej rady. Ale wszystko się dobrze skończyło, teraz oboje wracali do sił.

- Posłaniec z probostwa! Pani Johanno, proszę natychmiast otworzyć! Krzyki irytowały Johannę, usłyszała, że Reina wierci się na swoim posłaniu.

- Cicho bądź, człowieku! Nie budź całego domu! Co to znowu za niedzielny posłaniec...

- Musi pani natychmiast jechać! Pastorowi się pogorszyło, bredzi w gorączce, a herbaty, co to pani przysłała, wcale nie pomogły!

Johanna westchnęła.

- Czy on pił? Chłopak mrugał, nie pojmując.

- Pił? Co takiego?

- Wódkę, niemoto! Pastor był, Boże odpuść, pijany jak bela już podczas dzisiejszego nabożeństwa!

Posłaniec zaczerwienił się, jakby to chodziło o jego ojca.

- Pani nie powinna... ja nie wiem... powiedzieli mi tylko, że mam bez pani nie wracać. Cimber bardzo wierzy w pani doktorskie zdolności.

- Dobre i to - mruknęła Johanna. Rzuciła tęskne spojrzenie w głąb pokoju. Ravi leży i czeka na nią. Przy stole pogłaskał ją po ręce, a w jego oczach odnalazła tę tak dobrze znaną, łagodną tęsknotę. Lato budziło ich oboje, odnajdywali się w przesycone światłem noce i kochali się nawzajem z taką szczerością i oddaniem, jakie może zrodzić tylko trwający latami spokój.

Ale Ravi będzie tu przecież, gdy ona wróci. Ta świadomość sprawiła, że Johanna już bez protestów narzuciła lekką chustkę na ramiona, włożyła do torby butelki z lekarstwami i wsiadła do małego powozu.

Chłopak pędził, jakby sam diabeł deptał im po piętach, był widocznie za młody, by pamiętać, że należy zwolnić koło Skjaeringen, tam gdzie kiedyś na zboczu od innego powozu odpadło koło...

Johanna na moment przestała oddychać, trzymała się kurczowo oparcia, ale nie powiedziała nic.

Kiedy została wprowadzona do sypialni pastora, pojęła, skąd ten pośpiech i niepewne wyjaśnienia chłopca.

To ospa!

ROZDZIAŁ PIĄTY

Krótko przebiegła w myślach wszystko, co wiedziała na temat tej choroby. Czytała o tym już dawno temu. Nawet nie wiedziała, z jakiej to książki pochodzi. Ale łącząc swoją wiedzę z fragmentami informacji z opowiadań Marji i ze słownika medycznego z Biblioteki Królewskiej w Kopenhadze, mogła sformułować ostateczną konkluzję:

Lekarstwa na ospę nie ma!

Epidemie tej choroby spadały na kraj w nierównych odstępach czasu. Słyszała pogłoski o zachorowaniach a to w Hardanger, a to w Lom. Trudno by więc oczekiwać, że ich okolicę los będzie oszczędzał, choć, prawdę mówiąc, nie leżała na skrzyżowaniu dróg.

Cimber naprawdę wyglądał żałośnie. Na twarzy i rękach pojawiły się czerwone plamy, które w ciągu nocy przemienia się w duże, bolesne pęcherze. Po kilku dniach będą to wrzody, wypełnione cuchnącą materią, głębokie, mogą się roznieść po całym ciele.

Choroba potrwa jakiś tydzień, a potem albo przyjdzie przesilenie, albo pastor umrze.

Oceniając na zimno stan chorego, Johanna wróżyła raczej to ostatnie. Ktoś z jego kiepskim zdrowiem... nie, pastor nie ma wielkich szans. Winna mu była jednak chociaż opiekę i próbę złagodzenia cierpień. Nie odważyła się dać mu wódki, jego ciało było już i tak zatrute.

Spokojnie wyjęła słoik pieprzu pomieszanego z prochem i poprosiła o kubek zagotowanego piwa. Mieszanka taka została wielokrotnie wypróbowana jako znakomity środek przeciwko ospie i gorączce. Johanna wiedziała jednak aż za dobrze, że spośród tych, których stać na takie drogie środki, szansę przeżycia ma nie większy odsetek, niż tych, którzy będą pić tylko czystą wodę, a rany złagodzić okładami z kwaśnego mleka.

Poczuła, że krtań zaciska jej się ze strachu.

Żeby nie wiem jak długo studiowała w Instytucie Crugera, to i tak nie odjęto by jej strachu przed zakaźną chorobą.

Wydawała instrukcje bezbarwnym głosem: Wszyscy, którzy odwiedzali probostwo w ciągu ostatnich dziesięciu dni, powinni być wezwani z powrotem i zostać tu, dopóki nie będzie pewności, że nie zachorują. Parobek, który ją przywiózł, nie powinien wracać do pracy na łące.

Z ciężkim westchnieniem uświadomiła sobie, że będzie musiała porozmawiać

z lensmanem.

I że ona sama też chyba nie będzie mogła wrócić do domu, póki zaraza nie minie.

- Dzięki tym przedsięwzięciom może uda nam się powstrzymać zarazę, więc chyba warto spróbować?

Johanna czuła, że zadawniona nienawiść do tego człowieka może stłumić lęk przed chorobą, której dopiero co spojrzała w oczy.

Magnus Storlendet nie zsiadł z konia. Zatrzymał się po tamtej stronie płotu i krzyczał do niej:

- Ani mi się waż! Do diabła, to przecież sam środek sianokosów, a zachorował tylko jeden człowiek i wcale jeszcze nie wiadomo, co mu jest! Kto powiedział, że to ospa? Jakaś przesadna baba, wiejska znachorka! Ha! Nie oszukasz mnie swoimi pięknymi papierami! Chcesz mnie pozbawić urzędu lensmana, co? Chcesz mnie oczernić i nakłonić ludzi, żeby się mnie pozbyli, bo roznoszę jakieś rozporządzenia, które uniemożliwią im zebranie drogocennej paszy!

Johanna nie mogła uwierzyć, że człowiek może być taki głupi.

- No to dlaczego stoisz za płotem? Jeśli nie wierzysz w moją diagnozę, to chodź tutaj, sam obejrzyj pastora.

Zawahał się na te nieoczekiwane słowa. Ale ostatnie wyzwanie zrozumiał aż za dobrze. Magnus Storlendet z obrzydzeniem splunął w jej stronę.

- Głupia baba! - syknął. - Nic dziwnego, że pastor spadł z ambony. Po takiej nocy w karczmie... powinnaś go widzieć wczoraj wieczorem. Mogę cię zapewnić, że nie miał najmniejszych objawów ospy!

Johanna zbladła.

Jest gorzej, niż myślała. W sobotnie wieczory w karczmie zbiera się mnóstwo ludzi. Pastor niewątpliwie chodził od stołu do stołu, jak to on, obłapiał dziewczyny, głaskał chłopów po głowach i pociągał im z kieliszków. W wyobraźni widziała go, jak się zatacza, jak parska na wszystkie strony śliną...

Popatrzyła z uporem na człowieka, któremu nigdy do końca nie wybaczy.

Jeśli zaraza miałaby przynieść też coś dobrego, to byłby to widok Magnusa Storlendet, jak się wije w męce, a zgnilizna wypływa z jego ciała poprzez wielkie, pulsujące wrzody.

Nie!

Nie wolno tak myśleć! Powiedziała bardzo spokojnie:

- Moja rada jest taka, lensmanie, że powinieneś natychmiast rozesłać po wsi wiadomość, żeby nikt stąd nie wyjeżdżał i żeby nie wpuszczano nikogo obcego. Powinniśmy wyznaczyć wysokie kary dla takich, którzy chcieliby wyjechać ze wsi. Zaraza może się przenosić. Ona się nie przenosi z wiatrem, tylko poprzez ludzi i jedzenie. Nikt nie powinien sprzedawać zboża ani ryb. Zresztą w ogóle niczego, dopóki to nie minie.

- Głupia babo! - warknął znowu. - Czy ty myślisz, że ludzie mi uwierzą, chociaż nie mam im do pokazania ani jednego chorego na ospę? Pastor Cimber jutro będzie zdrowy jak ja, poczekaj, a zobaczysz.

Zrozumiała, że go nie przekona.

Bez słowa wróciła na plebanię. Przygotowano jej posłanie w starym zakurzonej pokoju niedaleko wejścia.

W pewnej chwili złapała się na tym, że myśli o Mogensie Skanke, o tym, czy i on odpoczywał na tej samej ławie, zaraz jednak przypomniała sobie, że przecież był pożar, stary dom się spalił, trzeba było odbudować plebanię. Teraz to całkiem inny dom, nawet jeśli stoi na tym samym miejscu. To ją uspokoiło, ale sama sobie robiła wyrzuty, że tak o tej sprawie myśli.

Nawet jeśli to całe gadanie było wymysłem i babską histerią, to nie bawiła jej myśl, że w nocy mógł jej złożyć wizytę zmarły blisko sto lat temu pastor.

W drzwiach stanęła gospodyni Cimbera, stara panna, o której pastor mówił, że jest jego ciotką. Zapytała, czy podać coś do jedzenia lub do picia.

- Nie, dziękuję - odparła Johanna zmęczonym głosem. - Myślę jednak, że my obie powinnyśmy się naradzić. Jeśli jest tak, jak sędzę, to będzie mnóstwo roboty.

Błada kobieta usiadła i splatała nerwowo szczupłe palce.

- Niech nam Bóg pomaga, jeśli pani ma rację, Johanno.

- Niech nam pomaga mimo wszystko - westchnęła Johanna.

- Ja wiem, co ospa może zrobić - powiedziała tamta szeptem. - Miałam trzy małe siostrzyczki... umarły w trzydziestym piątym. W czasie wielkiej zarazy...

Johanna skinęła ciężko.

- Dzieci są narażone najbardziej. Maleństwa nie mają siły, żeby się przeciwstawiać... giną, prawie wszystkie, które się zaraziły.

Kobieta wyciągnęła rękę.

- Nazywam się Alette. Alette Tordsten. Z Trondheim. Johanna znowu skinęła. Akcent gospodyni pastora wymownie świadczył o jej pochodzeniu.

- W młodości byłam zakonnicą, w klasztorze Najświętszej Pani, we Francji.

Johanna podniosła wzrok.

- Myślisz, że to teraz pomoże? - zapytała, nie próbując nawet ukryć rozpacz.

Kobieta z lekkim uśmiechem odpowiedziała jakby przed siebie, nie patrząc na Johannę:

- Opiekowałam się wieloma... chorymi na ospę. Mnie udało się przeżyć.

Wtedy Johanna uniosła głowę. Badawczo przyglądała się postarzałej twarzy, szukała dziobów i blizn, znalazła ślady częściowo ukryte pod włosami, na czole, pod uszami.

- Więc teraz już nie zachorujesz? Wysoko upięte włosy gospodyni poruszyły się, gdy kiwała głową.

- No, to jesteśmy dwie, pani Alette.

- Ty też przechodziłaś ospę? Johanna nie odpowiedziała. A zresztą i tak było za późno. Jeśli miała się zarazić, to pewnie już się zaraziła. To jej los. Sama przecież wybrała drogę. Nie mogła siedzieć ze wszystkimi swoimi książkami, lekarstwami, pięknymi instrumentami i uciekać, kiedy ludzie naprawdę potrzebują jej przytomnych decyzji.

- Musimy załatwić wiele spraw, zanim położymy się spać. Czy mogłabyś przynieść papieru ile tylko można, pióra i atrament? Myślę, że przyda się też piasek do osuszania, bo trzeba jak najprędzej powysłać wiadomości.

Alette bez słowa kiwnęła głową, ale w jej oczach pojawił się jakiś nowy żar.

Była gotowa do podjęcia walki.

Wyglądało niemal na to, że jest gotowa od dawna. Jakby czerwone placki na twarzy Cimbera były wytęsknionym sygnałem dla dzielnego żołnierza.

- W takim razie zaczynamy. Ty piszesz do proboszczów w sąsiednich parafiach, ja napiszę do wójta z prośbą, żeby powstrzymał wszelki ruch w naszej okolicy. Być może trzeba będzie rozpałać ostrzegawcze ognie na wzgórzach. Trzeba też przestrzec kapelana, żeby nikt inny żadnych ogni nie rozpałał. Kościół należy zamknąć, przynajmniej do czasu, dopóki się go dokładnie nie wyszoruje wodą z ługiem i nie wyłoży gałązkami jałowca. W razie czego można kościół wykorzystywać jako szpital, ale to zobaczymy później...

Kobieta natychmiast zabrała się do pracy. Johanna zwróciła uwagę, że ma ona bardzo ładny charakter pisma.

Kiedy zrobiło się ciemniej, zapaliły kosztowną lampę. Johanna posypywała

piaskiem list do ojca. Trzeba przykazać posłańcowi, żeby nie czekał na odpowiedź.

Johanna zabraniała swemu ojcu przyjeżdżać do niej, żeby pomagać, choć wiedziała, że właśnie taka będzie pierwsza myśl Bendika.

Dadzą sobie radę bez niego.

Ona i Alette. I poza tym mogą wezwać do pomocy wszystkie kobiety, które chorowały na ospę, gdyby rzeczy przybrały najgorszy obrót.

Magnus Storlendet nadal protestował. A ponieważ minął dzień drugi, a potem trzeci, prawie uwierzyła, że to on ma rację. Byłaby to wielka ulga.

Trudno wprawdzie znaleźć inną diagnozę dla pastora, nadal jednak ani w poniedziałek, ani we wtorek nie było nowych zachorowań. Ludzie we wsi zostali poinformowani, wielu z nich natychmiast wysłało swoje dzieci z domu.

Ale nic się nie działo.

Wieczorem Johanna postanowiła, że następnego dnia skorzysta z szansy powrotu do domu. Nie mogła zrobić dla Cimbera nic więcej niż Alette, a może dopisze im szczęście i zaraza się nie rozniesie?

W głębi duszy wiedziała, że można mieć taką nadzieję.

W środę rano kazała napalić w pralni na probostwie i zagrzać dużo wody, potem wyszorowała się cała żrącym mydłem, aż skóra zrobiła się czerwona.

Takie od dawna stosowane zabiegi może nie pomagają przeciw chorobie, Johanna czuła się jednak w jakiś sposób oczyszczona. Może nawet wieczorem odważy się uściskać Reinę i Benjamina?

Przyłapała się na myśli, że z jakiegoś powodu uważa Raviego za odpornego na chorobę.

I rzeczywiście, stał wyprostowany i w dobrym zdrowiu, wyciągał do niej ramiona, kiedy zbliżyła się do domu. Ale jego oczy zapadły się głęboko ze zmartwienia.

- No i jak sobie radzisz? Czy dużo ludzi choruje? Słyszałaś, skąd zaraza do nas przyszła? Czy pastor umarł?

- Odpowiedź na wszystkie twoje pytania brzmi nie - odparła Johanna z uśmiechem i pozwoliła mu się objąć. - Jak dzieci?

Teraz on się uśmiechnął.

- W dobrych humorach - powiedział. - Ale wszyscy bardzo się boimy o ciebie. Czy to naprawdę ospa?

- Tak - odparła krótko. - Ty masz jakieś wątpliwości? I opowiedziała mu o

lensmanie, o tym, że nie chce wprowadzić żadnych środków ostrożności, zanim choroba zacznie się przenosić.

- Ale mimo to na razie wszystko jest dobrze? Przytaknęła z wahaniem.

- Na to wygląda... Ale jest za wcześnie, żeby wyrokować... Nigdy jeszcze nie słyszałam o pojedynczym przypadku ospy. To się zawsze rozprzestrzenia, to piekielna zaraza!

Przyszła do nich Marja.

- Wtedy to się też tak samo zaczęło - powiedziała ponuro. - Na probostwie.

Johanna przytaknęła.

- Nie należy martwić się na zapas. Ty jednak powinnaś trzymać się na bezpieczną odległość od tego wszystkiego. Byłoby szkoda, gdyby połowa królewskiego dworu miała zginąć nad tym wąskim norweskim fiordem, nie uważasz?

Marja spuściła wzrok.

- Oni wyjeżdżają, posłali już po statek. Boją się zostać dłużej, wynajęli statek z Bergen. Dziś wieczorem zabierze ich stąd kuter transportowy, który był akurat w Solyorn.

Johanna potrząsała głową.

- Naprawdę? Tak prędko? W oczach babki wyczytała, że Marja również zamierza wyjechać.

- Jestem stara - szepnęła. - Nie chcę umierać wcześniej niż trzeba.

- Trzeba by czegoś więcej niż zwyczajnej ospy, żeby ciebie pokonać - ucięła Johanna. Ale poczuła dojmujące rozczarowanie, że w najgorszym czasie nie będzie miała przy sobie Marji.

Ona musiała to dostrzec.

- Chcesz, żebym została? Johanna stała bez ruchu.

- Nie. Powinnaś, oczywiście, wyjechać. To jedyne rozsądne wyjście. Dłoń Marji musnęła delikatnie policzek młodej kobiety.

- Zostanę - szepnęła babka. Johanna spojrzała jej w oczy i miała wrażenie, że widzi w nich radość.

- Ale dzieci wysyłam z domu. Mogą jakiś czas spędzić u Bendika i Heleny - dodała Marja.

- Nie! To nie jest konieczne. A poza tym nie powinniśmy łamać zakazu podróżowania, o który tak się starałam.

- Moja kochana, nie ma żadnego zakazu podróżowania. Może nawet nie ma

żadnej epidemii ospy. Jak sama powiedziałaś, coś takiego często się nie zdarza, ale przecież Pan w swojej łaskawości mógł się tym razem zadowolić zesłaniem plagi tylko na jednego z tych, którzy sobie na nią zasłużyli!

Johanna kręciła głową.

- Powinniśmy dawać ludziom dobry przykład, musimy... Marja złapała ją za obie ręce i mocno potrząsnęła.

- Dzieci wyjadą, słyszysz? A ja zostaję. To jedyne rozsądne wyjście. Na myśl o tym, że przez parę tygodni będzie pozbawiona towarzystwa Reiny i nie zobaczy łagodnego uśmiechu Benjamina, chciało jej się płakać. Ale pojawiła się inna koszmarna wizja, że oboje mogliby umrzeć od tej strasznej choroby.

- No to pakujcie ich rzeczy - powiedziała spokojnie, matowym głosem. Marja uśmiechnęła się zadowolona. Kiedy następnego ranka dzieci wyjeżdżały, oczy Johanny mimo wiatru nad fiordem były suche. Miała jednak wrażenie, że serce wyskoczy jej z piersi i podąży za dziećmi.

One natomiast cieszyły się, że spędzą jakiś czas u ciotki i dziadka.

Reina wyjęła nawet swoje najpiękniejsze gęsie pióro, które postanowiła dać w prezencie Ingalill. Bliźniaki dostaną książkę - oznajmiła. Przed odjazdem zniknęła gdzieś na całe popołudnie, pewnie bawi się nad rzeką. To dobrze, myślała Johanna, mało ludzi chodzi tamtędy. Nie uważała za konieczne opowiadać dzieciom o ospie, wysyłała tylko uspokajający list do Bendika z wyjaśnieniem, że nie jest tak źle, jak początkowo sądziła, ale że przez kilka najbliższych tygodni należy zachować ostrożność. I że przyśle wiadomość, kiedy będzie już bezpiecznie i dzieci będą mogły wrócić do Lyster.

Niezdarny kuter wiózł krowy i kury, ale arystokraci nie kręcili nosami.

Pożegnalne okrzyki Reiny i Benjamina słyszeć było jeszcze długo po podniesieniu kotwicy. Kuter, kołyszac się, wolno ruszał w drogę.

- Boże, pomyśleć, że moglibyśmy ich więcej nie zobaczyć - powiedziała Johanna zdławionym szeptem.

- Ale zobaczymy - odparł Ravi stanowczo. Starła się odkryć jakieś drgnienie głosu, cokolwiek, co by powiedziało jej, czy to pewność, czy tylko pragnienie.

Ale Ravięgo trudno przejrzeć.

Mimo wszystko uspokoiła się. Wieś leżała przed nimi taka ładna i czysta. Gdy jednak mijali Dosen, dotarła do nich wiadomość, że Fredę i jego żona zostali znalezieni martwi. Ich twarze to jedna rana, powtarzano z trwogą.

- To te przeklęte czarne łby! Psy wściekłe, powinniśmy byli ich powystrelać!
I posłano po lensmana. Magnus Storlendet nie przybył osobiście obejrzyć zwłok, ale wściekał się i przysięgał, że skręci kark każdemu włóczędze, który jeszcze kiedykolwiek odważy się wejść do wsi.

Niewiele to pomogło.

Dzień później choroba powaliła jego syna, Edvarda, i synową Edvarde.

Mimo zmartwień przespała się parę godzin. Epidemia ospy wybuchła z pełną siłą. Zaczęto już palić rzeczy chorych: pościel, ubrania, nawet miski i talerze, całe materace szły z dymem na wielkich ogniskach.

Do czego to dojdzie?

Dziwiła się, że jej lęk ma tak mało wspólnego z rozsądkiem. Najbardziej boi się o dzieci, jedyne przecież bezpieczne. Ona sama, Marja i Remmermann, Emmi i służba są znacznie bardziej narażeni. Ale ich wszystkich Johanna widuje codziennie, może się w każdej chwili przekonać, że na ich twarzach nie ma czerwonych plam. Że oczy są zdrowe, choć bardzo zmęczone.

Ravi też się martwił. Mimo wszystko ona mogła to znieść, przecież zawsze żyje z jakimś rodzajem lęku w sercu, ale Ravi... on zdaje się ugiąć wobec przeciwności. Drżą mu ręce, zrobił się zamknięty w sobie, drażliwy. Johanna podejrzewała, że Ravi najbardziej boi się właśnie o nią. Mimo to każdego wieczoru zaglądał jej w oczy i mówił:

- Ty nie zachorujesz, moja Hanno. Ty nie. I ona mu wierzyła. Kiedy więc poszła razem z Marją, by dzieciom na Hanseloftet dać lekarstwa przeciwgorączkowe i wzmacniające, bez wahania przytuliła maleństwa mocno. Biedactwa, takie były zrozpaczone. W chwilach przytomności domyślały się, że nawet rodzona matka boi się ich dotykać.

Jej pieszczota uspokoiła chore dzieci. Dała im trochę opium, bo potrzebowały odpoczynku, który pozwoliłby zebrać siły i przeciwstawić się śmierci, która już stuknęła w krawędź łóżka.

On już dawniej widział ludzi chorych na ospę, był przygotowany na widok, który Johanna spotykała wielokrotnie każdego dnia. Mimo to rzeczywistość była gorsza, niż przypuszczał. W górze pod skalnym nawisem rozpięli wielki żagiel jako ochronę od słońca. Konie znalazły miejsce w niewielkiej zagrodzie, gdzie rosło jeszcze trochę trawy, której nie wypaliło słońce. Gdyby ktoś tędy szedł, bez trudu zauważyłby niewielki tabor. Ale rzadko kto decydował się na taką okrężną drogę,

skąd daleko jest nawet do jakiegoś letniego szałas, prawdopodobnie do rozpoczęcia jesiennych polowań nikt się tu nie pokaże.

Oni jednak wcale nie czuli się bezpieczni, Ravi niemal fizycznie wyczuwał woń lęku, kiedy leżał w swojej kryjówce za wielkim głazem i zastanawiał się, czy powinien się odważyć...

Widzieli go już przedtem, wiedział o tym. Szedł prosto do obozu, jakby stąpał po śladach czyichś stóp. Pierwsza osoba, jaką zobaczył, to dziewczyna, która tamtego dnia pracowała u Johanny. Była młoda i bardzo ładna, ale nieduża i taka chuda, że Ravi odczuwał głód, który musiało przeżywać jej wynędzniałe ciało.

Zbierała wrzos i liście wierzby, pewnie zamierzała ugotować z tego jakieś lekarstwo.

Pozostał w swojej kryjówce, nie miał odwagi dać się rozpoznać. Dziewczyna przypominała przestraszone, ranne cielę renifera. I wiedział, że nie ma najmniejszego powodu wierzyć w jego dobrą wolę.

Gdyby tylko mógł dodać jej siły! Pęcherze ospy tkwiły niczym mroczne cienie na jej twarzy, mógłby je zobaczyć, gdyby się odważył, ale teraz jeszcze skóra była gładka i złocista.

Położył na trawie węzełek z suchym chlebem, dziewczyna na pewno go znajdzie. A ktoś taki głodny jak ona nie będzie się zastanawiał, w jaki sposób to jedzenie trafiło na pustkowie.

Ravi popatrzył na słońce, które już zaczynało się chylić ku górom. Jeśli ma zdążyć do domu przed wieczorem, powinien natychmiast ruszać i raczej biec niż iść. Wiedział, że odległość ze wsi do tego miejsca szacuje się na pół dnia marszu, jednak ktoś przyzwyczajony do biegania po kamieniach i zaroślach może ją pokonać w czasie o połowę krótszym.

Czuł, jak mięśnie napinają się pod skórą, tutaj, w górach, słońce nie piekło z taką siłą jak w dolinie, i chłodny wietrzyk zawsze osusza pot z mokrego karku.

Po raz ostatni spojrział na obóz i przysiągł sobie, że jutro... jutro odważy się tam pójść.

- Zajmuj się po prostu swoimi sprawami. Nie potrzeba nam nikogo więcej. Jest nas tam czternaście kobiet, które wcześniej przeszły ospę. Radzimy sobie z większością spraw... są też mężczyźni z wozami - tłumaczyła Johanna.

Tak naprawdę jednak sytuacja była z dnia na dzień gorsza. W odległych zagrodach i dworach ludzie na ogół nie chorowali, stosowali się też do rad i poleceń,

jakie im przekazywano: malowali krzyże na drzwiach, zamykali drzwi przed obcymi i jeśli to możliwe, podawali dzieciom pieprz zmieszany z prochem. Jednak na dole, w kościelnej wsi, coraz częściej chłopcy musieli wywieszać na kalenicach białe szmaty. Zaraza zapuszczała korzenie.

Każdego popołudnia Johanna widywała wiele takich białoszarych szmat, powiewających w letnim wietrze. A rano obie z Marją wstawały bardzo wcześnie, by nadzorować wysyłkę łagodzących maści i wyciągu z czarnych jagód hebdy przeciw gorączce i bólowi głowy oraz kulki z surowej mąki nasączonej kroplami świeżo wyciśniętymi z jaskółczego ziela, leczącego paskudne rany i powstrzymującego chorobę.

Nie wiedziała, czy cokolwiek z tego pomaga chorym, wielokrotnie miała ochotę podjąć coś w rodzaju własnych badań naukowych, podawać połowie chorych jedynie napar z rumianku albo coś równie łagodnego. Wtedy mogłaby się dowiedzieć czegoś więcej. Nie odważyła się jednak na takie eksperymenty, bo może mimo wszystko te jej mieszanki działają? A w takim razie skazałaby na śmierć i cierpienie tych, którym by, owładnięta naukową pasją, ich nie podała.

Zapas opium był na wyczerpaniu. Domyślała się, że Marja ma go jeszcze trochę, nie chciała jednak pytać, dopóki babka sama o tym nie wspomni. Remmermann zażywał je niekiedy przeciwko bólom żołądka, wiedziała też, że Emmi w zimie pija przed snem wino z tymi cukrowymi pigułkami. Były one prawdziwym błogosławieństwem, choć lekarstwo nie tylko sporo kosztuje, lecz jest też niebezpieczne. Pomaga jednak widocznie na wszystko. A jako środek znieczulający wielokrotnie przewyższa działanie alkoholu. Łatwiej też było je aplikować, zwłaszcza chorym, którzy na dodatek mieli wrzody żołądka.

Musiała wiedzieć, że robi wszystko, co można, tylko to dawało jej spokój. W każdym razie udawało jej się łagodzić najgorsze bóle i pomagać chorym pogrążyć się w głębokim śnie. Wtedy przestawali cierpieć. Kiedy spali, kobiety pod kierunkiem Johanny moczyły kawałki płótna w wywarze z jałowca i okrywały nimi ciała chorych. Po takim zabiegu spadała trochę gorączka. Chorzy bowiem nie chcieli niczego mokrego na ciele, jedną nogą w grobie, jeszcze pamiętali powtarzaną od dzieciństwa przestrożę, że kąpiel nie w porę osłabia. Jedyne, co akceptowano, to nacieranie ciała mokrym ręcznikiem w zimie, bo to uodparniało na zimno, które zawsze czai się w kątach drewnianych chat. Znowu zbliżała się niedziela.

Johanna nie mogła w to uwierzyć, ostatnie doby przeżyła jakby w gęstej mgle.

Wciąż jednak najgorsze nie minęło. Na plebanii czuwano przez parę nocy przy zapalonych świecach, ale wczoraj wieczorem Alette oznajmiła, że Cimber znowu usiadł na łóżku i w dodatku domaga się piwa.

Wyglądało na to, że jakoś się wylize mimo wychudzenia. Pęcherze na twarzy przeważnie zaschły, tylko niektóre były na tyle głębokie i zaropiałe, że zostawią po sobie blizny.

- Wciąż jeszcze tak się martwisz o dzieci? Chcesz, żebym pojechał i przywiózł je do domu?

Wiedział, co Johanna odpowie, ale mimo wszystko musiał zapytać.

- Nie, czyś ty oszalał? To najgłupsze, co moglibyśmy zrobić. Może ospa kryje się jeszcze w ich ubraniach, chociaż one same nie zachorowały... Kto wie, może choroba rozprzestrzenia się też z wiatrem i z wodą. Nie mam odwagi nawet o tym myśleć. Musimy wierzyć, że wszystko jest dobrze. Ale nikt nie wie, co się może zdarzyć. Mogli się zarazić, zanim wyjechali...

Ravi zdrapywał plamkę farby z paznokcia.

- Jesteś pewna, że jutro nie powinienem z tobą pójść? Johanna westchnęła.

- Nie, dziękuję. My... na razie jest nas dość. Ravi milczał. Wiedział, że Johanna chce go oszczędzić. To dobrze. To bardzo dobrze, czasami jednak czuł się jak nikomu niepotrzebny podrostek. Nie jest w porządku, że on siedzi spokojnie i maluje kwiatki, kiedy ona biega po wsi, dźwiga zwłoki, myje cuchnące, obce ciała...

W takim razie musi działać na swój sposób.

Jest ktoś, kto potrzebuje jego pomocy.

Z obozu nie docierał nawet najdelikatniejszy dźwięk. Przeniknął go lęk: Czyżby wszyscy pomarli? Z rękami przyciśniętymi do ciała Ravi wymknął się ze swojego punktu obserwacyjnego za wielkimi głazami. Dawniej, kiedy zacisnął oczy, mógł wywołać wizję ludzkich twarzy tam pod skałą. Ale dzisiaj nic takiego się nie działo. Widział tylko złożone pod wielkim żaglem tobołki, skrzynki, zawiniątka.

Więc nie odeszli!

Odetchnął z ulgą, ale trwoga go nie opuściła. Gdzie są bawiące się dzieci? Gdzie ta mała kobieta, właściwie dziewczyna, która zbierała liście i wykopywała korzonki z ziemi? Gdzie mężczyźni, którzy strzegli jej ze swoich posterunków?

Tłukące się serce gnało go naprzód.

Gdy był już blisko, nad uchem zaświstała mu kula. Ravi krzyknął:

- Przyjaciel! Przychodzę jako przyjaciel! Przyniosłem jedzenie. Uniesione ręce

osłabły i opadły wzdłuż ciała. Odwracał głowę, szukał miejsca, z którego musiała paść kula. Z zapachu prochu w powietrzu wnosił, że strzelec znajduje się niedaleko. I że strzelał z bardzo starego muszkietu.

- Odejdź, gajje! Jego głos brzmiał ochryple, odbijał się od skał. Ravi uniósł ręce w górę i ponownie zawołał:

- Przychodzę jako przyjaciel! I teraz dotarł do jego uszu bełkot, który z pewnością był serią przekleństw.

W jakiś czas potem rozległ się szept. Człowiek z karabinem wyszedł z ukrycia.

- Masz do sprzedania jedzenie? Ravi skinął głową.

- Jaka jest twoja cena? Wahał się przez chwilę. Tamten żąda ceny. Nie powinna być za wysoka, ale też i nie za niska. Krzyknął więc:

- Chciałbym, żebyś mi wyostrzył nóż! I moja żona potrzebuje nowego miedzianego rondla.

Wtedy pojawili się inni, brudna kobieca twarz tuż za człowiekiem z bronią, jakaś staruszka i trzech innych mężczyzn. Wzywali go do siebie gestami. Ravi ujął worek i przebiegł lekko ostatni odcinek dzielący go od obozu. Nie oddał bagażu, dopóki niecierpliwe kobiece ręce nie zaczęły szarpać za wiązania.

Znalazły chleb, solone śledzie, naczynie z zimną gotowaną kaszą. Wbiły brudne palce w szarą masę i wpychały ją do ust. Człowiek z karabinem warknął coś głośno i kobiety zostały szorstko odepchnięte.

- Obcy człowieku, powinienes wiedzieć, że Beng nas karze. On zesłał tu Mali, żeby pomordował nasze dzieci.

Ravi spojrzał, nie pojmując.

- Mali? Teraz wszyscy kiwali głowami, również ci, którzy najwyraźniej nie władali językiem tak dobrze jak wódz.

- Ospę! Morowe powietrze, chorobę o strasznym obliczu. Ravi potwierdził.

- Wiem o tym. Chłop, od którego chcieliście kupić byka, nie żyje, jego żona też. I pastor zachorował...

Młoda kobieta o drobnym ciele roześmiała się głośno w półmroku. Wódz pocierał dłonią twarz, w jego rysach czaił się ból. Przemawiał jednak surowym głosem:

- Niech zdychają, przekłęci chłopcy! Nie znaleźli dla nas jednego dobrego słowa!

Ravi odczuwał nienawiść tamtego jak ukłucia w skórę na całym ciele. Ale ten wysoki, długowłosej Cygan wcale go nie przerażał. Był dziki, przywykł do ucieczki i nie miał wiele do stracenia, gdyby podziękował Raviemu za wszystko ciosem noża. Z drugiej strony jednak to wilk, wolne zwierzę. Nie chciał zabijać nikogo ze swojego gatunku, dopóki jego pozycja nie była w żadnej mierze zagrożona. Teraz zaczął rozdzielać jedzenie, rwał śledzie na kawałki i rzucał swojej małej gromadce. Chleb powędrował tą samą drogą. Jedna z kobiet dostała resztę, która została w węzełku, i zniknęła.

- Masz mleko? Słodkie mleko? Nasze dzieci mrą. Niechby skonały ze smakiem czegoś dobrego w ustach.

- Nie... mleka nie mam. Ale mogę zdobyć parę kawałków cukru. Wódz odwrócił się gwałtownie, wymachiwał bronią. Unosił twarz ku jasnemu niebu i wrzeszczał ochryple. Ravi nie rozumiał ani słowa. Ale drobna kobieta szepnęła:

- Vojevod się boi i gniewa. Diabeł zabiera nam dzieci, jesteśmy bardzo nieszczęśliwym narodem.

Więc oni wierzą w diabła, także ci nieszczęśnicy. Ravi czuł pulsujący ból w ciele.

- Zaprowadź mnie do dzieci - szepnął do dziewczyny. Spojrzała na niego przerażona. Ravi chwycił ją za ramię, poczuł twardą kość pod złocistą skórą.

- Zaprowadź mnie tam, może będę mógł im pomóc. Roześmiała się gardłowo:

- Nikt nie może pomóc naszym małym słoneczkom. Gasną jedno po drugim.

Człowiek, którego nazywali vojevoda, podszedł znowu do Raviego, cisnął mu w twarz pusty teraz worek. Tą samą drogą poleciał też miedziany rondel.

- Masz! A teraz idź sobie, gaije! Powinniśmy cię zabić, bo na pewno sprowadzisz tu innych. I oni będą chcieli wymordować nas wszystkich. Ale jedno powinieneś wiedzieć, otóż wtedy nas już tu nie będzie. I nigdy nas nie znajdziecie.

Przerwał mu czyjś cienki, chrypliwy głos:

- Zamknij się, Fardi! Ten człowiek przychodzi do nas jako przyjaciel.

Obserwował nas od dawna. Ty głupi tłumoku, gdyby on miał złe zamiary, już dawno by nas wydał lensmanowi. Pozwól mu odpocząć, zaproponuj mu miejsce, nawet jeśli nie możemy rozpalić najmniejszego ogniska.

Ravi starał się dojrzeć, kto to przemawia spod skały, głos brzmiał tak, jakby pojawił się tu prastary troll, zbudzony w grotcie po trwającym całym wieki śnie.

Twarz zagniewanego wodza złagodniała, opadł na kolana i wczołgał się

między zwoje skór, kijów, skrzynek, części wozu.

- Kirvi... Kirvi... wybac mi moją głupotę. Oczywiście, masz rację... jeśli ktoś przychodzi do nas w pokoju, powinien w pokoju odejść. Nawet w dzisiejszych czasach. Następne słowa starej były krótkie, ciche. Ravięgo ujęto pod ramię i wprowadzono pod skalną półkę.

- Kirvi chce z tobą rozmawiać - oznajmił ten, którego nazywali Fardi. Trudno było w mroku rozróżnić twarz kobiety. Była przykryta jakąś połyskliwą tkaniną, kiedy się poruszała, rozlegał się delikatny chrzęst.

- Przychodzisz do nas z przyjaźnią - powiedziała stara. Ravi uważał, że jej głos przypomina jakiś chrypliwy śpiew. Odpowiedział jej z lekkim drżeniem. Usłyszał szelest materiału, kiedy kiwała głową.

- Ja wiem, chleb nie rośnie na leśnych krzewach, nawet dla młodej Tindir. Ale myśmy jedli. I twój chleb smakował nam bardzo.

Powoli jego oczy zaczynały się przyzwyczajać do ciemności. Oczy starej lśniły mrocznie.

- Nie pójdziesz opowiedzieć o nas lensmanowi, prawda?

- Nie pójdę. A poza tym on ma inne zmartwienia. Ospa... połowa wsi choruje. Pochyliła się do niego.

- To dzieci gaije też umierają?

- Tak - potwierdził Ravi szeptem. Stara poprawiła się na posłaniu, poruszyła wargami i Ravi usłyszał cichą pieśń żałobną.

- Nastaly złe czasy. Diabeł przemawia do nas - powiedziała po chwili milczenia, a potem znowu zaczęła śpiewać. Pieśń zdawała się nie mieć końca, Raviemu zdrętwiały kolana, ale nie miał odwagi się poruszyć.

Nie ważył się też jej przerwać. Kobieta nie zdawała już sobie chyba sprawy z jego obecności. Może ze starości pomieszało jej się w głowie. Mimo to odnosił wrażenie, że ma ona władzę nad wszystkimi, nawet nad stanowczym wodzem.

W końcu umilkła.

Jakaś kobieta ujęła go pod rękę i dała znak, że powinien opuścić obóz.

Śpiew jeszcze mu brzmiał w uszach. Niełatwo było mu napotkać zmęczone spojrzenie Johanny i odpowiadać bez zapału na jej pytanie, czy namalował dzisiaj coś ładnego. Popatrzył na nią i zadrżał, widząc czerwone plamy na jej szyi i rękach. Wyciągnął palec i dotknął jednej z nich. Skóra rozstępowała się niemal pod dotykiem, w niektórych miejscach widać było żywe mięso, rany wielkości sporej monety.

Johanna uśmiechnęła się.

- To nie ospa, mój kochany. To mydło. Nie mam nic innego, spirytus rani jeszcze boleśniej.

Położył dłonie na jej poranionej skórze, czuł, jak krew pod nimi pulsuje.

- Dziękuję. - Kiedy podniósł wzrok, uśmiechnęła się. Ravi płakał bezgłośnie.

Gdyby tylko chciała zwrócić się do niego o pomoc. Jeden jedyny raz. Gdyby wykrzyczała przed nim swoją rozpacz, gdyby prosiła o wsparcie bez względu na...

Johanna podniosła się sztywno i podeszła do pieca. Woda w kociołku właśnie się zagotowała.

- Chcesz kawy? Uśmiechnął się blado i potrząsnął głową. Nie smakował mu ten cierpki napój, ale widział, jak ożywia Marję i Johannę, kiedy po trudnym dniu mełły palone ziarna w móżdzierzu i piły dziwnie czarny napar.

Dom pogrążony był w ciszy, służące wcześniej teraz chodziły spać. Wszystkie kontakty ze wsią, wszelkie sprawy trzeba było zawiesić, nie spotykano się z ludźmi. W Vildegard dni zrobiły się strasznie długie, chociaż ludzie chcieli być przydatni i wykonywali prace, na które normalnie nigdy nie było czasu. Nawet kurze grzędy były tak wyszorowane, że lśniły bielą.

- No i jak... co się dziś działo? Johanna nalała wrzątku na kawę i odstawiła kociołek. Odpowiadając, podeszła do oszklonej szafy, żeby wyjąć stamtąd ładną filiżankę ze spodeczkiem.

- Troje nowych chorych. Dwoje dawniejszych zmarło. Ale pastor jest na nogach. Chodzi po wsi i każe sobie płacić osiem szylingów za modlitwę przy chorych.

Usiadła przy długim, wyszorowanym stole. Okno było otwarte, Johanna nie wierzyła, że choroba może dotrzeć tu z wiatrem aż ze wsi.

- Czuję się taka bezradna - powiedziała cicho. Poranionymi dłońmi obracała filiżankę na spodeczku. Ravi sięgnął po cukiernicę, która teraz, kiedy dzieci nie było w domu, stała cały dzień na stole jako dekoracja. Światło odbijało się w pięknej, srebrnej łyżeczce. Brązowy, lekko chrzęszczący cukier przypominał kruszony bursztyn.

- Pomagasz wielu ludziom. Wpatrywała się w filiżankę.

- Nie wiem... właściwie nic nie mogę zrobić. Nic, naprawdę...

- Dajesz im nadzieję. I potrafisz zmniejszyć cierpienie. A to bardzo ważne.

- Ha, ale umierają. Ci, którzy mają umrzeć, umierają. Przesunął dłoń po stole, dotknął jej zaczerwienionych palców.

- Tak pewnie jest, Johanno. Ale czy ty musisz wierzyć, że możesz być kością do gry, która rozstrzyga o takich sprawach?

- Gra w kości... - Przymknęła oczy. - Gra w kości - powtórzyła wolno. - Może to jest właśnie tak... wielka, bardzo wielka ręka, która rzuca kości.

Widział, że Johanna cierpi. Ale nie mógł jej w tym pomóc.

Kiedy się rozbierała, ujęła w rękę srebrny krzyżyk na długim łańcuszku i trzymała tak, jakby go ważyła. Powiesiła go potem na zwykłym miejscu - na kolumnie przy oparciu łóżka.

Noc była cicha i duszna.

Ravi przysunął się do Johanny w łóżku, okrył ją i siebie lekką lnianą narzutą. Johanna leżała z otwartymi oczyma i wpatrywała się w sufit, wyczuwał, że jej ciało jest napięte. Chyba szybko nie zaśnie. Zaprzagnął opowiedzieć jej o tych biedakach, którzy uciekli w góry i ukrywali się tam bezradni, podczas gdy ich dzieci marły jedno po drugim.

Johanna by go nie zrozumiała.

Posłałaby lensmana za tamtymi, żeby przepędził ich jeszcze dalej. Bo nawet Ravi nie mógł zaprzeczyć, że to Cyganie ściągnęli to wielkie nieszczęście na wieś. I na siebie...

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Będziecie broczyć krwią! Będziecie się czołgać w pyle, dopóki Pan was nie uwolni! Będziecie się skarżyć i krzyczeć jak ci grzesznicy z Sodomy, i nie będzie pod niebem ani jednego miejsca, na którym moglibyście się schronić! Bo nastał na was sąd pański, nieszczęsnicy! Ześle on na was udrękę i zakuje was w kajdany, aż zaczniecie żałować za wasze grzechy i odrzucicie od siebie wszelkie pokusy tego świata!

Wierni kulili się pod gradem tych słów.

Pastor Cimber był dzisiaj i trzeźwy, i płonął wewnętrznym ogniem, bardzo rzadko spotykane połączenie.

Z twarzą wciąż jeszcze naznaczoną chorobą stał na ambonie i nakazał dzwonnikowi dzwonić trzy razy po trzy uderzenia. Nastał czas, by walczyć z chorobą zgodnie z wolą Pana. Poza tym zebranie wszystkich wiernych oznaczało też więcej pieniędzy na tacę, niż gdyby pastor kolędował od chaty do chaty na roztrzęsionym wózku.

Johanna z Vildegard oskarżyła go, że naraża ludzi na niebezpieczeństwo, kiedy tak krąży między chorymi i zdrowymi. On jednak spojrzawszy jej prosto w oczy i powiedział:

- Brak pani wiary, Johanno? Sądziś, że Pan będzie wykorzystywał swego sługę dla rozsiewania między swoim ludem diabelskiego nasienia?

Zamilkła. Spuściła swoje dumne oczy. Sama wyglądała prawie jak chora z tymi czerwonymi placami na szyi i na rękach. Ale to nie była ospa, o ile dobrze widział.

Tego dnia złożyli do grobu dwoje dzieci ze Steinmoen. A po tamtej stronie białych ścian kościoła wykopano już cztery kolejne groby. Dwie firy były w drodze. Pastor otrzymał wiadomość, że dwoje starych na dożywociu i jeden dorosły mężczyzna zmarli wysoko w Dalsdalen.

Choroba wciąż zataczała nowe kręgi.

- Pochylmy głowy! Wyznajmy nasz wielki grzech! I prosimy Pana, by zesłał swój oczyszczający ogień na nasze głowy tak, byśmy zachowali nasze ciała i nasze nieśmiertelne dusze!

Wierni odpowiedzieli:

- Amen, niech się tak stanie. I pastor Cimber przypomniał im, że kościół potrzebuje wielkich sum, bo trzeba powiększyć dach i pozłocić na nowo piękny obraz w ołtarzu.

Johanna położyła talar na tacę przy wyjściu. Magnus Storlendet zaskoczył wszystkich listem, który pastor odczytał, a w którym lensman zawiadamiał, że na pamiątkę swoich dwóch zmarłych żon ofiarowuje niniejszym kościołowi całych trzydzieści talarów, którymi pastor zadysponuje wedle swojej woli. Dołączył do tego również mosiężną tabliczkę z wygrawerowanym napisem, który miał na zawsze przypominać ludziom ten dar.

Pastor Cimber odczytał list i rozpromienił się tak, że chciał ucałować swego brata w Chrystusie w oba policzki.

Magnus Storlendet odskoczył jednak przestraszony.

Co najmniej połowa zebranych od wielu godzin stała pod wysokim sklepieniem, teraz jednak padali na kolana i zanosili do Boga swoje prywatne modły. Pastor ogłosił modlitwy błagalne, dopóki choroba nie ustąpi, co najmniej siedmioro wiernych z parafii powinno się stale wspólnie modlić przed starym ołtarzem. Skrapiali sobie głowy i piersi wodą z chrzcielnicy i śpiewali psalmy zmęczonymi głosami:

W największej potrzebie wołam do Ciebie,
o Panie, wysłuchaj mnie.

Twojej łaski proszę w modlitwie...

Ale słowa starej pieśni zdawały się nie mieć żadnej siły, Johanna odnosiła wrażenie, że płomienne modlitwy odbijają się od sufitu i spadają na ziemię niczym szary, lepki popiół. Wyszła z kościoła. Najpierw zamierzała zająć do zagrody młodej wdowy z Tarjeiplassen. Jej jedyny syn zachorował, biedna matka żyła sobie wypruwiała, by zastąpić go przy pracy, płacząc przy tym krwawymi łzami, że musi zostawiać syna samego. Johanna obiecała, że wstąpi, żeby dać mu pić. Gorączka potwornie trawi nieszczęsne ciało, opowiadała matka, choć Johanna dobrze wiedziała, jak to jest. Głaskała dorosłego młodzieńca po włosach niczym małe dziecko, a on w pewnym momencie spojrzął na nią przytomnie i zapytał:

- Kto będzie się opiekował matką? Kto poda jej jedzenie na stół, kto przyniesie drewna do pieca?

Johanna nie miała na to odpowiedzi. Nie odważyła się też go pocieszać ani mówić, że się myli, jeśli uważa, że nie przeżyje nocy. Miała tylko nadzieję, że właściciel ziemi, na której mieszkali, będzie miał trochę litości w sercu.

W Kolstad sytuacja wcale nie była lepsza. Gospodyni Eli chorowała od kilku dni, a jej mąż, Kristen, odchodził od zmysłów z niepokoju o nią i o jeszcze zdrowe dzieci. Johanna prosiła go, by Eli położono w budynku z paleniskiem, i żeby tylko on sam ją pielęgnował. Dzieciom nie wolno tam chodzić, zamknięto je w izbie rodziców pod opieką służącej.

Siedziała przy chorej co najmniej pół godziny, a Kristen błagał ją o lekarstwo. Dała więc chorej ostatnie krople opium, a ta połknęła je z bladym uśmiechem.

- Ona mi umrze! Odejdzie, zostanę znowu sam! Krzyk męża sprawił, że twarz Eli pokryła się głębokimi bruzdami.

- Nie, mój mężu. Ja z tego wyjdę, nie odejdę od ciebie... Bóg mi to obiecał. Johanna uśmiechnęła się do niej. Zazdrościła chorej tej spokojnej ufności. Ale mąż płakał, nie słuchał cichych poleceń Johanny, żeby trzymał się z dala od chorej. Położył głowę na jej piersi i skrzyżował jej zabandażowane ręce na swojej twarzy.

Johanna poszła dalej. Doznawała tego samego uczucia, niezależnie czy znajdowała się w pięknym salonie na Flahamar, czy w małej szopie, którą małżeństwo młodych komorników nazywało domem.

Bezradność. Poczucie niemożności.

I gniew.

Nadeszła północ, ale żadne z czuwających parafian nie miało zegarka. Mniej więcej co godzina przychodził dzwonnik, żeby budzić tych, którzy usnęli w czasie modlitwy. Jeśli zapomnieli słów, podchodził i podpowiadał im kolejne Ojcze nasz. Dzwonnik nie lubił tych nowych modlitw, a już zwłaszcza pieśni jednego heretyka z północy kraju, który uważał się za twórcę psalmów.

Kościelne dzwony były teraz cztery razy na dobę. Wtedy zmęczeni ludzie wysypywali się z kościoła, a na ich miejsce przychodzili nowi, tak aby w kościelnej nawie nigdy nie umilkły modlitwy.

Stary Ola Vetterstad nie chciał wracać do domu. Odrzucił od siebie laskę i położył się krzyżem przed ołtarzem. I modlił się. Przysiągł, że nie przestanie, jak długo język mu nie odmówi posłuszeństwa. Drugiego dnia przed południem stary stracił przytomność, ale pozwolono mu leżeć. W jakiś czas potem ocknął się i oszołomiony rozglądał w półmroku. Na ołtarzu paliły się świece w wysokich świecznikach. Widocznie to na nie zwrócił uwagę, bo zaczął przejmującym głosem błagać świętego Piotra, by mu otworzył.

Ravi stanął w drzwiach świątyni i miał wrażenie, że niespokojny wąż wije mu się w żołądku.

Ale nie cofnął się, nie odmówił udziału w modlitewnym czuwaniu. Zresztą nie mógł. Zaraz by się rozniosło i odżyłyby dawne podejrzania. Johanna nie powiedziała ani słowa, wyjęła tylko jego świąteczne ubranie i napomknęła coś, że lepiej chyba chodzić do kościoła nocą, to dni będą mieć wolne.

Patrzył niepewnie na nieszczęsne zgromadzenie przed sobą. Dziesięć, może dwanaście osób tłoczących się w miejscu, w którym normalnie nie odważyliby się postawić stopy.

Widział, jak ściskają w palcach wytarte krzyże, niektórzy wyciągali ręce do ołtarza i szlochali w żalu, większość mamrotała nie kończące się Ojcze nasz i stare modlitwy żałobne.

Zbliżył się bezgłośnie do nich, nogi mu drżały, nie bardzo wiedział, co ma zrobić. Mniej więcej w pół drogi do ołtarza zatrzymał się i obejrzał. Portal z szarego piaskowca sięgał bardzo wysoko i kończył strzelistym łukiem.

Ravi zawrócił, podszedł do portalu i usiadł na podłodze u stóp kolumny.

Siedział, o niczym nie myśląc, i poruszał rytmicznie wargami.

Oparł się plecami o zimny kamień, tak miękki, że można w nim ryc nożem lub

gwoździem. Zresztą ludzie tak robili, po kryjomu ryli swoje inicjały albo jakieś religijne symbole. Czuł, że od kamienia płynie ku niemu gorąco, a przed oczyma przesuwały się ułamki jakichś obrazów. Nie starał się ich zatrzymać, przesypywały się niczym piasek przez palce.

Co miał mówić? O co się modlić? Nie mógł znaleźć wygodnej pozycji, kręcił się niespokojny. Postanowił, że po prostu będzie tu siedział, z twarzą zwróconą ku jednemu z otworów w dachu, oparty o kamień. A ludzie niech sobie myślą, co chcą, w każdym razie widzą, że porusza wargami.

Dzwonnik wymachiwał swoim krótkim hakiem, wygięty gruby drut był obsadzony w drewnianej rękojeści. Używał tego narzędzia do ściągania lin, kiedy wisiały nie tak jak trzeba. Rękojeść była wypolerowana i miała coś w rodzaju mankietu ze skóry. Dobrze leżała w dłoni, dzwonnik lubił obracać ją w palcach, aż zaczynała wirować coraz szybciej i szybciej, a haczyk wydawał z siebie śpiewny dźwięk.

Ale teraz nie czas na sztuczki i zabawy. Przed ołtarzem szmer głosów był taki jak należy, tylko jakaś kobieta osunęła się na bok i leżała z głową na kamiennej podłodze.

Dzwonnik stanął plecami do ołtarza i chciał szturchnąć leżącą haczykiem. Przedtem jednak spojrział w głąb kościoła oświetlonego jedynie mdłymi strumieniami niebieskawego nocnego światła wpadającego przez wąskie okna.

Za jego plecami chygotały się światła świec.

Biała zasłona, niczym mleko wlane do wody, przesłaniała portal. Zamarł, nikt z modlących się nie podniósł głowy, klepali ochryple błagalne formułki, teraz nawet z większym przejęciem, skoro dzwonnik przyszedł na inspekcję.

Leżąca kobieta chrapnęła, głośno wciągając powietrze. Dzwonnik nie odważył się nawet mrugnąć, haczyk uderzył bezgłośnie w czubek jego buta.

To stary pastor. O, tak, mógłby przysiąc. Odczuwał coś między przerażeniem a zdumieniem, patrzył, jak unosząca się w powietrzu postać dotyka człowieka siedzącego pod kolumną. To ten obcy gospodarz z Vildegard, syn mordercy, który uwiódł żonę Erlenda Storlendet.

Nie powinno się go wpuszczać w progi świętego domu, ale widocznie wszystko jest dozwolone teraz, kiedy pastory i lensmani zmieniają się tak często. Od kiedy Magnus dostał srebrne guziki do kurtki, ma widocznie inne zmartwienia.

Wyglądało na to, że upiór gładzi tamtego niewidzialną ręką po twarzy.

Dzwonnik jęknął, ale dźwięk został zagłuszony przez łomot jego własnego serca. Poczuł, że zaraz zemdleje, cały kościół wirował mu przed oczyma. Chciał je zamknąć i pomodlić się, zanim znowu popatrzy. Ale musiał mieć oczy otwarte, nie mógł też odwrócić głowy, patrzeć w inną stronę. Postać pod kolumną rozpływała się w powietrzu, uniosła się w górę, płynęła nad główną nawą, ku niemu...

Dzwonnik wrzasnął, przesłonił twarz rękami i zataczając się cofał, aż w końcu runął na ołtarz.

Johanna wysłuchiwała opowiadania Ravego i westchnęła.

- Jeszcze jeden... tak, tak, można się było tego spodziewać. Ci wszyscy ludzie, którzy wędrują do kościoła i z powrotem... Naprawdę możemy przestać się modlić o powstrzymanie choroby. Skoro dzwonnik się zaraził, to wszyscy inni prawdopodobnie też. Wielka modlitewna kampania pana Cimbera to, niestety, błąd.

Ravi był zdziwiony goryczą w jej głosie. Spokojnie opowiadał dalej swoją historię: Dzwonnik, który tak strasznie krzyczał i upadł na ołtarz z taką siłą, że obraz się zachwiało. Trzej mężczyźni musieli potem trzymać go mocno i potrząsać nim, żeby się opanował. Za nic nie można było oderwać mu rąk od twarzy. Ale dopiero gdy się to udało, zrozumieli jego przerażenie. Na policzkach widniały już pierwsze pęcherze.

Pastor Cimber obudził się od tego hałasu i przybiegł, potykając się o swoją nocną koszulę. Wzywał wszystkie piekielne demony na tych, którzy tak hałasują po nocach, nie zauważając nawet, że przerażeni ludzie błagają go o łaskę.

- To nie jest szlachetny człowiek ten cały Cimber - stwierdził Ravi.

- Zajrzę do dzwonnika, gdy wieczorem będę wracać do domu - obiecała sobie Johanna. - Ale jedno ci powiem, Ravi... jeśli wkrótce nie będzie końca tej tragedii, to...

Ucisk w gardle nie pozwolił jej dokończyć.

- Nie możesz się poddawać, Johanno - powiedział Ravi z naciskiem. - Nie ty!

Opuściła ramiona i tarła dłonią czoło. Potem przesłoniła rękami twarz i oddychała ciężko.

Ravi zapragnął tchnąć w nią oślepiający strumień woli, uporą, niezłomności i wszystkich tych uczuć i sił, które w sobie miał.

Dwoje cygańskich dzieci pozbyło się gorączki, czworo innych, które ciężko chorowały, wraca do zdrowia, one także. Dwoje wprowadziło zmarło i nic nie mógł na to poradzić, ale też nikt od niego pomocy nie oczekiwał. I jedna kobieta wyglądała na skazaną, ale ona jest wyjątkowo ciężko chora, ma wrzody na całym ciele.

Mimo wszystko jedyne, co mogą zrobić, to walczyć.

Każde na swój sposób, myślał Ravi, wpatrując się w szczupły nadgarstek Johanny. Dostrzegał cienkie strużki żywej krwi pod skórą. Gdyby chciał, mógłby usłyszeć szum życia w jej żyłach.

Zamiast tego położył swoje dłonie na białej, poranionej skórze po wewnętrznej stronie jej nadgarstków i zamknawszy oczy, podjął próbę.

Johanna nie mówiła nic, patrzyła tylko na niego. Delikatny uśmiech igrał w kącikach jej warg, w oczach była dobroć.

- Co ja bym bez ciebie zrobiła? - wyszeptała. Poczuł, że jej ciało pod ubraniem łagodnieje, Johanna szlochała cicho, pochylając się do niego i całując go w usta. Leciutko, przelotnie, bez tęsknoty i bez pożądania.

Ravi siedział bez ruchu i rozkoszował się tym. Starał się, by jego oddech był miarowy, usiłował stłumić szloch, który dławił go w gardle, gwałtowny, bolesny, jak długo powstrzymywany płacz. Oparła się o niego. Musiał polegać również na niej, szukać w niej spokoju, dzielić się z nią swoimi uczuciami.

Ten intymny nastrój zburzył głos Marji. Zabrzmiał gdzieś za nimi w dużym salonie.

- Jest tu kto? Johanna! Musimy zaraz jechać! Emmi ma gości, trzeba jechać po nich do Dosen!

- Mój Boże - mruknęła Johanna jakby zaspana, zła, że ją tak gwałtownie przywrócono do rzeczywistości. Zerwała się zirytowana, czterema szybkimi krokami pokonała odległość do drzwi i syknęła do babki:

- Co to znowu za głupstwa? Dlaczego nikt ich nie zatrzymał? Nikt tu nie ma czasu dla żadnych wrażeń arystokratów!

Marja skrzyżowała ręce na piersi.

- To nikt taki, jak myślisz. To przyjaciółka Emmi, wdowa, która została zaproszona jeszcze w zimie. Nie mogła przyjechać z innymi, bo podróżowała ze swoim teściem po świecie. No i teraz dotarła tutaj. Parobek z Dosen przyszedł z wiadomością, nie odważył się jednak wejść za bramę, stał po tamtej stronie płotu i wrzeszczał. Jak widzisz, oni słuchają twoich poleceń, Johanno. Mam wrażenie, że dotarły co najmniej do Bergen!

Kręciła się po pokoju, czekała, aż Johanna będzie gotowa do drogi.

- Ja... Muszę się jakoś ogarnąć. Skoro mamy mieć gości... Marja, trzeba ich uprzedzić. Powinni natychmiast zawrócić. Zaraza panuje wszędzie, dzisiejszej nocy

dzwonnik zachorował w kościele!

- Wiem. I ona też wie, to znaczy nasz gość. To dorosła osoba, Johanno. I nie jest głupia.

Johanna milczała. A kiedy z wahaniem wyciągnęła rękę do Diany Didot, zapomniała o wszystkich swoich wątpliwościach. Nigdy jeszcze nie spotkała człowieka, który by emanował taką siłą, taką czystością jak ta kobieta. Blond włosy były mocno zaczesane do tyłu, a na plecy opadał gruby warkocz. Miała rumiane, pulchne policzki i ręce miękkie i zarazem silne. Mówiła bardzo poprawną duńszczyzną, ale słówka, które wypowiadała po każdym zdaniu, wskazywały na pochodzenie z Południa.

- Diana jest przyjaciółką Emmi z Paryża - poinformowała Marja nie bez dumy.
- To jej ojciec drukował te piękne książki, które ostatnio przywiozłam.

Johanna omal nie dygnęła, choć przybyła właśnie kobieta w niczym nie przypominająca obrazu dość tęgiej ma - trony w kapeluszu z piórami i wdowią woalką.

- Witamy u nas - powiedziała z uśmiechem. - Przyjechała pani do bardzo smutnego miejsca i najchętniej prosiłabym, żeby pani zaraz wyjechała. Choroba jest straszna, ale z pewnością pani o tym wie.

- Owszem, nigdzie człowiek nie jest wolny od takich nieszczęść - odparła Diana i podniosła swój wypakowany podróżny kuferek. Johanna zwróciła na to uwagę. Widocznie nie jest to jakaś rozpieszczona hrabianka. Parobek jednak znał swoje obowiązki i zarumieniony odebrał jej ciężar.

- Chodźmy, droga madame Diana, jeśli wolno mi tak panią nazywać. Zaraz będziemy w domu. Emmi wolała tam czekać, powiedziała, że musi coś przygotować.

- Rzeczywiście, chyba musiała - przytaknęła Diana z uśmiechem. Johanna zwróciła uwagę, że obie panie spojrzały sobie wymownie w oczy.

Babka wydawała się bardzo ożywiona wizytą.

- Jaka śliczna, mała osada! A co za powietrze! Ciepłe, a jednocześnie takie świeże! Sól od fiordu, słodycz kwiatów! Jacy wy jesteście szczęśliwi, mogąc żyć pośród tych dumnych gór!

- O, tak - odparła Marja. - Tak chyba jest.

- Och, przepraszam! Choroba... Ale, jak powiedziałam: Człowiek nigdzie nie jest bezpieczny! Ja sama zaraziłam się kiedyś w Chinach.

- Byłaś chora na ospę?

- O, tak. I wiesz co? Zaraziłam się najzupełniej dobrowolnie, od pewnego

Chińczyka, który znał też inne sztuczki...

Roześmiały się.

Johanna uznała, że to chyba przesada. Tego rodzaju wesołość w takiej sytuacji jest co najmniej niestosowna. Nie mogła jednak nie polubić przybyłej, która obejmowała ją serdecznie i szczebiotała niczym ptak.

Z pewnością umilknie, niech no się tylko zorientuje, jaki sądny dzień tu nastał.

Ale jakoś do tego nie doszło, bo oto Emmi wybiegła im na spotkanie i zarzuciła swoje krótkie rączki na szyję pulchnej damy.

- Kochana, kochana Diana! Już myślałam, że nigdy więcej na tej ziemi cię nie zobaczę!

Lekka, jedwabna suknia Emmi otaczała obcą kobietę. Powiewały wstążki, szumiały liczne warstwy ciemnoniebieskiego jedwabiu.

- Moja kochana, mała dziewczynka... myślałam o tobie każdego dnia, odkąd się rozstałyśmy.

Oczy Emmi lśniły radością, jakiej Johanna nie widziała w nich od chwili, gdy Emmi dowiedziała się o ślubie Marji.

- Usiądźcie, proszę - powiedziała. - A ja się zatroszczę, by przyniesiono coś do jedzenia i picia. Czy może pani chciałaby się przedtem umyć?

- Owszem, bardzo chętnie. Ale wystarczy mokra szmatka...

- Przecież my mamy łazienkę - roześmiała się Marja. - Gorąca woda czeka na ciebie, Diano. Ciekawa jestem, co powiesz o moich urządzeniach kąpielowych, ty, która z pewnością widziałaś słynne łazienki wersalskie...

Diana roześmiała się.

- Niestety, nie, muszę się przyznać, że nie widziałam. Mówi się jednak, że klozety są tam pozłacane i wysadzone rubinami, że woda wypływa z rury w ścianie, kiedy się pokręci kurkiem!

Marja z dumą pokiwała głową.

- No to spróbuj pociągnąć za sznurek nad moją marmurową wanną... Diana śmiała się zdumiona, spoglądała to na Emmi, to na Marję i z powrotem. Potem zaczęła się rozglądać po wielkim hallu.

- No, muszę powiedzieć... tego się nie spodziewałam. Emmi, znakomicie trafiłaś, pławisz się w luksusie, i to na takich pustkowiach.

Emmi chichotała, stukając czubkiem pantofelka w wypolerowaną do połysku podłogę.

- No, tak, dajemy sobie radę. Wszystko jest tu prawie jak w Kopenhadze, prawda, Marjo?

Marja patrzyła gościowi w oczy ze szczerą radością.

- Tak, prawie jak w Kopenhadze. Brak tylko tamtejszych okropnych much. Diana spoważniała, Marja pospiesznie zaprowadziła ją do przygotowanego już pokoju.

- Przyprowadź Raviego! - zawołała do Johanny. - Powinien przywitać się z Dianą.

Emmi wciąż promieniała radością ze spotkania przyjaciółki.

- Tak, przyprowadź go! Musimy otworzyć butelkę! Tę z musującym winem, którą dostałam w prezencie... Mój Boże, gdzie ja ją mogłam schować. Muszę lecieć do piwnicy, pewnie tam stoi!

I pobiegła, powiewając jedwabiem. Johanna wolno kręciła głową. Ktoś tu chyba zwariował. Śmiać się i radować, pić kosztowne wina, kiedy połowa wsi trawiona jest gorączką i walczy ze śmiercią?

Ravi jednak był zachwycony.

- To świetnie dla Emmi! Ona przecież żyje tylko dla tych swoich letnich przyjęć, które w tym roku zakończyły się tak szybko i tak nieoczekiwanie. Miejmy nadzieję, że ta Diana potrafi ją rozweselić. Emmi nie wygląda też całkiem zdrowo...

Johanna warknęła cicho:

- Tu się nie ma z czego cieszyć. W każdym razie nikt z nas nie ma do tego powodów.

Wtedy Ravi dotknął delikatnie jej twarzy, położył dłonie na policzkach i kciukami gładził głębokie bruzdy, które czasami pojawiały się wokół ust Johanny. Rozmasowywał je wolno.

- Zastanów się, Johanno. Jest jeszcze wiele rzeczy, za które powinnaś wznosić toasty. Masz dwoje ciągle zdrowych dzieci. Masz kochaną babkę, przyjaciół, swoje wygodne łóżko, i masz mnie, cokolwiek byłbym wart.

Uśmiechnęła się, ale twarz nadal pozostała smutna.

- Johanno - szeptał jej do ucha. - To ty powiedziałaś mi kiedyś, że lepiej jest zapalić małe światełko, niż przeklinać ciemność. Zapomniałaś już o tym?

Nie odpowiedziała.

Uniosła jednak twarz w górę i znowu się uśmiechnęła.

- Chodźmy do nich. Zamknijmy drzwi przed wszystkim, co okrutne, i

spróbujmy o tym dziś wieczór zapomnieć. Marja bardzo chce, żebyś się jak najprędzej przywitał z Dianą...

- Bardzo chętnie to zrobię - powiedział stanowczo. Johanna podziękowała w myślach losowi za pewną zmianę, którą obserwowała od pewnego czasu. Otóż Ravi nie boi się już obcych.

I kiedy siedzieli wygodnie wśród poduszek na kanapie Marji, Johanna poczuła, że ta chwila odprężenia bardzo dobrze jej robi. Przygnębienie powoli ją opuszczało. W pokoju było jasno i miło. Marja pozamykała okiennice, w ten sposób chciała oddzielić swoich gości od jasnego letniego wieczoru, lecz także od niepotrzebnych spojrzeń. Zapaliła natomiast wszystkie świece w wielkim żyrandolu. Po pięknej podłodze nogi same stapały lekko.

- Wspaniale! No to możesz podawać wino, Emmi! Bardzo ostrożnie została wniesiona butelka tego wyjątkowego wina, które mnich Perignon wynalazł blisko pięćdziesiąt lat temu, a które obecnie traktowano jako kosztowność przeznaczoną dla królów i ludzi im równym.

- Powinniśmy mieć lód, ale cały się roztopił. Widocznie moja lodownia nie została odpowiednio zabezpieczona - przepraszała Marja.

- Zbudujemy nową - uśmiechnął się Ravi serdecznie i chętnie podjął się zaszczytu otworzenia butelki, której korek zalano ołowiem.

Ravi usuwał go bardzo ostrożnie i nagle rozległ się huk, jakby ktoś strzelił z muszkietu. Johanna podskoczyła na kanapie. Cóż to za napój? Wytwarza się go z prochu czy co?

Marja dostrzegła zaskoczenie wnuczki i wyjaśniła:

- To szampan, moja kochana. Robi się go z najlepszych winogron we Francji, ojczyźnie naszej drogiej Diany. To właśnie dlatego uznałam, że będzie odpowiedni na dzisiejszy wieczór...

- Ech - prychnęła Emmi. - Zapewniam cię, Diano, że to ja wymyśliłam! Przekomarzały się przyjaźnie na ten temat, a tymczasem wino nalano do kieliszków, odnosiło się wrażenie, że lada moment zaczną się gotować, od dołu unosiły się ku powierzchni małe bąbelki.

Johanna z wahaniem uniosła kieliszek do ust. Poczowała łaskotanie w nosie, bąbelki rozpryskiwały się na wargach.

Spojrzała kątem oka na Ravięgo, który pil napój swobodnie, bez wahania. Diana jęknęła:

- Wprost trudno w to uwierzyć. Siedzę tu sobie po tej okropnie długiej podróży, z dala od całego świata, i piję le vin des Dieus! Napój bogów!

- Z twojego wspaniałego kraju - dodała Marja z uśmiechem. Diana wzruszyła ramionami.

- Czy ja wiem. Mój kraj... mój kraj znajduje się na wędrownych szlakach. Tyle się dzieje... czasy są niespokojne. Może nigdy nie wrócę do Francji.

- Dlaczego? - Ravi pochylił się do przodu, oparł kieliszek o kolano i próbował pochwycić spojrzenie obcej kobiety.

Ona zaś szepnęła cicho:

- Poleje się wiele krwi... książki, które drukuje mój ojciec, mogą kosztować go życie. Ale może się mylę. Miejmy nadzieję, że tak, i cieszymy się tym wieczorem.

Emmi i Marja przyznały jej rację i zaczęły wypytywać Dianę o ostatnie nowiny z Kopenhagi. Statek się tam zatrzymywał, ale Diana nie spotkała nikogo z tych, którzy w takim pośpiechu wyjeżdżali z dotkniętego ospą kraju.

- My płynęliśmy z Anglii, to była wspaniała wyprawa, nawet na morzu wiatr był bardzo ciepły, a stara „La Vitae”, po wszystkich wędrówkach prawie sama odnajduje drogę.

- To statek twojego teścia?

Potwierdziła skinieniem, wino i spokój ją rozmarzały. Johanna pomyślała: Teraz ona na pewno wspomina swego zmarłego męża, biedna kobieta. Jaką żalobę dźwiga... i śmieje się tak smutno, musiała go chyba bardzo kochać.

Instynktownie przesunęła rękę po miękkich poduszkach i odnalazła dłoń Ravięgo.

Zniesie wszystkie zmartwienia, dopóki on jest przy niej.

- Wyjechać stąd? Ale dlaczego? Ravi zdziwiony przyglądał się dziewczynce. Nie miała chyba więcej niż osiem lat, ale mówiła językiem gajje, w każdym razie znała sporo słów. Wystarczająco dużo, by zapytać go, dlaczego stąd nie wyjechał. Za mało jednak na to, by odpowiedzieć na pytanie, które on jej zadał. .

- Ty... ty czarna głowa. Ty Romani, jak ja! Ravi z uśmiechem potrząsał głową, na którą dziewczynka patrzyła.

- Nie, moja droga, nie jestem taki jak ty. Jestem gospodarzem. Mieszkam w dużym domu, mam żonę i dzieci. Jedną dziewczynkę, ładną, jak ty!

Dziecko roześmiało się gardłowo. Nieliczne ślady choroby na jej skórze z czasem zbledną i wyrównają się, a poza tym jest tak, jak Ravi mówił, była prawdziwą

małą pięknoscią, chociaż taka chuda i brudna.

Nie pozwolili mu siedzieć długo.

I nigdy więcej nie miał już okazji rozmawiać z tamtą starą kobietą, którą nazywali Kirvi. Dziękowali mu jednak gorąco za słodkie mleko i masło, i za ogromną szynkę, którą kupił po kryjomu i tutaj przydźwigał.

Gdy im wręczył dar, młoda Tindir nakreśliła dwa niewidzialne kręgi na jego czole.

- Znak wędrowców - wyjaśniała z uśmiechem. - Znaczy: Dobry człowiek. Czuję na skórze jeszcze długo po tym, gdy dziewczyna odeszła i pobiegła się oczyścić, bo dotykała gaje.

Rawiego piekły oczy, droga w dół z obozu wydawała się zawsze za krótka. Zauważył, że za każdym razem potrzebuje więcej czasu, by przywyknąć do myśli, że musi ich opuścić, wkroczyć do innego świata.

Do świata, który daje mu Johanna.

Do dobrego życia, w którym chleb smaruje się grubo masłem, a łóżko zawsze jest świeżo zasłane, miękkie i wolne od pcheł. Świat, w którym są Reina i Benjamin.

Tęsknota za dziećmi tłumiła niepokój, który trwał w nim zawsze, przyklejony jak żywica lub ciepła smoła. Pragnął, by ból powrócił, on zawsze pomagał mu obrać właściwy kurs. Jeśli wszystko stawało się zbyt skomplikowane, jeśli wiercił się na łóżku i pragnął być jedynym człowiekiem na ziemi, to zawsze pojawiały się dzieci. Benjamin i Reina. One miały w sobie tę część Johanny, którą kochał najbardziej, i tę część jego samego, której najmniej nienawidził. Łzy chłodziły zmęczone oczy, płakał bez szlochów i spazmów, taki trudny do powstrzymania płacz, którego nikt nie mógł widzieć ani słyszeć, który pojawiał się sam z siebie tak samo naturalnie jak człowiek wyciąga rękę, by się podeprzeć, kiedy się potknie.

Płacz, który oczyszcza i jest niezastąpionym przyjacielem.

Znalazł Johannę w dużej kuchni, zaskoczony, że gotuje mleczną zupę, a nie jakieś maści.

Zwróciła się do niego, na czole perliły się maleńkie krople potu. Policzki miała wilgotne i rozpłomienione.

- Przychodzisz we właściwym czasie! Parobcy pojechali dużą furą, ale ten ostatni kocioł Marja chce zabrać ze sobą. Zabiera też kucharkę z Dosen, mają zawieźć jedzenie do Storlendet.

Ravi spoglądał na nią niepewnie.

- Szykujesz jedzenie... dla nich? Johanna spuściła wzrok.

- Byłby to wielki wstyd, gdybyśmy im tego nie zaproponowali. Najpewniej dostaniemy wszystko z powrotem. Magnus Storlendet prawdopodobnie nigdy nie będzie taki głodny, by jeść moją zupę! Ale mnie chodzi o dzieci. Edvarda jest chora, a służąca umarła... malcy nie mają chyba nic prócz starych kości do obgryzania.

- Masz za dobre serce, myślisz, że nie ma tam bliższych sąsiadów, którzy pierwsi powinni podać im rękę?

Otrzeпаła ręce z mąki i warknęła do męża:

- Możliwe, ale jest tak, że to my podjęliśmy się tego obowiązku. Nikt nie może powiedzieć, że Johanna Vildegard pozwala, by dzieci pomarły z głodu.

- Nie, no pewnie. Ale ty nie karmisz Benjamina i Reiny tym, co zabrałaś rodzinie Storlendet.

- To zupełnie inna sprawa - ucięła Johanna i skoncentrowała się na pracy. Ravi przysiadł na małej ławce, której używano do czyszczenia warzyw i fasoli. Rysował palcem na blacie niewielkie kręgi i raz po raz zerkał na Johannę.

- Co się dzieje? Westchnęła ciężko, wciąż odwrócona do niego plecami.

- Emmi mówi, że nic się nie zmienia. Ludzie błagają o lekarstwa na uśmierzanie bólu, a tymczasem opium się skończyło. Mamy teraz tylko okłady i wywary. Ale ja nie bardzo wierzę, że to... pomaga.

Zauważył, że Johanna nie prostuje pleców, kiedy wyciąga rękę po czerpak. Mocno związane włosy zrobiły się matowe. Chodziła teraz boso, długie marsze po wiejskich bezdrożach dają się jej we znaki. Najgorsze jednak jest chyba to, że Johanna sama przed sobą boi się przyznać, jak niewiele te wszystkie wysiłki pomagają.

- Johanno, chciałbym ci coś pokazać. Jeśli wieczorem miałabyś czas, to może pojechalibyśmy konno...

Teraz się odwróciła.

- Pojechali? Dokąd? Wiesz, że nie możemy nigdzie jeździć, to niebezpieczne! Westchnął ciężko.

- Przecież ty wciąż gdzieś chodzisz...

- Ale to konieczne, nie mam wyboru! I przebieram się nad rzeką, dosłownie moczę się w spirytusie i ługu.

- Do tej podróży, o której ja myślę, nie musisz się tak przygotowywać - rzekł cicho.

Stała spokojnie, z uniesionej w górę chochli spływały do garnka krople zupy, zdradzał ją wyraz twarzy. Uniesione brwi wróciły na swoje miejsce, zmarszczki wokół ust wygładziły się.

Odłożyła narzędzie i opadła na stołek. Brudnymi od sadzy rękami tarła spocone czoło i rysowała nad oczami jakąś dziwną mapę.

- Potrzebuję kąpieli. Potrzebuję snu. I potrzebuję, żeby mnie ktoś mocno, bardzo mocno objął...

Uśmiechnął się szeroko i przechylił głowę.

- Wiem - odpowiedział po prostu. Johanna wolno wciągała powietrze, wypełniła nim płuca, a potem przeciągnęła się szeroko i boleśnie ziewnęła. Łagodne oczy patrzyły jednak na męża. Nie trzeba było nic więcej, wielka radość rozpierała mu piersi. Jeszcze potrafi ją obudzić. Wciąż i wciąż...

- Chodźmy - szepnął. - Chodźmy natychmiast. Wieczór jeszcze wczesny, a noc będzie jasna.

Zrzuciła na podłogę sztywny fartuch, wsunęła stopy w jakieś buty i roześmiała się do niego radośnie, wchłaniał w siebie ten jej śmiech razem z intensywnym zapachem kminku rozłożonego do suszenia na kuchennej płycie.

- Jesteś gorszy niż Benjamin! Popatrzeli na siebie, umilkli, nie chcieli psuć sobie tej chwili tęsknotą. Nie teraz, w tym tak ciężko wywalczonym wolnym czasie. Ten czas musi należeć tylko do nich.

- Już osiodłałem oba konie. Marja będzie musiała zaprząć swojego do wozu.

Johanna kiwała bez słowa. Słyszała, jak Ravi przemawia do zwierząt, jak klepie je po udach. A konie zdawały się odpowiadać, parskały cichutko, pochylały głowy, kiedy układał uzdy tak, żeby nie uwierały w kark.

Przypominał ożywionego młodzieńca, beztroskiego syna bogatej rodziny, który nie ma w życiu innych zmartwień jak to, czy dzisiaj wyprzedzi w siodle swego przyjaciela i czy zasłuży na uważne spojrzenie swojej wybranki...

Jak to dawno temu, jak okropnie dawno temu widziała Ravięgo z takim spojrzeniem. Może czas już najwyższy, żeby się tak stało, chociaż okoliczności są tak mało sprzyjające? Ostatnio często mówił o tym, przekonywał, że nie powinna się wstydić, iż pozwala sobie na odrobinę szczęścia mimo wszechogarniającej tragedii. Nie potrafiła przyznać mu racji. Może została inaczej wychowana?

Kiedy jednak siedziała wysoko w siodle i czuła spojrzenie Ravięgo na swoich gołych nogach, poczuła w sobie strumień nowej siły. Ręce pocierane i drżące od

ciężkiej pracy i opatrywania ran mocno ujęły lejce.

Ravi ruszył przodem, w górę na wzniesienia poza domem, drogami wijącymi się obok Vildegard. Dokąd on zmierza? Nie można przecież jechać konno po świeżo skoszonych łąkach.

Przycisnęła nogi do boków wierzchowca, pochyliła się do przodu i ruszyła. Rozwiane włosy Ravięgo zniknęły pośród drzew.

Czuła przyjemny prąd powietrza na twarzy, oczy same się zamykały, ale koń szedł spokojnym, równym kłusem. Bardzo dawno temu poznała ten rytm, z radością przechodziła w galop, pogrążała się w tej osobliwej bliskości, jaką wówczas osiągał koń i jeździec. To prawie niemożliwe, wydawało się czymś w jakiś sposób nienaturalnym, że człowiek może tak gnać przez łąki, ścieżki, kamienie. Bieg zawęża pole widzenia, trzeba patrzeć daleko przed siebie, nie rozglądać się na prawo i lewo, nie podziwiać krajobrazów ani cudów natury.

To wspaniałe.

Chciała zawołać na męża, poprosić, by mimo wszystko zaczekał, bo jej młoda klacz nie przywykła do galopu, zresztą biodra Johanny też zaraz zaczną boleć.

Znawali się daleko ponad gębią Durdei, zbliżali się do miejsca, w którym dolina Dal znowu się rozszerza, na jej zboczach rozsiane są ludzkie siedziby, niektóre schodzą w dół, do spokojnie płynącej rzeki. Dolina ciągnie się dalej, podnosi lekko i dociera na koniec do gór i lodowców.

Ravi zjechał ze szlaku, którym się początkowo posuwali. Jednym skokiem przesadził rzekę i znalazł się na drugim brzegu. Johanna widziała, jak jeździec wzbija bryzgi jasnej wody, która w chwilę potem spadła na jego głowę. Wybuchnął śmiechem. Machał do niej radośnie.

Czuła, jak serce tłucze się w jej piersi, koński puls docierał do niej poprzez przytulone do zwierzęcia uda.

- Ruszaj, maleńka - szepnęła, chwytając całą garścią końską grzywę. I klacz skoczyła, wybiła się łukiem ponad płytką rzekę. Kopyta wbiły się w miękki piach na brzegu, na chwilę Johanna się przestraszyła, że obie upadną, ale koń stanął na pewnym gruncie i zarżał radośnie. Ravi zeskoczył i w tej samej chwili znalazł się przy nich.

- Pięknie, moja kochana. Nie zapominasz tak łatwo dawnych sztuk! Zsunęła się w jego ramiona, wprost w pocałunek, który nie pozwolił jej oddychać, dopóki płuca nie zaczęły się gwałtownie domagać powietrza.

- Ty też nie - jęknęła zdyszana i wypuściła lejce z rąk. Jego wargi wygięły się zabawnie. Po skoku przez rzekę miał mokre włosy i plamy gliny na twarzy. Widziała oczekiwanie w jego ciemnych oczach, wiedziała, że te chwile, kiedy udawało mu się wyrwać ją z powagi, rozbawić i rozweselić, są równie ważne dla niego, jak i dla niej.

To nie jest wypełnianie małżeńskich obowiązków. Nie zawsze był w stanie sprostać tej niezwyklej odpowiedzialności, jaka wynika z roli gospodarza w Vildegard. Ale akurat w takich momentach dziękował za nią losowi. Ona nie potrzebowała męża, który by dla niej prowadził gospodarstwo czy zajmował się handlem, chociaż na początku bardzo starała się go nauczyć właśnie tego.

Przyszedł do niej kiedyś jako przyjaciel i po to, by ją kochać. I po wszystkich przeżytych latach Johanna rozumiała, że mimo urzędowych papierów i błogosławieństwa pastora nie zamierzał być dla niej niczym innym, jak właśnie tym: przyjacielem i kochankiem.

Żeby tylko ona na to pozwoliła.

Żeby pozwoliła też sobie w tym uczestniczyć.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Widziałeś ich? Naprawdę, jesteś tego pewien? Magnus Storlendet ciężko pokiwał głową.

- Oczywiście, że jestem pewien! I, szczerze mówiąc, panie Cimber, teraz, kiedy Cyganie się wynieśli, któż inny mógłby latać po lesie jak dzikie zwierzęta i bez wstydu robić takie bezecności?

- Ona była... naga? I jesteś pewien, że to z tym swoim mężem... kopulowała?

Magnus Storlendet znowu pokiwał, tym razem z większym zapalem.

- Pan Cimber powinien był ich widzieć! Przewalali się w trawie, krzyczeli, mocowali się jak w walce! On jest przecież całkiem dziki, to jakiś leśny człowiek, może troll! Czarny i owłosiony, nigdy się po chrześcijańsku nie zachowywał!

Magnus Storlendet zaczął dygotać. Pastor przyglądał mu się spod przymkniętych powiek, pochylił się poufale naprzód, ustawiał monokl na płaskim nosie:

- No, ale co... tak mówiąc konkretnie... się tam stało? Głos Magnusa Storlendet brzmiał ochryple, zniżył go mocno, prawie do szeptu, dobierał słów odpowiednich do rozmowy z pastorem, a zarazem na tyle czystych, by przy okazji jego samego nie przedstawiły jako człowieka szarpanego niemoralnymi żądzami.

W końcu Cimber przestał na niego patrzeć, przestał go słuchać i laską, którą teraz stale nosił, uderzył głośno w podłogę.

- Może i ma pan rację, panie Storlendet. Jesteś po prostu szatanem, tak, ale nie sądzę, że mnie zwiedzisz tą swoją udawaną troską o moralność parafii. Myślę, że przeżyłeś parę miłych chwil w tym lesie na wzgórzach. Co za wyobrażenia... dzika bestia i łabędź... Tak, tak, człowiek nie może mieć wszystkiego... Pastor mlasnął oblesnie.

- Ale powtarzam, być może masz rację. To nie jest odpowiednie zachowanie dla kogoś, kto chce być uznaną przez króla pielęgniarką i medyczką. Jest tylko jeden problem...

- Co takiego, panie Cimber? Magnus z przejęcia pochylił się naprzód, ale pastor demonstracyjnie przesunął stos książek, zmuszając tamtego, by siedział prosto po swojej stronie stołu.

- Czy jesteś pewien, że to był ten jej mąż? Nie mógł to być ktoś inny, o nieco jaśniejszych włosach? Jakiś wyższy mężczyzna? A może niższy? Obcy koń...?

Magnus uśmiechał się zadowolony.

- Och, oczywiście, na pewno mógł być. A ona nie zachowywała się wcale jak żona, prawda?

- Nie - mruknął Cimber i dodał: - Gdyby tak właśnie było, to bym znacznie lepiej rozumiał również twoją chęć do żeniaczki, Magnus. Już pewnie wybrałaś sobie nową narzeczoną?

Magnus Storlendet mrugał raz po raz i marszczył czoło.

- Panie proboszczu, jeśli Bóg pozwoli mi zachować moją kochaną synową, obu synów i wnuki... to będę więcej niż zadowolony.

- Ach, tak? O, widzę, że z latami, to i on robi się starszy. Magnus wyszczerzył zęby.

- Tak. Człowiek ceni... inne wartości w życiu. I w takich trudnych dla wsi czasach... najlepsi z nas powinni zachować jasne myśli i mogli działać spokojnie bez potrzeby martwienia się o histeryzujące kobiety.

Pastor nie odpowiedział. Podniósł się jednak z niejakim wysiłkiem i z ponurą miną wskazał laską drzwi. Gospodarz ze Storlendet wymknął się przez nie uśmiechnięty, nie przestając kłaniać się i dziękować. Pastor zastanawiał się przez chwilę, a potem został wysłany umyślny do Vildegard.

Marja z pewnością zechce raz jeszcze otworzyć sakiewkę. I zapłaci dwa razy

tyle, co Magnus złożył w darze kościołowi. Co najmniej.

Jeśli ten podstępny wąż ze Storlandet nie dopełni rychło swojej wendety, to obfity strumień pieniędzy może jeszcze długo spływać w ręce pastora.

A Magnus pewnie niczego nie rozstrzygnie.

Pan Cimber był zadowolony.

Epidemia ospy też zaczynała się opłacać, teraz, kiedy pastor jest na tyle zdrow, by znowu modlić się w imieniu parafian i udzielać im błogosławieństwa. Wielu dawało też sporo na biednych, prawdopodobnie po to, by kupić sobie spokój sumienia, albo może sądzili, że pastor dzięki temu nie będzie taki surowy, kiedy przyjdzie pora brać do siebie najbiedniejszych na zimę.

Jeśli szczęście dopisze, to nie zostanie ani jeden ubogi starzec, kiedy straszna zaraza nareszcie ustanie. Nie zaszkodzi zatem, by już teraz chłopci wniesli odpowiednie opłaty i nie czekali z uiszczeniem obowiązków aż do zimy. Musi pamiętać, by ich ponaglić w najbliższym kazaniu. Zresztą dobrze się składa, bo akurat w tę niedzielę ma mówić o biednej wdowie i jej chrześcijańskiej szczodrobliwości. I chociaż nie wypada pewnie w imieniu Boga obiecywać wyzdrowienia, to nie zaszkodzi wspomnieć, że Pan ceni sobie taką postawę i z pewnością na następnym rozstaju dróg zechce złożyć na barki swoich najwierniejszych wyznawców mniejsze ciężary.

O, tak, nastały dobre czasy! Ile powinien zażądać od pani Marji? Ludzie gadają, iż jej dom prowadzony jest na takim poziomie, że kopenhascy goście wykrzykują z zachwytu i zdziwienia, dla żartu nazywają Lyster małą Kopenhagą.

Powinno być ją stać na zapłacenie pastorowi dużo więcej, niż dotychczas zdołał z niej wydusić. Gotowa jest na wiele, by chronić swoją małą, słodką wnuczkę...

Cimber liczył na palcach, obmyślał i spekulował, w końcu doszedł do wniosku, że musi dostać co najmniej osiem talarów, jeśli chce wylać wiadro oskarżeń na głowę tego nadętego nowego lensmana.

Myśl o tym długo rozgrzewała jego wyniszczone chorobą wnętrze. Razem z innymi tajemnicami, jakie ostatnio odkrył, powinno to przynieść spory dochód. Probostwo z każdym rokiem stawało się tłustsze. Kiedy nareszcie poznał tych prostych ludzi, łatwiej mu trafiać w najbardziej odpowiednie miejsca.

Wierni znad tego dalekiego fiordu nie byli przebiegli, raczej biedacy, łatwowierni i nie bardzo rozumiejący świat. Nie biegali też do biskupa z każdą najdrobniejszą sprawą, na to przynajmniej wyglądało. Tak, połowa to pewnie nawet

nie potrafi się podpisać.

Tylko z Marją powinien obchodzić się ostrożniej, ta to naprawdę wie zbyt wiele.

Jak długo jednak Johanna będzie miała prawo bawić się w doktorkę, tak długo też i znosząca złote jajka kura, jaką jest jej babka, musi trzymać swój dziób, za często go nie otwierać i cicho siedzieć na grzędzie...

Kiwał głową zadowolony, jakby przytakiwał własnym myślom. Po chwili zasiadł, by napisać list do Magnusa Storlendet, w którym prosił o wyjaśnienie licznych plotek, jakie do niego dotarły, a które mogły, być może, kosztować świeżo wybranego lensmana srebrne guziki, gdyby uchylał się od wyjaśnień... Pastor wyrażał swoje najszczerze przekonanie, że da się wyciszyć pogłoski, należałoby jednak raz jeszcze rozważyć i ocenić to jakoby nieprzystojne zachowanie Johanny. Twierdzi się bowiem właśnie coś takiego... coś takiego o jednej z tych cygańskich dziwek, które włóczyły się po wsi... ludzie gadają, że towarzyszył jej pewien mężczyzna i że zmiierzali oboje do jednego z szałasów pasterskich należących do Storlendet...

Był bardzo zadowolony ze sformułowań. Aż ociekały formalnym respektem, co wyrażały w takich słowach, że Storlendet pewnie nie zrozumie zawartej w nich obrazy. Ale informacja, prosta i wyraźna, powinna do niego dotrzeć. Z pewnością domyśli się też, że jego nędzny dar to nie jest wystarczająca suma.

Jeśli się chce kupić zwycięskiego konia, trzeba mieć dużą sakiewkę.

W małym szałasie już dawno wprawiono w okienkach szyby. Daszek, który osłaniał trochę drzwi przed deszczem, usunięto, a w zamian Ravi zbudował niewielki ganek. Ściany pokrył półkami i szafami, które wymalował w roślinne wzory.

Na suficie namalował białe słońce.

Obcy ludzie tutaj nie przychodzili, a jeśli ktoś się czasem pojawił, to Ravi nigdy do środka nie zapraszał. Smród kleju, alkoholu i oleju zawsze unosił się w chacie, a był tak silny, że mało kto w ogóle chciałby tam wejść.

Na zewnątrz stał kamienny stół oraz parę z gruba ciosanych pieńków, na których można było odpocząć pod słoneczną ścianą. Z każdym rokiem drzewa gęściej otaczały małe podwórko, młode jarzębiny w porannym wietrze delikatnie głąskały drewniane bale, z których wzniesiono domek. Dziedziniec przypominał zieloną jaskinię, trzeba było znać tę polanę, żeby do niej trafić.

Ravi podskoczył, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Od dłuższego czasu był pochłonięty obrazem.

Duży kamienny talerz, który służył mu za paletę, upadł na podłogę i farby się rozlały. Ravi zaklął paskudnie i starał się rękawem wycierać zaplamione ubranie.

- Odejdź stąd! Nie mam czasu!

Nikt nie odpowiadał, ponownie jednak zaciśniętą pięścią łomotał w drzwi. Ravi zastygł pośrodku izby. Wiedział, kto to. I wiedział, że nie chce na niego patrzeć.

- Idź sobie, Magnus! - zawołał. - Nie mamy o czym rozmawiać! Zaciśnął pięści zirytowany, że strach zabarwił mu policzki i sprawił, iż nie potrafił oderwać oczu od drzwi.

- Nie masz tu nic do roboty, człowieku! Z zewnątrz nie dotarła żadna odpowiedź, ale dudnienie ustało. Ravi odetchnął. Można powiedzieć, że masz jakieś przywidzenia, zganił sam siebie w myśli. Ale jak zawsze przy spotkaniu, czy tylko na myśl o Storlandet, poczuł w duszy ten dziwny chłód, który nie wiadomo, czy brał się z zadawnionej nienawiści, czy też przypominał o czymś, co się nie wydarzyło.

Ten człowiek jest niebezpieczny. W mieszaninie barw, jaka powstała na palecie, Ravi widział zawsze ten jeden, brunatnoczerwony, śmiertelny ton, niczym rozlana, zakrzepła krew. Albo bardziej siny, jak szyja wisielca.

Zmusił się do skierowania wzroku na płaszczyznę, nad którą pracował. Był to obraz domu Marji, roztańczeni wokół niego ludzie to karykatury jej letnich gości.

Ravi był dość zadowolony z rezultatu, namalował nawet siebie samego jako postać czającą się na skraju lasu, i Johannę, jak szczęśliwa zajada ciastko.

Był jednak ktoś, kogo namalować nie potrafił.

Dręczyło go, że mimo najlepszej woli nie może pojąć, dlaczego tak jest. Przedtem zrobił już przecież mnóstwo portretów Marji.

Myśli krążyły po głowie ociężale, jakby starały się unikać tego lęku, który wywołało w Ravim bębnienie do drzwi. Wycierał farbę z podłogi, na szczęście deski zostały zagruntowane grubą warstwą oleju i wkrótce barwna plama zniknęła.

Czego chciał Magnus ze Storlandet?

Ravi jeszcze pamiętał ich ostatnie, nieprzyjemne spotkanie wysoko w górach.

Wtedy tamten prosił go, by cofnął przekleństwo. A Ravi nawet nie wiedział, czy jeszcze jakieś przekleństwo istnieje. Co prawda przeklinał, w strasznej złości wzywał najczarniejsze moce, by ściągnęły nieszczęście na tego człowieka, przez którego tyle łez wypłakano w tej wsi. I który rzucił cień na życie Johannę, mroczną zasłoną omotał tamtą wesołą dziewczynę, którą niegdyś była. Na Erlenda. Na Storlandet. Ravi zaciśnął zęby, nasyconą terpentyną szmatę odrzucił do metalowego

wiadra przy drzwiach.

Spojrzał na swoje ręce, drżały tak, że nie był w stanie utrzymać pędzla. Czy naprawdę jest w nich siła zdolna ściągnąć przekleństwo? Czy te wszystkie nieszczęścia, które w ostatnich latach tak często spadały na Storlendet, to jego dzieło?

Możliwe. Żył wprawdzie od wielu lat tym jakimś życiem na granicy światów, nigdy jednak nie zszedł do końca w głąb własnej duszy.

Nie odważył się. Już i tak wiedział za wiele. Najlepiej było ślizgać się po powierzchni, nie zagłębiać się, dopóki niewidzialna siła nie przycisnie karku.

Wydał z siebie ni to śmiech, ni to szloch. Wargi wykrzywiły się. Obraz nie zostanie dzisiaj ukończony. Spłoszył go gospodarz ze Storlendet.

Twarz Ravięgo pociemniała, zacisnął pięści na myśl o tym, co mogło nadejść.

Johanna miała wrażenie, że jest bardzo daleki. Mimo to zdołała przytulić do niego swoje ciało, umościć się niczym pisklę w gnieździe, z oczyma zamkniętymi przy jego piersi. Gładził ją ręką po plecach, ale jakby nieobecny, raczej instynktownie, niż z jakiegokolwiek innego powodu. Nie było go tu, to nie jego pieszczoty, Johanna poczuła pulsujący ból w piersi. Wiedziała, że i on wielokrotnie odczuwał ten ból, kiedy za bardzo pochłaniały ją inne sprawy. Widocznie tak właśnie żyją, niczym dwie brzozy rosnące obok siebie, których gałęzie jednak ledwie się dotykają.

Ale pod tym samym niebem.

Ravi się poruszył, wyprostował nogi, wyczuwała, że jego mięśnie są boleśnie wrażliwe. Czyżby cierpiał? Nie miała odwagi przerwać tego milczenia w mroku nocy. Niech on mówi, jeśli zechce.

Oddech Ravięgo był nierówny, raz po raz przerywał go cichy jęk.

Johanna milczała, cierpiała razem z nim. Leżała bez ruchu i czuła, że jego ręka staje się coraz chłodniejsza, niemal całkiem obca. W końcu już nie mogła tak dłużej, uniosła się, wsparła na łokciu i w blasku światła padającego przez szparę między zasłonami starała się dojrzeć jego twarz. Noc na zewnątrz była niebieskawa. Twarz Ravięgo rozpływała się w cieniu, Johanna dostrzegła jednak, że oczy lśnią. A więc nie śpi. To nie koszmarny sen go dręczy.

- Ravi, co się stało? O czym ty myślisz? Westchnął jeszcze mocniej, niemal słyszała, jak suche wargi się otwierają, jak Ravi stara się zaczerpnąć powietrza, szuka odpowiednich słów.

- Ja... ja nie wiem. Jestem niespokojny... nie wiem...

- Widziałeś coś? Chrząknął tylko, choć może był to ironiczny śmiech. Johanna

odnalazła pod kołdrą jego rękę.

- Martwisz mnie.

- Wiem - odpowiedział ochryple.

- Ale jestem jeszcze bardziej niespokojna, kiedy nie wiem, o co chodzi.

Powiedz mi coś więcej! Coś przeczuwasz?

Wiercił się przez chwilę na pościeli, w końcu ułożył się na boku, podciągnąwszy wysoko kolana, które oparł o jej uda.

- Boję się. Nie o siebie... i nie o nas. Ale jest coś w powietrzu... być może odczuwam te wszystkie cierpienia, jakie powoduje zaraza.

Umilkł, a ona nie protestowała, myślała w ciszy.

- Tak - wyszeptał po chwili Ravi. - To zaraza. To choroba kładzie się ciężkim całunem na okolicy, woła do mnie setkami głosów. Tyle śmierci, Johanno... tylu cierpiących. Jakby mnie z nimi wszystkimi łączyły nici pajęczej sieci. Wciąż ktoś szarpie za nici, Johanno, a ja nie mogę się z tego wyplątać.

- Najdroższy... - Objęła jego ramiona, kciukami dotykała policzków męża. - To niedługo minie. Wkrótce zaraza musi się poddać. Nie wiem, jak to się stanie, ale to już długo nie potrwa.

- Cała parafia wyniszczona... Skinęła głową, ale nie chciała ulec jego czarnej wizji.

- Tak, jednak ludzie są tutaj silni, wielu wyzdrowiało. Myślę, że dotychczas co najmniej połowa jakoś się wygrzebała z najgorszego, między nimi dzieci!

- Ale jest też wielu zmarłych. I chorych. Nie mogła zaprzeczyć.

- Ravi, to jest życie... tak właśnie bywa. Słyszała, jak próbuje westchnąć przez zaciśnięte gardło.

- To jest śmierć - powiedział ponuro. - Ale mnie nie śmierć przeraża. To ta cała męka, udrczenie i tęsknota. Johanno, nie mogę znieść tęsknoty tych, co zostali! Matki, które płaczą... dzieci czują się tak strasznie samotne... one wołają, Johanno, a ja mam wrażenie, że wołają mnie.

Westchnęła. Nie wiedziała, co powiedzieć. Dzisiejszej nocy to ona musiała pokazywać mu gwiazdy, ale nie bardzo potrafiła być przewodniczką dla nocnego wędrowca.

Wielokrotnie zdarzało się, że pragnęła zrobić mu napoju z kozłka lekarskiego zmieszanego z silnym wyciągiem z kwiatu rumianku. Spirytus i odprężająca siła roślin zwykle pomagają na bezsenność. Bała się jednak, że sam napój mu nie pomoże,

natomiast spirytusu nie odważyłaby się mu podać. Dziesięć lat minęło, od kiedy nie pił mocnej wódki, czasem tylko cienkie piwo i parę łyków wina. Mimo to bała się, że żar jeszcze się w nim tli i że spirytus mógłby je na nowo rozpalić dzikim płomieniem.

W milczeniu przesuwała się za nim. Ravi znalazł się już przy samej ścianie, ale nie pozwoliła mu umknąć. Jakby jej ręce kierowały się własną wolą, zaciskały się mocno. Za nimi podążała reszta, ciało przywierało do męża, nie chciało zostawić go w spokoju. Tworzyła z samej siebie mur między nim a tą długą nocą, i miała nadzieję, że to ochrona znacznie lepsza niż napój, którym on sam do niedawna się odurzał.

Prowadzili każde swoją walkę. Ona była już obeznana z taką wojną. Nie przerażała jej już tak strasznie, ale sprawiała jeszcze, że serce tłukło się mocno w piersi, a ręce wpijały się w ciało Ravięgo.

Czuła, że od strony milczącego męża płynie do niej strumień wdzięczności, z którego jej serce czerpie spokój. Większej zapłaty nie oczekiwała.

- Poradzimy sobie z tym, ty i ja - szepnęła niemal bezgłośnie. Miała wrażenie, że on w milczeniu przytakuje.

Wciąż nieruchomy zdawał się w jakimś sensie wracać do łóżka, jakby miękł, a ręce, które wciąż czuła na swojej skórze, nabierały życia.

Johanna leżała spokojnie, mniej już napięta, a węzeł pod sercem powoli się rozwiązywał. W tej nowej bliskości kielkowało pożądanie, które mogło ich zbliżyć jeszcze bardziej. I w inny sposób. W sposób, który nie pochodzi z ukojenia ani pociechy, lecz z tęsknoty za tym, by poczuć tętniące życie pośród codziennie przychodzącej śmierci i rozpadu.

Teraz odpowiadał inaczej na delikatne pieszczoty, przesuwał dłonie po jej udach bez tego oddalenia, które znaczy na skórze lodowate ślady, kiedy dotarł do piersi, odchyliła głowę i poczuła, że jej oddech stał się gorący. Ravi pocałował ją, odnalazł wąskie tasiemki, które przytrzymały koszulę na ramionach. Kulila się pod jego dotykiem, chciała czuć jego wargi na skórze. Oddech Ravięgo łaskotał, on w ciemności pochylił się nad nią i nareszcie dotknął wilgotnym językiem brodawki.

- Ravi... chodź bliżej. Pochwyciła go, zacisnęła nogi wokół jego nóg, ale on się wymknął, chciał jeszcze smakować jej skórę. Wilgotne ścieżki krzyżowały się na jej brzuchu i na udach, które tego lata ani razu nie widziały słońca.

- Chodź... Odmawiał, lekceważył niespokojne dłonie, wymykał się, gdy chciała go obejmować lub dotykać tak, że nie byłby już w stanie dłużej czekać.

Krótki śmiech wyrwał się z jego gardła, słyszała, że chwyta powietrze.

Podniecona nadal poruszała się tak, że on w końcu zaczął odpowiadać na jej pocałunki. Z głuchym pomrukiem przerwał grę i pozwolił jej gładzić swój napięty brzuch, który dotykał jej rozkosznie miękkiego. Johanna wygrała, zdawała się ważyć jego pożądanie, drażniła i głaskała, wpijając się równocześnie ustami w pulsujące naczynie krwionośne na drżącym ramieniu, na którym Ravi się wspierał. Po chwili opadł na nią, wsunął ręce pod jej kark, przycisnął drapiący zarost do mocno już zaczerwienionego policzka.

A ona rozkoszowała się tymi krótkimi sekundami jego wahania, oczekiwaniem i obietnicą, że będzie więcej, dużo więcej. Jej ciało było już gotowe do lotu, ale chciała jeszcze dawkować rozkosz. Ravi rozumiał, zawsze to wiedział, pozwalał jej trwać ponad granicą w ciągu długich minut, które kosztowały go strumienie potu spływającego po plecach. Ten pot też był jak pocałunek, miękkie wargi pełne krwi, powstrzymujące jego coraz trudniejsze do zniesienia pożądanie. To ona nauczyła go odczuwania radości w tych niemal świętych chwilach, kiedy świat wokół przestawał właściwie istnieć, a oni mieli jeszcze tylko otworzyć bramę do krainy rozkoszy, której doświadczało się jedynie w kilku krótkich mgnieniach.

To było takie cudownie odmienne, za każdym razem wszystko odbywało się według innego wzoru, powstawała odrębna historia, mimo znanych dróg i celów, toczyła się własnymi tylko ścieżkami poprzez lasy i góry. Kochała go za to, wiedziała, że posiadają coś niezwykłego. Ze ten sam mężczyzna potrafił kiedyś powstrzymać w niej gwałtowną dzikość w jasny dzień nad spokojną rzeką, a teraz kocha jej duszę tak samo jak ciało i porywa ją jak do tańca z wycuciem, z którym chyba oboje przyszli na świat. Nie wypuścił jej, nie wypuścił nawet wtedy, kiedy pocałunki zamarły, a ręce tak długo głaszczące skórę odnalazły nareszcie spokój. Uwielbiała tak pograżać się we śnie, wypełniona po brzegi zadowoleniem, jakiego nic innego nie było w stanie w niej wyzwolić. Wiedziała, że wciąż jeszcze tańczą oboje, choć bez ruchu i bez jednego najcichszego choćby słowa, które mogłoby zakłócić ich wspólny rytm.

O porannej godzinie tego dnia dwie fury zajechały przed kościoł. Słońce ledwie się pojawiło, ciężkie zasłony wciąż były zaciągnięte w letniej sypialni pastora. Mężczyźni, którzy zajechali, usiedli na rowie i czekali. Słońce mozolnie wznosiło się na niebie, oni gryźli żdźbła trawy i spluwali. Szorstkie ręce odrywały kolejne listki z gałązki szczawiu, a łodygi łamali w brudnych palcach.

W końcu na dziedzińcu plebanii dały się słyszeć głosy. W drzwiach stanęła kobieta, to ta, którą nazywano panią Alette, podobno jest ciotką pastora czy kimś

takim. Ubierała się zawsze na czarno tylko z wąską koronkową wypustką pod szyją. Dzisiaj spięła wysoki kołnierzyk złotą broszką w kształcie krzyżyka.

- Nowi? - zapytała, wskazując głową fury. Chłopi zdjęli czapki i mamrotali coś niezrozumiale, wpatrując się w ziemię.

Kobieta zacisnęła wargi, głęboka bruzda na czole dodawała życia jej nieruchomej twarzy.

- Momencik. Przyprawdzą pastora. Znowu czekali. Miażdżyli w zębach kolejne źdźbła na gęstą, zieloną masę.

Pastor Cimber wyszedł z płamami jajka na piersiach, nawet nie zadał sobie trudu, żeby zdjąć lnianą serwetkę, którą ochraniał kosztowny materiał surduta.

Dokumenty zostały podpisane, pogrzeb opłacony. Wysłano posłańca do dzwonnika. Chłopi opuścili plebanię. Jeden stał niepewnie, trzymając się koła, kiedy dwaj inni zsuwali niedużą, lekką trumnę z wozu, żeby ją przenieść do kamiennego pomieszczenia, gdzie zostanie do pogrzebu. Ustawiono ją skosem na dwóch innych, większych i cięższych. W pomieszczeniu czuć było śmierć, ciężki, gęsty odór, chociaż codziennie palono tu gałęzie jałowca i okadzano.

Kościelne dzwony biły każdego dnia. Ale niewielu ludzi słuchało krótkich kazań pastora i głuchych uderzeń cmentarnej ziemi o drewniane trumny.

W lipcu choroba rozprzestrzeniała się w osadach otaczających Lyster. Mimo to można było odnieść wrażenie, że największy impet już utraciła, że większość zlej siły zużyła właśnie tutaj i jej okrutne szpony nie wbijają się już tak głęboko na odległych brzegach fiordu. Z każdym dniem bez wiadomości, której bała się najbardziej, Johanna odzyskiwała coraz więcej spokoju: dzieci powinny być bezpieczne w Meisterplassen. Bendik zatroszczy! się na pewno, by nikt obcy nie przybijał do ich przystani i żeby też nikt nie wyjeżdżał, dopóki zaraza nie wygaśnie. Gdyby dzieci zaraziły się przed wyjazdem z domu, już by o tym wiedziała.

Z tą świadomością łatwiej było pracować. Łżej było patrzeć na rozpaczające matki, choć i oczy Johanny napełniały się łzami nad losem tych, którzy nie mieli sił, by się bronić.

Teraz Ravi chodził z nią często do chorych i pomagał jak mógł. W jego uszach jednak rozpacz innych brzmiała jeszcze straszniej, Johanna wiedziała, że kosztuje go to dużo więcej niż ją.

Można by sądzić, że przywykł do cierpienia, on, który poznał je lepiej i gruntowniej niż wielu innych. Mimo to za każdym razem wydawało mu się nowe,

działało na niego ze straszną siłą. Najwyraźniej nie traciło mocy nawet wówczas, kiedy stawało się tak powszechne, że człowiek nie dostrzegał już niczego innego.

Żałowała swoich twardych słów i żałowała niewypowiedzianych żądań. Pragnęła, żeby jak dawniej chodził do swojej chaty i malował w samotności. Niekiedy nie pozwalała mu iść ze sobą, wtedy usuwał się na bok. Wiedziała jednak, że nie ma prawa pozbawiać go możliwości wyboru.

Mimo wszystko dni nie wydawały się już takie trudne, kiedy jego cierpienie nie kładło się dodatkowym ciężarem na jej duszy. Kiedy nie musiała patrzeć, jak blady i ponury, mociuje się z własną bezsilnością, która napętnia go jeszcze większą goryczą.

Johanna poprosiła, by Ravi namalował obraz upamiętniający zmarłych, epitafium, które można powiesić w kościele z nazwiskami nieszczęsnych ofiar, tak by nie tylko bogaci, których na to stać, złożyli hołd swoim krewnym.

Oczywiście Ravi obiecał. Rano wychodził razem z nią i szedł skrajem lasu w odwrotnym niż ona kierunku. Emmi, Diana i Marja przygotowywały opatrunki i maści, jedzenie dla chorych i ziołowe herbaty. Wspomagano je teraz z wiejskiej kasy dla biednych, również z bogatych gospodarstw, które choroba ominęła, nadchodziły codziennie zgłoszenia o chęci pomocy na polach i łąkach chorych chłopów.

Johanna cieszyła się, że nie musi już sama za wszystko odpowiadać. Marja, Emmi i Diana każdego popołudnia robiły sobie wolne, żeby odpocząć, z pewnością też spędzały grzesznie radosne wieczory, Johanna jednak tego lata nie była w stanie wykraść dla siebie więcej szczęścia niż te krótkie chwile w objęciach Ravięgo.

Nie miała odwagi nawet myśleć, kiedy się to wszystko skończy.

Wciąż jeszcze mogło dojść do katastrofy, wciąż ktoś z jej najbliższych mógł paść ofiarą. Albo ona sama, chociaż wszystkie znaki na niebie wskazują, że jest odporna. Służące i parobcy przez pierwsze tygodnie bardzo się bali choroby, ale teraz znowu się uśmiechają, a na Johannę patrzą jak na świętą, pod której opiekę można się schronić i nic człowiekowi już nie grozi. Pozwalała im w to wierzyć, pozwalała im modlić się w spokoju. Nie szkodzi przecież, jeśli ludzie szczerze wierzą, że nic im się nie stanie. A Marja rozdzielała łyżkami miksturę Remmerrmanna wynalezioną przez najwybitniejszych lekarzy w Europie. Ta mikstura uratowała kiedyś od ospy francuską księżniczkę i teraz etykiety na butelkach ozdabiane są jej wizerunkiem.

W końcu kiedyś to wszystko minie.

Johanna żałowała, że bardziej nie cieszyła się szczęściem w czasach, kiedy

życie toczyło się wolno niczym nagrzana słońcem rzeka. Kiedy nie miała większych zmartwień niż troska o nieszczęścia, które mogły być się zdarzyć, ale nigdy się nie zdarzyły.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Gorączka zostawiła ślady na jego twarzy, skóra zrobiła się cienka i przezroczyście szara. Oczy zapadły głęboko, ale dziobów po ospie było niewiele i niezbyt głębokie. Dzwonnik powrócił do swoich obowiązków, lecz wciąż jeszcze nie odważył się opowiedzieć nikomu o tym, co widział w kościele, kiedy to diabelstwo się na niego zważyło.

Stało się to, kiedy leżał i cierpiał, czując, że skóra pęka mu na podeszłych materią pęcherzach, uświadomił sobie, że jego udziałem stało się objawienie.

Zjawa nie była taka świetliście biała, jak to opowiadali niektórzy świadkowie, nie ukazała mu się też żadna niebiańska istota w białym płaszczu. Był to właściwie głos, choć zarazem jakby coś więcej, jakby pozbawiony słów śpiew, któremu towarzyszyło niezwykle uczucie, przenikające go do szpiku kości i napełniające go nadzieją: Będziesz żył i będziesz opowiadał o tym, co widziałeś. Uratujesz wieś od tego przekleństwa, wyprowadzisz diabła z mego domu.

Stary dzwonnik uzyskał więc pewność w sprawie, którą od dawna podejrzewał: pan Cimber nie jest sługą Boga. Parafianie są pozbawioną pasterza gromadą, zmierzają ku upadkowi. I tylko jeden człowiek potrafi powiedzieć im prawdę i dzięki temu ich zbawić, to znaczy on sam.

Uniósł ręce nad skuloną na krześle postacią i wykrzyczał przekleństwa Pana.

- A więc dzwonnik stracił rozum? - zapytał lensman Storlendet. Pastor oparł łokcie na kolanach.

- Niestety. Nieszczęśnik został już dzisiaj odwieziony do domu wariatów. Natychmiast się zorientowałem, że trzeba coś zrobić. Gadał jak nieprzytomny, krzyczał i szalał. Obawiam się, że gorączka musiała uszkodzić mu mózg.

- Ale zatroszczyłeś się o dwóch świadków? Pastor spokojnie skinął głową.

- Owszem, wszystko jest w najlepszym porządku. Obaj świadkowie są dobrymi chrześcijanami. Pomyślałem jednak, że powinienem też zawiadomić lensmana. Żebyś wiedział, co się stało, kiedy sprawa trafi na ting.

- Kto jest jego opiekunem? Cimber uśmiechnął się blado.

- Jestem człowiekiem ciężko pracującym i naprawdę czasem nie wiem, w co

ręce włożyć, ale jako przyjaciel, jako jego przełożony... rozumiesz? Po prostu muszę mu wyświadczyć tę ostatnią przysługę.

Magnus Storlendet drapał się w kark i próbował zrozumieć, o co tu chodzi. Pastor wpakował dzwonnika do domu wariatów, ponieważ ten gadał bez sensu. Dostyc to dziwne. A jeszcze dziwniej patrzy pastorowi z oczu. Chyba ten Cimber coś knuje. A Magnus Storlendet z czasem poznał proboszcza na tyle dobrze, by wiedzieć, że skoro tak, to bez wątpienia jakaś spora suma zmieni właściciela.

Sługa boży pochylił się do przodu.

- Mój dobry lensmanie, powinieneś wiedzieć jedną rzecz. Otóż dzwonnik opowiadał, że w kościele ukazał mu się ów Ravi Reinsonn, i że wstąpił w niego duch Czarnego Monsa tak, że ten stary drań, tak można powiedzieć, jest teraz wśród nas...

- A to dopiero! Nic dziwnego, że pastor go ulokował... Pastor zmarszczył brwi i patrzył na Magnusa.

- Tak, tak, narobiło się! To w końcu tylko gadanie starego dziada, ale gdyby się rozniosło po wsi... wielu tutaj szanuje dzwonnika. Żył on tu z nimi dłużej niż ja i ty.

- Co masz na myśli? Gospodarz Storlendet starał się spojrzeć pastorowi w oczy.

- No cóż... gdyby tak ludzie zaczęli się nad tym zastanawiać... a baby fantazjowały jeszcze więcej... to mogłoby się tak stać, że ten obcy nie mógłby już dłużej w naszej parafii żyć. A czy ty myślisz, że on by stąd odszedł z własnej woli? Skoro i on, i jego baba zajmują się takimi sprawami?

Pastor przerwał, pytanie zawisło w powietrzu. Po chwili dodał pospiesznie:

- Mógłbyś się pozbyć ich obojga. Nareszcie Magnus Storlendet się roześmiał. Pastor wycierał palcem jakąś niewidoczną plamę z płóciennego obrusa przykrywającego piękny stół.

- Ale będziesz, rzecz jasna, potrzebował mojej pomocy... I... utraciłbym pożytki płynące z opieki nad dzwonnikiem. Musiałby przecież zostać uznany za zdrowego.

Magnus Storlendet sztywno kiwał głową.

- Ale cena... panie pastorze. Jaka jest cena... tym razem? Cimber nie lubił tego chłodnego tonu w głosie chłopa. Nie jest chyba taki głupi, jak by to mogło wynikać z jego tępych rysów i tej podobnej do księżycy gęby.

- Jakoś się przecież dogadamy - odparł wesoło i wytrząsał popiół z fajki,

stukając cybuchem o obcas. Czarny, przepalony tytoń posypał się na wyszorowane do białości deski podłogi. Magnus Storlandet odkaslnął, wolałby, żeby pastor dał mu lepsze zapewnienie, że tym razem im się powiedzie.

Myślał i myślał tak, że w końcu zaczęła go boleć głowa. Ciche jęki Edvardy przeszkadzały mu przez cały wieczór, a nieustanna krzątanina Idy była tak samo irytująca. Na piętrze domu chodziła od jednego łóżka chorego do drugiego, a pewnie nie miała dość rozsądku, żeby włożyć na nogi wełniane skarpety. I dzieciaki, i Edvardę męczył ostry, suchy kaszel, przez grubą powałę słychać było, jak się krtuszą.

Do diabła, niech się tam w końcu uciszy!

Już miał wbiec na schody i wrzasnąć, żeby umilkli, gdy usłyszał, że Ida schodzi na dół. Nie powinna wejść tutaj, przykazał jej, żeby sypiała w oborze albo razem z chorymi. Nie chciał widzieć żadnego z nich w swojej najlepszej izbie.

Dlaczego ta przeklęta baba krzyczy? Pozwala sobie naprawdę na więcej, niż kiedykolwiek odważyła się jej siostra. Pod każdym względem jest twardsza. Ale Ida też nie żądała niczego więcej niż tamta. Wystarczył jej dach nad głową i jedzenie.

- Gospodarzu! Gospodarzu! Trzeba po księdza! Pan Edvard jest bardzo chory, naprawdę źle z nim...

Magnus znowu zaklął.

Ospa nie ustępowała z jego domu.

- Jeśli jest tak, jak gadasz, to i pastor nic im nie pomoże - warknął w odpowiedzi. - Trzeba wysłać duży wóz do Karlsgard. Zadbaj, żeby Arill zabrał ze sobą dobry materac i najlepsze ubranie! Mnie też zapakuj wszystko, co może mi być potrzebne, jedziemy natychmiast, najmłodszy i ja!

Ida wróciła na górę, po chwili jej kroki ucichły. Nad ranem na strychu słychać było ciche zawodzenie, ale wtedy Magnus obmyślił już swój plan ze szczegółami. Zaspany chłopiec został posadzony na wozie wraz ze wszystkim, co zdaniem Idy mogło im się przydać w czasie, gdy będą mieszkać wśród żołnierzy.

Edvard to może chudzielec, ale bardzo wytrzymały. Magnus się specjalnie o niego nie martwił, a gdyby koścista synowa pożegnała się z tym światem, to nie wylałby po niej wiele łez. Dopóki najmłodszy Arill będzie się tak rozwijał jak dotychczas, z każdym dniem będzie się stawał silniejszy i bardziej dorosły, Magnus nie potrzebuje więcej synów, by oddać w dobre ręce dzieło swego życia. Zresztą woli jednego syna, z którego można być dumnym, niż wielu takich słabeuszy jak Edvard.

Arill z całych sił starał się mieć otwarte oczy, kiedy ojciec wsiadł na wóz i ujął lejce.

- Dokąd jedziemy, ojczy?

- Najpierw do Karlsgard. A potem może się wybierzemy na małe polowanie, tylko ty i ja. Ustrzelimy jakąś przepióreczkę, a może i dwie. Co ty na to?

- Ale to nie jest czas polowań, ojczy... Magnus wybuchnął grzmiącym śmiechem.

- No to rozejrzemy się za Cyganami, synu! Na nich można polować przez okrągły rok! I na dójki też! Niedługo będziesz już dość duży, by móc spróbować pierwszy kęs babskiego mięsa, młodzieńcze!

Arill wytrzeszczał oczy, słowa ojca pozbawione były sensu. Ufał jednak, że ojciec żartuje, nie jest przecież mordercą, który zaczaja się gdzieś, żeby strzelać do dójek czy innych służących.

- Czy to prawda? Coś takiego jest możliwe? Ze lensman osobiście widział upiora? I przemawiał do niego?

Pisarz kręcił głową. Nie był jeszcze stary, ale słyszał wiele. Tutaj w tych odległych okolicach pokutują wciąż dawne wierzenia i przesady. Można by sądzić, że ci ludzie nadal żyją w okresie średniowiecza. Można by sądzić, że nigdy nie słyszeli o nowych filozofach, uczonych, którzy krok po kroku zbijają takie bezsensowne rozumowanie.

- A więc duchy. Lensman wierzy zatem w duchy? Ironia w jego słowach była gęsta niczym kwaśna śmietana i równie gładka.

Magnus Storlendet zachował jednak swoją maskę.

- Ja nie wiem, co to takiego. Mówię po prostu, jak było, i co widziałem. A pisarz czytał z pewnością potwierdzenie dzwonnika. Ten biedny stary jest człowiekiem bogobojnym. Na nim można polegać.

Człowiek w peruce burknął coś gniewnie. Potem odsunął papiery na swoim polerowanym stole i wbił wzrok w chłopca.

- W ciągu tych lat spędzonych na pracy pisarza raz po raz stawałem wobec tego rodzaju spraw. Różni przychodzili i oskarżali się nawzajem o rzeczy jeżące włos na głowie. Uważam, że jest moją misją dokładnie wam tłumaczyć, prości ludzie, że coś takiego jak duchy, czarownice, przekleństwa i różne inne magie nie istnieją! Pięćdziesiąt lat minęło od czasu, kiedy po raz ostatni postawiono kogoś przed sądem pod takim zarzutem, panie Storlendet, i powiadam panu, że następne oskarżenie nie

padnie w moim dystrykcie!

Podniósł się, strzepnął jakiś pył z togi. Posłuchanie najwyraźniej dobiegło końca. Pastor i lensman spoglądali po sobie. Dzwonnik siedział i kołysał się wolno na krześle, nie dotarło do niego, że audyencja skończona.

Cimber spokojnie wziął go pod ramię.

- Podziękujemy panu pisarzowi za jego drogi czas. I trzeba ruszać, moi panowie. Mamy przed sobą cztery godziny wiosłowania.

Pisarz popatrzył na niego, najwyraźniej zrozumiał przesłanie, ale bez słowa odprowadził ich do drzwi. Nawet ich niczym nie poczęstował. Długo patrzył za odchodzącymi. Na dziwne rzeczy zanoszą się w Lyster, znacznie dziwniejsze niż to, że stary pijaczyna dostał w kościele ataku delirium. Historię Magnusa Storlendet łatwo było przejrzeć. Ten człowiek nastawa! na mieszkańców Vildegard od czasu, kiedy Johanna zdradziła jego syna i chyba przyczyniła się do tego, że w jakiś czas potem znaleziono go martwego. No cóż, ale zapłaciła za to. I to bardzo drogo, straciła swój posąg i dwa piękne dwory.

Wiejski ting zatwierdził ostatnio Magnusa na urzędującego lensmana, będzie ten urząd piastował aż do jesiennego tingu. Pisarz podejrzewał, że zamierza dobrze wykorzystać ten czas.

Podrapał się po policzku, zdjął nowe okulary i czubkiem palca pocierał zaczerwienioną skórę.

Czy można coś zrobić? Czy ta cała historia to wystarczający pretekst dla pozbawienia go władzy? Czy to w ogóle jest ważne?

Zmęczony pisarz wyprostował się i przygotował na przyjęcie kolejnego interesanta. O ile zdążył się dowiedzieć, tym razem chodzi o wątpliwości co do szafasów na pastwisku w Feigedalen. Jak nieopisanie nużą go te głupie konflikty!

Ostatnio ukarał chłopów za to, że zawracają głowę pisarzowi i sądowi sprawami, które powinni rozstrzygać sami między sobą lub też z pomocą sąsiadów. Jeśli kary będą wystarczająco surowe, to może chłopów się opamiętają, zanim znowu przyjdzie im do głowy szukanie sprawiedliwości u władz...

Podszedł do okna i zobaczył jeszcze tamtych trzech z wiosłami w rękach koło stajni. Gruby Magnus Storlendet, wychudzony chorobą pastor Cimber... z jednej gliny ulepieni, pomyślał pisarz. Trzeba by wyjaśnić, jak skargi na Cimbera przyjmowane są przez biskupa. Bez przerwy ktoś ma mu coś do zarzucenia i akurat to pisarz był w stanie zrozumieć. Cóż to za pyszałek i chciwiec! Nawet własnych komorników

próbuję oszukiwać, wypisuje inicjały i nazwiska na dokumentach, których nie potrafią przeczytać. Pisarz nie raz musiał tam posyłać swego urzędnika, żeby wyjaśniał jego sztuczki.

Nie, to jakaś diabelna posada.

W każdym razie w czasach takich jak ostatnie, kiedy zawracano mu głowę jakimiś głupstwami. Czegóż jednak może oczekiwać ktoś, kto osiadł nad tymi wrzynającymi się głęboko w ląd fiordami, gdzie rozgoryczeni adwokaci i jękający się oskarżyciele są jedyną zdobyczą, na którą może się rzucić orzeł prawa i sprawiedliwości!

- Ale to jest święta prawda, klnę się na zbawienie mojej duszy! Kobiety zebrane na modlitwie u pani Alette spoglądały po sobie niepewnie. Cienka, czarna tkanina z wełny zwijała się pod palcami. To naprawdę okropna historia!

A pisarz nie chciał wierzyć. No i co mają teraz zrobić? Jak się ratować?

Na szczęście tym razem bezlitosny proboszcz jest po ich stronie. Nazwał ich barankami. W dodatku niewinnymi barankami. I obiecał, że przepędzi diabła. Że we wsi znowu zapanuje spokój, byleby tylko wszyscy zmierzali w tym samym kierunku.

- To oczywiste. To jest znak - powiedziała gospodyni Thoriniussen. - Stary Mons by z nami nie igrał. Skoro nam się ukazuje, to po to, by nas ostrzec. Powinniśmy byli domyślić się już wcześniej, powinniśmy być bardziej czujni. To może uniknęlibyśmy zarazy.

Przy stole dało się słyszeć mamrotanie, kobiety splatały palce, zaciskały dłonie.

Cimber spoglądał na ubrane na czarno zgromadzenie i wymienił spojrzenie ze swoją ciotką.

Wargi Alette były surowo zaciśnięte. Z powagą jednak kiwała głową, kiedy pastor raz jeszcze powiedział, że trzeba zrobić z tym koniec. Czarny Mons musi zostać na powrót sprowadzony do ziemi tam, gdzie jest jego miejsce. A jeśli jest tak, że zamieszkał w tym obcym, to tamten musi pójść tą samą drogą.

- Ale potrzebujemy więcej świadków. Prawo powiada... że musimy przedstawić zeznania dwunastu porządnych ludzi w sprawie czarów - zapiszczała siwowłosa wdowa po Johannesie Solgarden.

- Prawo jest martwe - prychnął pastor gniewnie. - Uczni usunęli z niego Boga! Według nich nie ma żadnych czarów, tylko ludzka choroba i pomieszanie zmysłów. Tak jest, moje panie, pomieszanie zmysłów! Czy na dodatek do tego, co

spotkało naszą parafię, mamy jeszcze mieć epidemię pomieszania zmysłów? Same przecież wiecie, ilu to ludzi widziało tego lata coś przy kościele... Coś... bezbożnego.

Znowu zaczęły kiwać głowami, białe czepki chwiały się niczym boje na niespokojnej wodzie.

Cimber westchnął.

- Boję się - powiedział cicho. Twarze zwróciły się wolno ku niemu. On zaś mówił szeptem, wypowiadał niemal niedosłyszalne słowa. Wiele kobiet pochylało się do przodu, słuch już nie taki jak dawniej. Chłoneły jednak obraz mrocznej twarzy pastora i lęk, który czaił się w jego słowach.

Ravi, ten odmieniec, odprawia po nocach msze w kościele. Razem ze starym Czarnym Monsem. To właśnie te msze nie pozwalały wygasnąć chorobie, ów obcy nie chciał cofnąć przekleństwa, dopóki wszyscy nie spoczną pod darnią albo nie zostaną oszpecceni do końca życia.

Wszyscy co do jednego.

Na wsi ciąży przekleństwo i można zrobić tylko jedną rzecz, żeby się od niego uwolnić. Przedtem jednak trzeba wszystkich pobudzić do walki. A to będzie bardzo trudne zadanie, ludzie są zaślepieni miłością bliźniego okazywaną przez Johannę, a nawet jej babkę.

Kobiety więc muszą przekonać swoich mężów, że wszystko, co ona robi, to tylko gra, oszustwo, które ma na celu odwrócenie ich uwagi od prawdy, że mianowicie ona sama jest przyczyną zarazy. Ona i ten obcy, za którego tak bezwstydnie się wydała.

Pastor nalewał napój do porcelanowych filiżanek, które zostały gdzieś na strychu po jednym z jego poprzedników. Herbata była mocna i brązowa, podpłomyki zaś Alette obłożyła serem i wyjątkowo grubo posypała cukrem.

- Nie mamy w tej sprawie po naszej stronie pisarza - rzekł w końcu pastor. - To nie jest człowiek boży, on jest zepsutym dzieckiem tego świata. Pomódlmy się za niego, zaraz, dzisiejszego wieczoru, i otwórzmy swoje serca tak, byśmy i my nie zostali wciągnięci w tę samą pułapkę co on!

W dużej izbie probostwa raz po raz rozlegały się głośne westchnienia, kobiety modliły się w skupieniu, po wielu twarzach spływały łzy.

- Chroń nas, Panie, od wszelkiego dzieła szatana! Nie wódz nas na pokuszenie, byśmy wierzyli, że rozum ludzki może łamać twoje prawa! I daj nam siłę, Panie, byśmy mogli rozpoznać twoich przeciwników, kiedy ich napotkamy!

Rozpoznać ich i unicestwić!

- Amen...

- Spójrzj łaskawie na nas, nędzne dzieci człowiecze, i wskaż nam właściwą drogę. Drogę pokrytą krwią i ostami, którą jednak musimy przebyć dla Twojej radości! Daj nam odwagę i siłę, by wykonać tę oczyszczającą pracę, jaką złożyłeś na nasze barki!

Pastor promieniał, kobiety siedziały przejęte, z pochylonymi głowami.

- ...i nie pozwól, byśmy błędzili! Byśmy, jak bezrozumne owce, zostali odsunięci od służenia Twojej chwale. Nie pozwól różnym demonom tego świata nas zagadać ani zamydlić nam oczu świeckimi racjami!

Kobiety słuchały, czasem potakiwały. Dał im więc ostatniego kuksańca:

- I spójrz łaskawie na tych wszystkich, którzy, w odróżnieniu od nas, nie dostrzegli Twojej prawdy. Modlimy się za ich bezradne dusze, Panie, z ufnością, że uchronisz ich od wiecznego potępienia. Że oni, podobnie jak my, będą mogli zasiadać po Twojej prawicy, że wyznaczysz im miejsce przy Twoim stole mimo ich wielkich i niewybaczalnych grzechów...

Kobiety odetchnęły z ulgą. Przeczuwały, że tu musi być walka, nic nie jest już takie jak przedtem. Cały świat się zmienił. Dzieci nie słuchają swoich rodziców, a kiedy podrosną, wyśmiewają się z opowieści babki o podziemnych istotach i demonach, o pokutujących upiorach, przed którymi człowiek nie ma ochrony. Młodzi nie boją się, a w dodatku twierdzą, że nie należy straszyć dzieci. Co się stanie z naszymi dziećmi, zauroczonymi grzechami świata? Co to będzie, skoro na wszystko mają czas, tylko nie na modlitwę i katechizm?

Dobrze, że Bóg zesłał im Cimbera. Nie jest to łagodny człowiek, co prawda, to prawda, ściąga podatki i długi, posługując się biczem, jeśli trzeba, ale może tak musi być? Zostało przecież wyraźnie powiedziane w Piśmie: Oddaj cesarzowi, co cesarskie. Nie może to przecież oznaczać nic innego jak tylko to, że jest wolą Boga, by człowiek płacił swój podatek, nawet jeśli ten wydaje mu się zbyt wielki.

Cimber niemal widział, jak się te ich myśli unoszą do sufitu, czuł ostry zapach potu.

Kurze mózdzki!

Ale pożyteczne kurze mózdzki...

- Co to, do diabła, za intrygi, pastor znowu knuje? Na ile można sobie pozwalać, jak pastor myśli? To wstyd, Cimber, że biegasz po okolicy i podsycasz

jakieś babskie gadanie!

Proboszcz oczekiwał tej wizyty. Trochę się jej też obawiał, ale gniew Marji był gwałtowniejszy, niż byłby w stanie sobie wyobrazić. A do tego ten jej mąż, który w każdej chwili mógł chwycić za broń i bez ostrzeżenia zrobić z pastorem porządek.

- Chcę, żeby nareszcie ktoś skończył z tymi przekłętymi głupstwami! Och, tak, ja bardzo dobrze rozumiem, co się dzieje! Nie cofniesz się przed niczym, Cimber, jak długo Magnus Storlendet gotów jest wyciągnąć kolejną garść srebra ze swojej skrzyni!

Musiała przerwać, zaczerpnąć powietrza. Cimber uznał, że najlepiej dać jej się wykrzyzczyć. Tymczasem on będzie mógł obmyślić, jak się jej przeciwstawić. Istniało wiele możliwości, jej słabym punktem jest z pewnością wnuczka. A Johanna należy, na szczęście, do ludzi nieustannie kładących głowę pod topór.

- Zamierzam poinformować o tym wszystkim biskupa! Wiem, że już dawniej ludzie ślali tam listy ze skargami na ciebie, ty podstępna żmijo!

Widać i ona nie cofnie się przed niczym. Świadectwo sługi bożego i jakiegoś godnego zaufania sługi króla na temat sprawek tej kobiety mogłoby ją doprowadzić za kraty na parę lat.

Albo przynajmniej spowodować zapłacenie solidnej kary, jeśli kobieta jest rangi i majątku Marji.

Cimber przełykał i przełykał ślinę, jakby chciał stłumić gniew, który sam widok Marji w nim wzbudzał.

Sama odczuje skutki.

Sama się przekona, że pożar, który w niej płonie, nie jest w stanie stopić zimnego srebra.

- Powiem, jakim jesteś przekupnym diablem! Zmierzył ją wzrokiem. Uznał, że czas najwyższy odpowiedzieć.

- Marjo Remmermann... z pewnością zdaje sobie pani sprawę z tego, że przekupowanie srebrem urzędnika na służbie też jest karalne. Sprawa jest więc co najmniej tak samo poważna dla pani jak dla mnie.

Marja uśmiechnęła się cierpko.

- Cimber widocznie uważa, że ma do czynienia z prostą wiejską babą. Jak myślisz, kto się odważy ciągnąć przed sąd jedną z najbardziej zaufanych dworek królowej, i to dla tak mało znaczącego oskarżenia? A gdybym z jakiegoś powodu musiała zapłacić karę, to i tak twoja strata byłaby wielokrotnie większa, bo straciłbyś

swoją tak dochodową parafię. Utraciłbyś sutannę, gdyby wyszło na jaw, że dla swoich celów ozywiasz jakieś bzdury o czarownicach i upiorach. Nie tak dawno sam powiedziałeś, że nie wierzysz w takie głupstwa! Nie pamiętasz już, że chciałeś mnie zmusić, bym spędziła noc w kościele, żeby przekonać ludzi, że nic złego się tam nie dzieje?

- Człowiek ma prawo zmieniać poglądy, kiedy widzi na własne oczy...

- Och, idź do diabła! Jesteś bardziej ślepy niż sowa w południe! Ale jedno oczy pastora widzą mimo wszystko, to znaczy srebro, srebro, srebro! I nędzną, świecką władzę!

Pastor oniemiał. Marja postawiła jedną nogę na krześle, jej męski charakter wydal mu się okropny. Zadrzał, kiedy pochyliła się nad stołem, jej przenikliwe oczy znajdowały się zaledwie o kilka cali od jego twarzy.

- Ostrożnie, Cimber... zgniatałam już nie takie gnidy jak ty! Patrzył zaszokowany. To po prostu nie wypada. Ale... co miałby zrobić? Jeśli teraz zrezygnuje z całej intrygi, to pękata sakiewka Magnusa nie wpadnie w jego ręce. I prawdopodobnie wszystko obciąży Magnusa, on będzie musiał wziąć na siebie odpowiedzialność za te wymysły.

Pastor straciłby w ten sposób znakomitego współpracownika. A przecież lensman to bardzo ważny człowiek, dobrze go mieć po swojej stronie, zwłaszcza kiedy pastor po żniwach będzie inkasował od wszystkich należności. To niezwykle istotne, by ludzie nie znajdowali posłuchu u lensmana, kiedy przyjdą na skargę, że pastor zdziera z nich skórę.

Podniósł się więc i wbił wzrok w Marję.

- Pani powinna być ostrożna, bardzo ostrożna... sama może pani uciec ze wsi, gdyby ziemia zaczęła się palić pod stopami. Zawsze jednak ktoś tu zostanie. Ktoś, komu pani z pewnością nie życzyłaby nic złego...

- Ty brudny psie! Czyż właśnie tego nie robisz? Nie wyrządzasz zła Johannie i Raviemu? To moja krew! Czy myślisz, że Marja będzie spokojnie patrzeć, kiedy dzieją się takie draństwo?

Z rozmachem chwyciła piękny srebrny wazon, aż bukiet z róż i chryzantem się zatrząsł, podsunęła go pastorowi pod nos, po czym cisnęła kwiaty do kominka.

- Chwasty trzeba wrywać, zanim się rozplenia! Chwasty trzeba zdeptać i zniszczyć, zanim wydadzą nasienie. A to, panie Cimber, ja umiem bardzo dobrze! Proszę nie zapominać, że były czasy, kiedy pracowałam na polu jak zwyczajna

komornica.

Wyszła. Jej mąż skinął wyniośle głową, dłonią lekko dotknął kapelusza, podkreślając, że go dotychczas nie zdjął.

Pastor uświadomił sobie, że nie rozumiał tego, co Marja powiedziała na samym końcu.

I nagle pojął.

Wybiegł za nią. Wołał oboje, zanim zdążyli wsiąść do pięknie malowanej kariolki, czekającej na drodze.

- Zaczekajcie! Stójcie oboje... ja... ja muszę prosić o małą przysługę...

Rozejrzał się wokół, starał się mówić urzędowym tonem, w głosie nie było słyhać wzburzenia.

Marja spoglądała na niego zmrużonymi oczyma. Remmermann natomiast oparł się ciężko o bok powozu i splunął w trawę.

- Cóż takiego? Cimber podszedł blisko. Na jego wargach pojawił się krzywy uśmiech.

- Dobrze was rozumiem, dobrzy ludzie. Nie jest łatwo, kiedy wiatr zmienia kierunek. Może jednak zechcecie skorzystać z szansy i uratować skórę. Naród tutejszy nie wierzy w nic innego poza tym, co widzi i słyszy od ludzi, do których ma zaufanie. Jak dotychczas tylko dzwonnik i lensman mogą zaświadczyć o tych zjawach na cmentarzu. Może więc moglibyśmy urządzić widowisko?

- Widowisko?

- No tak! Co by się stało, gdyby Ravi spędził noc w kościele, w obecności najznaczniej szych mieszkańców wsi? Moglibyśmy się przekonać, czy w tym gadaniu jest jakieś ziarno prawdy. W kościele... jeśli naprawdę Czarny Mons w nim mieszka, to coś musimy zobaczyć.

- Powinieneś kazać mu wygłosić w niedzielę kazanie - syknęła Marja. - To byśmy się przekonali, czy po stu latach w ziemi ma nam jeszcze coś do powiedzenia.

Cimber zamknął oczy i wyszeptał:

- On nie spoczywa w ziemi. Marja roześmiała się.

- Ach, no właśnie. I może to pastor Cimber powinien się mieć na baczności? Bo tutejsi parafianie rzadko widywali proboszczy o tak zbrukanych i takich chciwych rękach, jak twoje. A Mogens Skanke wiedział, co należy robić z ludźmi, którzy roznoszą bzdury na temat duchów.

Pokazała ręką. Niewielkie zagłębienie pod ścianą kościoła było jak zawsze

suche i spękane. Marja ściszyła głos, mówiła teraz łagodnie.

- Pan Cimber słyszał zapewne historię o tym, jak stary pastor kazał wrócić do grobu pewnemu parobkowi? Nieszczęsny chłopak chciał się tylko trochę podrażnić z ludźmi, owinał się w białe płótno i zamierzał przestraszyć pastora, udając ducha... więc ostrożnie, Cimber, bo może i z tobą ktoś się bawi?

- Marja... panie Remmermann... to moje ostatnie wyjście. Państwo jesteście tacy pewni, że wszystko to jest tylko wymysłem i głupim gadaniem, więc niech Ravi przenocuje w kościele, w obecności co najmniej sześciu członków tingu!

Marja patrzyła mu w oczy tak długo, aż w końcu nie mógł już wytrzymać jej wzroku.

Po czym uniosła wysoko głowę w koronie z włosów, jedwabnych wstążek i drogich kamieni.

- To niewiarygodne. Myślałam, że rozsądek naszych czasów dotarł nawet do tego ciemnego zakątka. Gdyby jakiś pastor w Kopenhadze wystąpił z czymś podobnym... - machnęła ręką.

Dom wariatów!

Cimber zagryzł zęby. Jeśli Marja zgodziłaby się na jego propozycję, byłby kryty ze wszystkich stron. Bo chyba Magnus Storlendet ma wystarczająco dużo fantazji, żeby w razie potrzeby stworzyć jakiegoś ducha czy nawet dwa.

Jest w końcu stary podziemny korytarz między kościołem a plebanią...

Z pewnością da się ponownie otworzyć.

Marja otrzyma odpowiedź na swoje zaczepki. Nie będzie mogła już tak zadzierać nosa, kiedy sześciu zaprzysiężonych członków tingu potwierdzi wszystko, co widzieli dzwonnik i lensman. Oni zaś na pewno nie odważą się nie podjąć wyzwania. To bardziej niż cokolwiek innego rozwiąże ludziom języki!

- Nie możemy dać się wciągnąć w taką awanturniczą historię! To po prostu głupie, gdyby ktoś z Rady się o tym dowiedział, to cała Kopenhaga skręcałaby się ze śmiechu.

- Niecała - bąknął Remmermann cierpko. - Nie jesteśmy jeszcze całkiem wyzwoleni. Wciąż w królewskich więzieniach siedzą ludzie za takie wymysły. W różnych częściach królestwa nadal panuje mrok i nieoświecona ciemnota... to mogłaby być znakomita okazja, by dać Norwegii, młodszej siostrze naszego dumnego kraju, lekcję na przyszłość. Mar ja głośno cmoknęła.

- No cóż, skoro ty tak uważasz, Rikardzie. W takim razie jednak musisz iść z

tym do Johanny sam. Ja nadal sędzę, że powinniśmy trzymać się z daleka od takiej... takiej dziecinady. Rany boskie, człowieku! Dorośli ludzie zachowują się jak dzieci przestraszone w ciemnościach!

Remmermann wzruszył ramionami.

- Możliwe. W takim razie jednak powinniśmy im pokazać, że proszę bardzo, przekonajcie się sami, iż ciemność nie jest groźna.

Ustąpiła mu z westchnieniem. Mruknęła tylko:

- Johannie to się na pewno nie spodoba. A Ravi, ten biedak... on ze strony kościoła nie doświadczył niczego dobrego!

- No to w takim razie może im pokazać raz na zawsze. We wsi gadają, że on nie znosi krzyża i święconej wody... że jest demonem lub istotą z zaświatów. Więc może im teraz udowodnić! Zobaczysz, że to wszystko będzie dla nas z pożytkiem. Poza tym to okazja do podniesienia ich poziomu, wychowania.

Marja skinęła głową.

- Możliwe, mój kochany. Jesteś mądrym człowiekiem. Ale nie znasz okolicy, której mapę chcesz stworzyć. To jest Lyster, teraz nie spacerujesz po oświetlonych uniwersyteckich korytarzach!

Roześmiał się szczerze i delikatnie ugryzł ją w ucho.

- No to zapalmy kilka lamp, kochanie! Niech ogień zapłonie wysoko, jeśli to konieczne.

- Owszem, zrobmy to - powiedziała ochryple. Pozwoliła, by ją ostrożnie położył na obitym atłasem szezlongu. Remmermann rozwiązywał tasiemki jej bluzki, wiedział też, jak się obchodzić z ciasnym gorsetem. Wiedział, że pod nim znajduje się jej niemłoda już skóra, że czas zostawił swoje piętno na jej ciele, które dawno ma za sobą dzieciństwo i młodość, czasy, kiedy wszystko było wielkie i podniecające.

- Nie możesz pozbawiać mnie wszelkich sił, ty mój nienasycony - śmiała się. - Prawie wcale nie sypiam po nocach.

On jednak burczał zadowolony, jakby nocne namiętności nigdy do końca w nim nie gasły. Krew w nim buzowała, chodził wyprostowany, a myśli pod niemal pozbawioną już włosów czaszką nadal przypominały pragnienia młodego mężczyzny pewnego zwycięstwa w podbojach.

- Przecież nie pozbawiam cię sił, moja ukochana. A teraz masz tylko leżeć bardzo spokojnie...

Tym razem ona westchnęła z zadowoleniem, uniosła ręce ponad głowę,

bransoletki na nadgarstkach zabręczały, dotykając bardzo drogich kolczyków.

Rikard był niczym dar niebios, nikt tak jak on nie potrafił tchnąć w nią życia. Nikt nie potrafił napełnić jej wiara, że istnieje wieczne życie, wieczna młodość.

- A oni znowu swoje - zauważyła Diana cierpko. Ale na jej wargach pojawił się szeroki uśmiech. Emmi nastawiła uszu i najwyraźniej nasłuchiwała.

- Szczęśliwa kobieta z tej naszej Marji. Diana zerknęła spod oka na przyjaciółkę.

- Myślisz, że to ona miała szczęście? A może to właśnie Remmermann powinien dziękować Bogu?

Obie roześmiały się cicho. Siedziały przy oknie i patrzyły, jak nadchodzi noc.

Cisza panowała łagodna i ciepła jak ten letni wieczór. Spędzane na ożywionych rozmowach pierwsze noce ustąpiły teraz cichej radości z ponownego spotkania. Tyle się wydarzyło od czasu, kiedy były małymi dziewczynkami. Rozszalały się wichury i rozdzieliły je. Lata spędzane w pięknych ogrodach stanowiły dla obu bardzo odległe wspomnienie, dopiero teraz los zesłał im znowu słoneczne dni.

- Nie powiedziałaś mi zbyt dużo o swoim mężu, Diano. Czy mogłam go gdzieś spotkać?

Diana oparła policzek o miękką poduszkę i uśmiechała się blado.

- Nie wiem, Emmi. Naprawdę nie wiem... Może kiedyś, przelotnie... Emmi spoglądała ponad dzielącym je obie stolikiem. - Tak? Diana skrzywiła się. Potem westchnęła, wciąż z tym samym uśmiechem.

- On, mogę tak powiedzieć... nie był taki, jak Remmermann, jeśli rozumiesz, co mam na myśli?

Emmi zrozumiała. Obie zaczęły chichotać. Emmi uniosła w górę kruchą filiżankę z kawą.

- Za wszystkich zmarłych mężów świata! Z podziękowaniem! Diana zrobiła do niej oko.

- I za wszystkie wesołe wdowy!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wrócił do domu i powiedział, że obraz jest już gotów. Johanna siedziała przy oknie i czytała, służąca zamknęła nowe drzwi do kuchni, przedtem postawiła przed Johanna jedzenie, ale ta niczego nie tknęła.

Serce Ravięgo zabiło mocno, zacisnął ręce na sztywnym płótnie, na ten obraz poświęcił jeden z najlepszych kawałków. Jeśli miało być tak, jak Johanna powiedziała, jeśli mają obraz powiesić w kościele...

- Skończyłem obraz - oznajmił cicho i wyciągnął malowidło w jej stronę. Spojrzała na niego, jakby nie rozumiejąc, o co chodzi. Dopiero po chwili twarz jej się rozjaśniła.

- Obraz! Och, pozwól, że zobaczę... Rozwinął malowidło niemal onieśmielony. W tym świetle, tutaj, w małej izdebce za kuchnią, barwy nagle wydały mu się matowe.

Johanna podeszła spokojnie z wyciągniętą ręką. Patrzyła i patrzyła, raz po raz dotykała palcami tłustej powierzchni obrazu.

- Jeszcze nie całkiem wyszło... Johanna spojrzała mu w oczy. Omal się nie zarumienił pod jej taksującym wzrokiem. Szukał w nim czegoś jeszcze poza bladym uśmiechem. Skrzyżowała ręce na piersiach, cofnęła się o krok. W końcu głośno westchnęła.

- Ravi... to... niewiarygodnie... piękne. Odczuwał jej słowa jak pieszczotę. Miał wrażenie, że Johanna stoi przed nim naga i delikatnie dotyka jego skóry.

- To okrutnie... piękne. Naprawdę... okrutnie. Widział, że jest bardzo wzruszona. Jakby obraz w jakiś sposób pozbawiał ją skóry. Jakby ją pochłoniął.

Mrugał, jakby chciał lepiej widzieć, i czuł, że wzbiera w nim radość. Udało się! Zrobił to, czego od niego oczekiwała.

Johanna znowu westchnęła.

- Ale... w kościele powiesić tego nie można. Przytaknął skinieniem. Uśmiechnął się. Oparł drewniany blejtram o kominiek i objął żonę.

- Nie o to chodzi, że obraz jest w jakimś sensie niedobry! W jej głosie nagle pojawił się lęk.

- Wiem o tym - wymamrotał z ustami w jej włosach.

- Widzisz, coś się wydarzyło. Pastor rozmawiał z Marją. Te duchy w kościele... Ravi, nie uwierzysz, co inni gadają...

- Tak? Ujęła go za rękę i poprowadziła do stołu. Kiedy usiadł przy niej, położyła mu stopy na kolanach.

- Zmyślają jakieś awanturnicze historie. Zaraza przeraziła ludzi... wiesz, jak to jest.

- Ale co gadają? Chyba nie to, że ja ich przekląłem?

- Przekląłeś? Nie, tego akurat nie mówią. Ale... przeżyłeś coś niezwykłego tamtej nocy, kiedy byłeś w kościele na modlitwie?

Patrzył na nią w milczeniu. Oczy płonęły mu gorączkowo. Johanna spuściła wzrok.

- Oni... dzwonnik mówi, że widział starego pastora... jak przenika w twoje ciało. Przeraziło go to, poczuł się zagrożony.

Ravi głośno przełknął ślinę, potem jeszcze raz. Ale nie odpowiedział. Johanna uznała jego milczenie za gniew wobec takich przesądów.

- Ja wiem, że ci się to nie spodoba, ale chyba będziemy musieli się zgodzić na udział w pewnym przedstawieniu, zachować się zgodnie z ich regułami. To może w końcu się uspokoją, jeśli zobaczą, że nic nienormalnego się z tobą nie dzieje... Spojrzał na nią uważnie.

- Co chcesz powiedzieć? Johanna oparła łokieć o blat stołu, starała się uśmiechać. Ravi jednak wyczuwał, że Johanna się boi, że coś bardzo ją przeraziło.

- Oni chcą, żebyś przenocował w kościele. Razem z pastorem, lensmanem i kilkoma zaprzysiężonymi członkami tingu. Jeśli w ciągu tej nocy nic się nie wydarzy, uznają wszelkie gadanie za pozbawione sensu.

- Ha, nie tak łatwo jest zamknąć gęby głupcom! Sam słyszał, że jego głos jest żałośnie niepewny. Johanna wolno potrząsała głową.

- Możliwe. Ale... to jedyny sposób. I przecież nic cię to nie kosztuje, prawda? Tylko jedna noc. Ja wiem, Ravi, że nie lubisz, żeby ci się ludzie przyglądali, wiem, że będzie to dla ciebie męczące. Ale...

Patrzył teraz na kostki jej nóg, odchylił się lekko w tył.

- Nie.

Poczuła, że ręce mu sztywnieją, całe ciało zdawało się krzyczeć do niej.

Potarła ręką skroń i mruknęła:

- Przemyśl to, Ravi. Przemyśl to dokładnie. Może cena, którą musiałbyś zapłacić, jest jednak bardziej umiarkowana, niż to... co może się zdarzyć.

- Nie!

Nagle zerwał się z lawy, jej pięty głucho uderzyły o podłogę, ale ona również się poderwała i pobięła za nim.

- Nie wychodź! Musimy jeszcze o tym porozmawiać! Ravi, ja... Odwrócił się do niej gwałtownie. Zamarła na widok wyrazu jego oczu. W jednej chwili zrozumiała więcej na temat strachu człowieka, na moment zobaczyła zupełnie obcą twarz. Głos

jednak był łagodny i cichy.

- Johanno, ja nie mogę. Tak mi się przynajmniej wydaje. Wahala się przez chwilę, w końcu wyszeptała:

- Ja tam z tobą będę. Przetrywamy to razem. Ravi patrzył, jakby przenikał ją wzrokiem na wylot.

- Zdaje mi się, że zapomniałem dodać zieleni. Tak, chyba skończyłem obraz i nie dosypałem do farby zielonego proszku.

Chwyliła go mocno za ramię, przyciągnęła do siebie. Szukała jego oczu i w końcu je znalazła.

- Nie odchódź. W porządku, ja rozumiem. Ty... my... jakoś sobie z tym poradzimy. Gadanie samo ucichnie. Wkrótce o wszystkim zapomnimy. Wkrótce będzie znowu jak dawniej. Ludzie zajmą się czym innym, będą mieli inne zmartwienia...

Pozwolił, żeby go zaprowadziła z powrotem do światła. Johanna mówiła cicho, urywając, jakby brakowało jej tchu. Czuł, że jej słowa pomagają jego napiętemu ciału, ale czuł też, że Johanna się boi.

- Oni nie mogą nam nic zrobić! Zresztą, co by mogli? Żaden rozsądny człowiek nie wierzy już w takie rzeczy. W każdym razie nikt, kto ma tu coś do powiedzenia! Pisarz nigdy by nie uwierzył, ting też nie, nie mogą cię oskarżyć o coś tak idiotycznego. Nie, masz rację, najlepiej jest być ponad takie głupstwa! A poza tym...

- Hanno, kochanie... - Tak? Wolno wypuszczała powietrze z płuc, patrzyła na niego czystymi, szeroko otwartymi oczyma.

- Nie mów już nic więcej. Zwilżyła wargi, była bardzo zakłopotana. Spoglądał na nią spod czarnej grzywy.

- Masz rację, jak zawsze. Dlaczego nie mielibyśmy pozwolić im się pogapić? Tylko jedna noc... jeśli to może wyciszyć plotki. Z pewnością tyle wytrzymam.

Aż otworzyła usta ze zdumienia.

- Wytrzymasz? Stanowczo skinął głową.

- Oczywiście. Johanna opuściła ramiona. Uśmiechała się blado. Podeszła do niego, położyła mu głowę na piersi i szeptała:

- Tak się cieszę, Ravi. Czasami... przerażasz także mnie.

- Wiem o tym - odparł urażony. Ale nie bardziej chyba niż przerażam sam siebie, przemknęło mu przez głowę.

Wzrok miała wojowniczy, ale Ravi domyślił się, że czekała na niego.

Co więcej, kiedy go zobaczyła, na jej twarzy pojawiła się szczerza radość. Chociaż to akurat można też było zrozumieć jako rodzaj szoku... On się wcale nie skradał, ale kiedy się tak nagle ukazał na wrzosowisku, przytulony do wielkiego głązu, zaskoczył ją.

- Chyba za wcześnie na jagody? Potwierdziła skinieniem i wyprostowała się.

- Ja tylko szukam... coś zgubiłam. Zobaczył jej zgubę. Mały, lśniący listek ze srebra, część broszki, którą wkładała na święta i uroczystości. Ravi wyczuwał w powietrzu jakąś cichą muzykę czy dalekie śpiewanie. Może płacz. Lecz także gorące dłonie splecione razem. Ktoś umarł. Przyjaciele go oplakują. Zauważył, że rozgarnia rękami kępę wrzosów, szuka tam swojej ozdoby.

- Tutaj tego nie znajdziesz - powiedział cicho. Rzuciła mu pospieszne spojrzenie, policzki miała rozpalone, chyba od dawna. Teraz zbliżyła się do obcego.

- Pytałam Kirvi. Powiedziała, że... to leży między kamieniami. Ravi skinął głową.

- Tak, między kamieniami. W ziemi. Tindir znajdowała się teraz tak blisko, że Ravi widział na jej szyi pulsujące naczynie krwionośne. Czarne włosy przewiązała dzisiaj brązową chustką. Diklo, przemknęło mu przez głowę. To się nazywa diklo. Ale ona nosiła ozdoby na szyi i pobrzękujące srebrne kółka na ręce. Kiedy przeskakiwała przez leżącą kłodę, pod bluzką zakołysały się piersi. Oparła się dłonią o kamień, przy którym stał Ravi.

- Ty jesteś jasnowidzem, prawda? Kirvi tak mówiła. A ona wie takie rzeczy. Tylko że ona mówiła też, że jesteś... źrebiec.

Nie odpowiedział.

Dziewczyna otuliła się chustką, przyglądała mu się.

- Dlaczego przyszedłeś, gaije? Niczego nie przyniosłeś?

- Nie, pomyślałem, że jakoś sobie radzicie... po polowaniu. Zachichotała.

- Mięso do niczego. Było za gorąco. Zgniło, zanim zdążyliśmy je uwędzić.

Poza tym... nie możemy wędzić. Vojevod powiedział, nie wolno palić ognia!

Przewracała oczami, pokazała mu wewnętrzną stronę dłoni. Potem odsłoniła zęby w szerokim uśmiechu.

- Nie palić ognia! Jak możemy żyć bez ognia, nasz przyjacielu? Nagle spłoszona rozejrzała się wokół i dodała pospiesznie:

- Vojevod mądry. Tindir nie mówi nic więcej. Tindir... nie. Patrzył wprost na

nią.

- Ilu zmarłych? Kto? Nie odwróciła oczu.

- Ty nie pytać. Nie wolno mówić imiona zmarłych, nie teraz.

- Dlaczego? Zawróciła na pięcie.

- Wielkie nieszczęście mówić imiona zmarłych. Ty pytaj wojevod. Ruszył za nią, biegł przez wrzosa, przedzierał się przez zarośla.

Dziewczyna wiedziała lepiej niż on, gdzie stawiać stopy. Chodziła boso, nogi miała brudne i podrapane, pełne starych strupów. Tempo jednak utrzymywała dobre, od czasu do czasu odtrącała nawet nogą niewielkie kamienie, które znajdowały się na jej drodze.

Chciał iść obok niej, dowiedzieć się, co słychać w obozie. Stara Kirvi chyba nie umarła? A co z dwojgiem dzieci, które były takie chore, kiedy odwiedził ich po raz ostatni?

Oddychała równo i spokojnie, choć prawie biegła w tym piekącym słońcu, Ravi czuł, że pot zaczyna mu spływać spod czapki. Dziewczyna minęła skalny uskok, gdzie kiedyś znajdował się obóz. Wtedy odwróciła się.

- Dalej nie, gajje. Nie dalej, nowy obóz. Wojevod się boi. Ravi ze zrozumieniem kiwał głową. To rozsądne, że się przenieśli. Na wypadek, gdyby ktoś widział za dużo.

Okrzyżła opuszczoną grotę, wspięła się po stromym osypisku. Spojrzał w górę, drobne krzewinki i mech utrzymywały kamienie na stromym zboczu. Nigdy by się nie domyślił, że można gdzieś tutaj ukryć półtora tuzina ludzi, nie mówiąc już o wozach i koniach.

Dziewczyna skrzywiła się, potem posłała mu uśmiech.

- Ty chcesz wiedzieć, tak? Potwierdził nie bez wahania.

- Tak, tak, chciałbym się dowiedzieć. Uśmiechnęła się znowu, po czym zniknęła pośród kamieni i zarośli.

Nagle zrozumiał, że konie i co najmniej połowę obozu musieli ułożyć gdzie indziej. Cztery kobiety siedziały w kręgu i zajmowały się czymś, co przypominało robienie na drutach, ale każda z nich miała tylko jeden drut w szybko migających rękach. Cienka lniana nić, pociągana i zręcznie wiązana w duże oczka, zaczepiane jedno o drugie, tworzyła coś w rodzaju sieci. Kiedy Tindir uprzedziła, że zbliża się obcy, kobiety zaczęły potrząsać głowami tak gwałtownie, że włosy opadały im na twarze. Ukazał się mężczyzna, którego nazywali wojevod, wyczołgał się na

czworakach z czegoś, co Ravi dopiero teraz zauważył, a co wyglądało jak pokryty liśćmi namiot, a nie jakieś przypadkowe wyrzucenie na stoku.

Ravi nie wiedział, co powiedzieć. Twarz tamtego była szara i zamknięta, a ciemny zarost sprawiał, że wyglądała jeszcze bardziej ponuro. Pod kamizelką zwisała skóra, widocznie bardzo schudł ostatnio. Potężne niegdyś ramiona też dziwnie zwiotczały.

- Czego chcesz? My już nie handlujemy. Teraz płaczemy, dzień i noc, oplakujemy nasze dzieci.

Raviemu zaschło w ustach po forsownym marszu. Mężczyzna machnął ku niemu ręką.

- Odejdź! Krótkim słowem towarzyszyło coś na kształt warknięcia w stronę dziewczyny, która zasłoniła twarz rękami i rzuciła się na ziemię. Ravi zrobił krok naprzód, ręce wyciągnął przed siebie.

- Ja was nie wydam! Jestem przyjacielem... ja nie chcę...

- Przyniesiesz nieszczęście naszemu ludowi! Kruku! Zza gniewnych słów przebijała rozpacz. Ravi domyślał się wielkiego cierpienia w sercu tego człowieka o pomarszczonej twarzy.

- Chciałbym prosić o pomoc... chcę spytać o radę. Wódz roześmiał się szyderczo i odrzucił w tył głowę.

- Merde! Jesteś głupim gówniarzem! Nie ma tu żadnych rad dla gajje! Kirvi nie widzieć twoich rąk, ona oplakiwać swoich synów.

- Synów... Jak na dany znak kobiety zaczęły rozpaczliwie zawodzić, wrywały garście ziemi i rozcierały ją palcami, a z ich gardeł wydobywało się coraz głośniejsze, przerywane szlochem wycie.

- Utraciliśmy wielu synów. Pięć. I kobiet. Cztery. Diabeł nie jest zadowolony, my przekłeci! A ty... ty nie wolno... do nas podchodzić!

Ravi zatoczył się w tył. Pod skórzanym okryciem namiotu zamajaczyły mu cienie kilku mężczyzn. Tam, w mroku, musiały się znajdować pozostałe dzieci. U Kirvi. Mężczyzna wyciągnął nóż.

Ravi wykrzyczał imię starej kobiety i nie chciał się już dalej cofać. Dostrzegł, że Tindir dostała potężnego kuksańca, gdy wódz ją mijał. Na jej pochyloną głowę spadł grad jakichś obcych przekleństw. Kiedy mężczyzna znalazł się ledwie krok od niego, Ravi przymknął oczy i czekał na ból. Coś mu mówiło, że jego życie nie jest zagrożone. Wódz się opamięta, to rozpacz czyniła go nieobliczalnym i złym. Może

nawet draźnie Ravięgo nożem, ale chyba nie za bardzo.

W mroku za zamkniętymi powiekami nawet wściekły głos brzmiał jakby ciszej. Nagle Ravi zobaczył między dwoma kamieniami mieniący się srebrny listek, usłyszał swój własny głos, wysoki i zdecydowany:

- Kirvi, Kirvi!

Zawodzenie kobiet zamarło, mężczyzna z nożem przystanął. I stara odpowiedziała. Ravi znowu otworzył oczy i w blasku słońca zobaczył mocno zgarbioną postać.

Przywoływała go do siebie gestem.

Kiedy ruszył ku niej, inni usuwali się na boki.

Nareszcie odpowiedziała. Ravi zaczynał się już obawiać, że stara nie pojmuje ani słowa z tego, co on próbuje jej wytłumaczyć. Że mimo wszystko nie jest tą, która mogłaby udzielić mu odpowiedzi. Ale przenikliwe oczy starej kobiety nie były chyba zmęczone z powodu braku snu ani też nie były zamknięte, ponieważ ona myślała o czym innym. Grzebała kijem w maleńkim ogniu, który ledwie się tlił. Stał nad nim wielki saganek. Wysuszone kawałki drewna otaczały ogień, dymu prawie nie było. Ale też chyba ten ogień nie miał nawet tyle siły, by zagotować wodę w saganku, w każdym razie musiałby się tak tlić bardzo, bardzo długo.

Kobieta nie patrzyła na niego. Mówiła cicho i niewyraźnie, musiał pochylać się do przodu.

- Ty pytać o dziwne sprawy. Ty mówić o... o tym, co nikt się nie waży powiedzieć.

Przytaknął.

- Przekleństwa? Chcesz wiedzieć o przekleństwach? Kobieta mamrotała coś niezrozumiałego jakby sama do siebie. Potem spojrzała na niego, sprawiała wrażenie zagniewanej.

- Ja nic nie wiedzieć o przekleństwach w świecie gaije. Może twoje być jak moje. Jeśli to prawda... ty możesz zrobić dużo.

Odwróciła z wysiłkiem całe ciało, przyciągnęła do siebie jakąś skórzaną torbę, która leżała na ziemi. Grzebała w niej, jakby czegoś szukała, w końcu znalazła, mały, brunatny przedmiot, który rzuciła w jego stronę. Chwycił go instynktownie tylko palcami.

Stara uśmiechnęła się teraz, między wyschłymi wargami ukazały się pieńki po wypróchniałych zębach.

- Twoje! Noś to! Był to nieduży węzełek zrobiony z kawałka skóry. Podobne węzłki widział na szyjach niektórych tutejszych mężczyzn. Prawdopodobnie to jakiś amulet. Ważył go w dłoni, starał się domyślić, co jest w środku.

- Paciorek z księżycowego kamienia, żebyś widział w nocy. I czerwony, bardzo czerwony. Ale wody nie, i ziemi też nie albo wiatru. To nieszczęście. Tylko ogień... Daję ci czerwony przeciw ogniovi.

- Dziękuję - bąknął zakłopotany. - Ale... Machnęła ręką, jakby odpędzała od siebie muchę.

Nagle zrobiła się bardzo ociężała. Stare ciało emanowało potwornym zmęczeniem. Nie powiedział nic, nie chciał już jej tłumaczyć, że się pomyliła, że go nie zrozumiała.

- Idź w pokoju... Ravi. I nie bój się już przekleństwa. Ogień cię nie dosięgnie - powiedziała.

Podziękował raz jeszcze i wycofał się. Słoneczny żar spadł mu na kark niczym drapieżny ptak.

Tak więc i tutaj nie znalazł odpowiedzi. Ona nie zrozumiała, że prosił o radę, jak cofnąć przekleństwo, które on sam sprowadził na ludzi.

Kto w takim razie byłby mu w stanie powiedzieć, czy coś takiego jest w ogóle możliwe? Żeby cofnąć złe życzenia, jakie ciskał na ludzi ze Storlendet, dawno temu, tak dawno, że już prawie nie pamiętał, a teraz... musi się od tego w jakiś sposób uwolnić. Był bowiem pewien, że coś się stanie, bo jego własny gniew go przerasta w złych chwilach i równie trudno nim kierować jak letnią burzą.

Czasami odczuwał błyskawicę bólu we własnym sercu i wiedział, że musi znaleźć sposób, by to odmienić - cofnąć lub przerwać.

Cygańskie przekleństwa były groźne, ale przecież znajome. Można się było przed nimi chronić, kupić na przykład amulet, taki jak ten, który teraz ściska w dłoni. Stara Kirvi myślała, że to on został obciążony przekleństwem przez kogoś o złych oczach i dała mu jedyne, co miała na takie nieszczęścia. To bardzo ładnie z jej strony. Nie należy przecież do jej Ludu, i nie znalazłaby zrozumienia u swoich, gdyby sprawa wyszła na jaw.

Ale on nie tego potrzebował.

Przebył tę długą drogę po to, by mu powiedziała, jak cofnąć własne złe życzenia. Życzenia, które są niczym pocisk wystrzelony pod wiatr, który zawrócił i ranił strzelca.

Kto mu teraz pokaże, jak to zrobić?

W głębi duszy posiadał odpowiedź. Przestał szukać już bardzo dawno temu, już wówczas, kiedy był jeszcze bardzo młody i pięści ojca wypisały mu to na skórze: Jesteś sam. Nie jesteś jak inni ludzie. I nie waz się wspominać nikomu o tym, co nosisz w sercu, jeśli chcesz żyć między ludźmi!

Cygański obóz wyglądał jak wymarły.

Rozejrzał się wokół, nigdzie nawet tych dziwnych kobiecych narzędzi, którymi się posługiwały, kiedy tu przyszedł. Tylko lekkie ślady na mchu wskazujące, że jeszcze parę minut temu ktoś tu siedział, pracował, rozpaczał.

Wyczuwał bliskość ludzi, domyślał się jednak, że musi odejść i zapomnieć, iż odkrył ich nową kryjówkę.

Powlókł się w dół, próbował odnaleźć ślady bosych stóp obok gładkich kamieni, pośród krzewów, które Tindir przyginała, wspinając się po zboczu. Na dnie doliny dostrzegł miejsce, gdzie przedtem obozowali. Cienie stały się teraz długie, skalny uskok wyglądał jak wielki orli nos w gładkiej kamiennej twarzy. Zmrużył oczy, zdawało mu się, że dostrzega jakąś postać.

Tindir?

Tak, to ona. Niczym samotny ptak na czatach siedziała, podkuliwszy nogi, i wpatrywała się w dolinę. Jeśli ktoś się tu pojawi, poderwie się i polecą do swoich z ostrzeżeniem.

W porządku, widocznie zdołała odzyskać zaufanie wojevody.

Ale nawet mimo znacznej odległości wyczuwał, że gardło dziewczyny ścisną płacz, i jakby to był jego własny płacz...

Nie mógł zawołać. A gdyby wspiał się po zboczu do miejsca, gdzie siedziała, mogłaby go nie poznać i pobiec do obozu z ostrzeżeniem przed obcymi.

Stał bez ruchu i wpatrywał się, mrużąc oczy.

Słońce zeszło nisko i cienie malowały niezwykle wzory na matowych skałach.

Dziewczyna siedziała. Szara i milcząca jak góry.

Przedarł się przez niski las i kluczył po płaskich polankach. Teraz go dostrzegła.

Wyczuwała rytm jego ruchów, kiedy tak szedł w otwartym terenie. Chciała wiedzieć, o co mu chodzi. Poza tym kierował się nie w stronę obozu, lecz oddalał się od niego. W końcu odwrócił głowę, pochwycił jej wzrok, uniósł rękę i pomachał. Leciwie dostrzegł leciutki gest w odpowiedzi, jej uniesione palce, a może to wiatr,

który bawił się jej włosami...

Pozwól im umrzeć, pomyślała Johanna ponuro.

Starła się wyobrazić sobie dwoje wysokich ludzi, dwa wychudzone ciała, które trwały skulone i modliły się, poruszając wąskimi wargami. Mocno związany kok Edwardy zawsze przywodził jej na myśl nieduże mrowisko.

Pochyliła się nad talerzem. Był wtorkowy wieczór i solone mięso smakowało wybornie. Napój, który pili, był lekko kwaśny i orzeźwiający. Znowu zaczęli dostawać piwo teraz, kiedy gospodarze z Vildegard mieli odwagę wysłać w niedzielę parobka. Choroba ominęła służbę. Chyba jest tak, jak Johanna myślała, że łaskawa dłoń chroni jej dom. Ale, oczywiście, choć teraz mogło się wydawać, że cała wieś opłakuje swoich zmarłych, to wciąż były gospodarstwa nietknięte przez zarazę. A ostatnie dni przyniosły nową nadzieję. Nikt nie zachorował, a dawniejsi pacjenci powoli wracają do zdrowia. Dzieci siadają na posłaniach i domagają się jedzenia.

Żeby nie Edvard i jego żona, można by sądzić, że choroba ustępuje. Ale Johanna słyszała od starej Ingegjerd, która pomagała jej podczas wizyt u chorych, że nie jest z nimi dobrze.

Johanna chrząknęła, opuściła łyżkę, która stuknęła głucho o pusty talerz, wykonany z twardego drewna. Srebra nie wyjmuje się bez potrzeby, przynajmniej dopóki w kuchni rządzi stara gospodyni.

- Podobno Edvard i Edvarda Storlendet są w bardzo złym stanie - powiedziała, patrząc Raviemu w oczy. Nie była przygotowana na szok w jego wzroku. Służący najedli się już jakiś czas temu, ale ponieważ Johanna nic więcej nie mówiła i nie zaproponowała wspólnej modlitwy, to nadal popijali słodki kompot z rabarbaru i jagód. Bo to nie jest powszednie jedzenie, coś takiego można dostać tylko w Vildegard w zwyczajny wtorek, tylko dlatego, że Johanna wpadła akurat na taki pomysł. Ravi przestał jeść.

Siedział w milczeniu jeszcze wtedy, gdy pozostali rozeszli się każdy w swoją stronę, by zająć się wieczornym obrzędkiem. Siano już wyschło, nawet najsolidniejsze warstwy rozłożone na stojakach na łące były gotowe do zwózki. W tym roku stodoły zostaną zapełnione po brzegi, natomiast jeśli chodzi o ziarno, widoki nie są najlepsze.

Powoli zbliża się wrzesień.

Johanna była czujna. Miała wrażenie, że Ravi na coś czeka. Przeplukała gardło kompotem i ostrożnie odstawiła kubek na stół.

- Chciałbyś wiedzieć, czy ja się cieszę z choroby tamtych, prawda? Czy też boisz się, że cierpię, bo kiedyś życzyłam im śmierci?

Nareszcie na nią spojrzął. Niepewnie pokiwał głową. Johanna roześmiała się cicho.

- Bądź spokojny, mój drogi. Mam inne zmartwienia na głowie. Odesłała służące do kuchni, powiedziała, że sama posprząta po jedzeniu.

A potem chce trochę odpocząć. A może zrobi sobie mały spacer, służące zaś powinny skończyć pranie nad rzeką... Ravi westchnął głęboko.

- Wygląda na to, że i do Storlandet nieszczęścia przychodzą parami.

- Tak? Stało się coś jeszcze? Uśmiechnął się bez radości, raczej skrzywił. I wciąż patrzył w okno. Zegar Karla tykał cicho, dzielił czas na przedtem i teraz.

Johanna odniosła wrażenie, że mąż jest bardzo zmęczony. Może za bardzo trzyma się nad obrazem? A może to jego ataki? Rysy twarzy były teraz takie jak po ciężkim napadzie choroby. Poczowała ciepło w sercu, położyła rękę na jego dłoni.

- Jesteś zmęczony. Może dziś wieczór powinniśmy położyć się trochę wcześniej?

Wymamrotał: „może” i uśmiechnął się do niej blado. Johanna zebrała brudne talerze, miski i kubki. Na obrusie widniały ciemne plamy po owocowym kompocie. Przyniosła garnek z solą i posypała plamy. Ravi odsunął się jeszcze bliżej okna.

- Pastor dał za wygraną - powiedziała nagle wesoło. Ravi podniósł wzrok. Johanna uśmiechnęła się szeroko, ale kąciki jej ust drżały.

- Kiedy go dzisiaj spotkałam, powiedziałam, że się nie zgadzamy. Nie będziemy brać udziału w takich głupstwach. My nie wierzymy w duchy, podobnie jak wszyscy rozsądni ludzie.

Patrzył na nią bez słowa.

Johanna zamknęła drzwi kredensu, wytarła ręce w roboczy fartuch i usiadła naprzeciwko niego. Jedno oko miała przymknięte.

- Myślę, że zachowałeś się bardzo mądrze, odmawiając, Ravi. To ja się myliłam. To przecież ja, kobieta wykształcona, powinnam wskazywać ludziom drogę. Jeśli kiedyś mamy się naprawdę uwolnić od przesądów, to musimy...

- Ale ty przecież wierzysz w duchy! Zamilkła nagle. W jego słowach było tyle smutku. Trudno na to coś odpowiedzieć. Skuliła się.

- Ja... przecież to nieprawda... Wtedy się uśmiechnął.

- Owszem, owszem, oboje wiemy bardzo wiele o duchach i strachach. Wtedy

dopiero zrozumiała, że Ravi mówi o czymś innym. O starych wspomnieniach, które mogą powracać w ciemne noce i paraliżować człowieka nagłym lękiem. Szkielety na pół zapomnianego zła, które nabierają życia i mogą nawiedzać człowieka w domu. Przyznała mu rację.

- Ale to, Ravi... w te fantazje o starym pastorze, przesady o opętaniu... nie, naprawdę nie powinniśmy zwracać sobie tym głowy.

- A czy oni nie pomyślą, że coś ukrywamy? Że nie mamy odwagi podjąć wyzwania?

Uniosła brwi.

- Może. Ale w takim razie podejmiemy walkę na innym polu. Sprawiał wrażenie, że ta odpowiedź przyniosła mu ulgę. Wkrótce zaczął mówić o tym, że zamierza prosić Emmi, by mu pozowała do portretu. Czy powinien mieć tyle odwagi, by to zrobić? Czy Emmi się zgodzi?

- W jej twarzy jest coś takiego... myślę, że... Zresztą jest też inny powód... to wyjątkowa istota. Przypomina mi wiewiórkę. Bardzo chętnie malowałbym też wiewiórki, ale one nie mają czasu.

Roześmiali się oboje. Zrobiło się bardzo przyjemnie. I w dodatku mieli wolny wieczór.

Nieoczekiwanie Ravi powiedział „do zobaczenia” i wyszedł bez dalszych wyjaśnień, gdy Johanna kończyła zamiatać podłogę.

Może chciał od razu zapytać Emmi? U Raviego nigdy nie było długiej przerwy między słowami a czynem. Zazwyczaj, pomyślała z mrocznym uśmiechem, działanie przychodzi na długo przed słowami.

Mrok zgęstniał w ciągu tego krótkiego czasu, kiedy jechał drogą w dół od Vildegard. Zanim minął kościół, wieś pogrążyła się w ciepłych jeszcze, ale już jesiennych ciemnościach. Ciepło nagromadzone podczas długich letnich dni wciąż trwało nad ziemią i nad fiordem, więc nikt nie musi jeszcze wyjmować zimowej pościeli.

W izbach plebanii paliło się światło. Kościół leżał w mroku. Jeździec wpatrywał się uważnie w stary budynek; zmysły miał napięte.

Nie wyczuwał jednak niczego, nawet najslabszej wibracji pod skórą. Nic. Z ulgą pojechał dalej. W górę.

Storlandet i Karlsgard leżały obok siebie, kamienny murek, który dzielił obie posiadłości, pokrył się zielonym mchem. Nikt się tym nie przejmował, nikt nie

naprawiał dziur, bowiem teraz oba dwory znajdowały się w rękach Magnusa Storlendet.

Już na dziedzińcu zawahał się na chwilę. Z obory dochodziło gdakanie kur.

Ruszył zdecydowanie ku drzwiom, drgnął na widok małego znaku wrytego na ścianie tuż obok kołatki. Dwie faliste linie. Między nimi krzyżyk. Zdumiony zamrugął nerwowo. To jeszcze tu jest?

Opanował się jednak i zdecydowanie zapukał.

Dalekie kroki, lekkie, pospieszne.

To Ida, wielokrotnie widywał ją z daleka.

Zawołała, nie otwierając:

- W domu jest ospa! Zaraza! Odpowiedział dość głośno:

- Wiem o tym, ale ja się nie boję. Chcę rozmawiać z... lensmanem. Zza grubych dębowych drzwi dotarły stłumione słowa:

- Lensmana nie ma w domu! Jest u żołnierzy, ale nikogo nie przyjmuje! Ravi zirytował się. Złapał za klamkę i pociągnął. Ida odskoczyła, gdy drzwi otworzyły się nagle.

- To ty? - wyrwało jej się.

- Muszę się rozmówić z twoim gospodarzem. Zmrużyła oczy.

- Raczej nie przypuszczam...

- Musi mnie przyjąć. To poważna sprawa. Ida machnęła ręką.

- Nie myślałam... Ravi spostrzegł, że jest bardzo zmęczona i wynędzniała. Nie przespane noce znaczyły się zmarszczkami wokół oczu w młodej poza tym twarzy. Emanował z niej lęk. Chętnie ująłby w dłonie jej szczupłe nadgarstki i dodał jej siły.

- Gospodarz jest u żołnierzy. Zabrał ze sobą chłopca, nie chce, żeby mały się zaraził.

- Edvard i Edvarda... Kobieta skinęła głową, patrzyła na niego matowymi oczyma.

- Najmłodsze dziecko umarło dzisiaj, rodzice pójdą tą samą drogą. Ida nie należała do czarnowidzów, nie miała natury tych, co zawsze przewidują nieszczęście, w jej słowach była łagodna pewność, rezygnacja. Ravi od razu ją polubił, tę smutną, zmęczoną dziewczynę.

- Nikt nie powinien cię tutaj widzieć - powiedziała pospiesznie. - Teraz ja mam klucze, na mnie spada odpowiedzialność... jemu by się nie podobało, że cię wpuszciam choćby tylko na podwórze.

- Już idę. Przykro mi...

Uklonił się i odwrócił. Ida wciąż stała w drzwiach i patrzyła w ślad za nim. Gospodarz Storlendet miał pecha, bo właśnie zaczynał wyprzegać konia, kiedy Ravi pojawił się na otwartym placu.

- Co do diabła... Straż! Straż! Wrzaski dźwięczały w mroku, ale Ravi podjechał aż do drzwi stajni, gdzie Magnus stał i krzyczał.

- Straże śpią - powiedział szeptem przybyły. Magnus chwycił za broń, którą nosił u boku, ale nagle zatrzymał się w pół ruchu jak skamieniały. Dłoń pozostała zaciśnięta na rękojeści. Ravi nie zsiadał z konia.

- Chciałem z tobą porozmawiać, Magnus. Tym razem przychodzę w pokojowych zamiarach. Postąpisz rozsądnie, pozwalając mi mówić.

- Ty diabelskie...

- Przynoszę ci dar. To prawda... Magnus Storlendet klął długo i siarczyście. Ravi płynnym ruchem zsunął się z wierzchowca. Od góry ubrany był tylko w koszulę, u pasa też nie nosił nic, co mogłoby wskazywać, że jest uzbrojony. Magnus widział to, ale jednak starał się cofnąć. Koń stał przed nim bez ruchu. Ravi poklepał zwierzę po karku i obszedł dookoła.

- Prosiłeś mnie kiedyś, bym cofnął przekleństwo... ja myślałem, że to nie jest w mojej mocy. Nie wiedziałem... czy ty nadal wierzysz, że mógłbym?

Magnus Storlendet przyglądał mu się z otwartymi ustami. Ravi westchnął.

- Jeszcze nie wiem, czy powinienem uwierzyć w swoją siłę. Ale powiem ci coś, Magnusie Storlendet: Był czas, że przeklinałem ciebie i cały twój ród w żywy kamień, chciałem, żeby spotkało was wszystko, co najgorsze. Wiesz o tym. I wiele się stało. Może... to moja wina.

- Ty przeklęty wypierdku diabła!

Ravi puścił przekleństwo mimo uszu, mówił dalej tak cicho, że prawie nie było go słychać.

- Jeśli to prawda... to chcę ci powiedzieć, że mnie to również dotknęło. Chcę się od tego uwolnić. I ty musisz być wolny. Nie wiem jednak, czy to leży w mojej mocy...

Wyciągnął przed siebie rękę. Mały węzełek ze skóry leżał niczym cień na jasnej dłoni.

- Myślę, że może... może ty powinienes to nosić... to skończą się nieszczęścia.

Słyszając to Magnus roześmiał się hałaśliwie. Zamachnął się mieczem i ciął.

Następny cios trafił Ravięgo w brzuch tak, że ten skulił się i rozpaczliwie łapał powietrze.

- Zabiję cię, ty niewolniku szatana! Nie będziesz mnie już więcej straszył, już mnie więcej nie nabierzesz!

Potem pochylił się nad Ravim i porwał amulet.

- Czy ty myślisz, bękaracie ladacznicy, że ja jestem całkiem głupi? Amulet wisiał na jego grubych palcach, Ravi skupił wzrok na nim, nie był w stanie patrzeć w twarz Magnusa.

Śmiech tamtego wciąż unosił się nad dziedzińcem. Ravi, z uchem przyciśniętym do ziemi słyszał, że nadchodzą ludzie.

- Czego tu chciałeś? - pytał komendant.

- Rozmawiać z lensmanem.

- O czym?

- O pewnej sprawie... Niecierpliwość wyzierała z kanciastej twarzy dowódcy oddziału. Przenosił wzrok z Magnusa Storlendet na Ravięgo i z powrotem.

- Magnus, dlaczego go pobiłeś? Magnus pewien siebie skrzyżował ręce na piersiach.

- Dlatego, panie komendancie... bo on przynosi nieszczęście. I przekradł się niezauważony przez pańskie warty. Po prostu wypełniam swój obowiązek.

Komendant westchnął.

- No, w końcu nic się nie stało. Chyba rzeczywiście spełniłeś swój obowiązek. Ale powiedz mi... On podobno przyszedł do ciebie za interesem, wysłuchałeś go?

Magnus kiwnął głową.

- Tak jest. I nikt nie może mi zarzucić, że nie otrzymał odpowiedzi.

Ravi nie słuchał tej rozmowy. Ale przytaknął, kiedy komendant zapytał go, czy uważa sprawę za załatwioną.

- W porządku - rzekł oficer. - Widzę, że tu nie potrzeba ani sądu wojskowego, ani żadnego innego. Podajcie sobie nawzajem ręce, to nareszcie wszyscy będą się mogli udać na spoczynek.

Magnus Storlendet pamiętał, więc cofnął się gwałtownie. Ręce Ravięgo są bardzo niebezpieczne. Ale poszedł za nim w kierunku bramy. Przy płocie szarpnął Ravięgo za koszulę.

- O jednym zapomniałem, odmieńcu! To swoje diabelstwo tym razem też dostaniesz z powrotem!

Wyciągnął nóż i drasnął nim pierś Ravięgo, niezbyt głęboko i niebezpiecznie, tyle tylko że krew pociekła i zabarwiła szary materiał koszuli. Potem uniósł amulet i z całej siły potarł nim skaleczenie.

- Jeśli to była trucizna, to sam jej spróbuj! Popchnął Ravięgo przed sobą, ale on nie przejął się ani bólem rany, ani uderzeniem w biodro o kamienną ścianę. Zdenerwowany złapał znowu amulet. Dał Magnusowi szansę. Nic więcej zrobić nie mógł.

A zresztą może amulet i tak by nie zadziałał.

Mimo że Cyganka powiedziała, iż chroni on przed podstępny atakiem na jego właściciela i całą rodzinę.

Amulet był przeznaczony wyłącznie dla niego.

Ravi myślał, że może by pomógł komuś, komu on da go z własnej woli.

Nie mógł jednak dokładniej tego tłumaczyć.

Lensman i tak by nie zrozumiał.

Męczyło go to jednak, bardziej niż przedtem. To dziwne, że coś takiego robi ktoś, kto nie chce spełnić życzenia pastora i lensmana, by wyznaczyć granicę między starymi przesądami a nowym rozsądkiem.

Kiedy z grymasem bólu dosiadł konia, rana na piersi przestała krwawić.

Musiała się chyba zbliżać północ, trudno powiedzieć, nigdy nie nosił w kieszeni zegarka z wyjątkiem odziedziczonego czasomierza z dewizką, który Johanna przypinała mu przy szczególnie uroczystych okazjach. Ten zresztą i tak nie chodził.

Johanna jednak pewnie wie, która godzina.

Chyba leży w ich łóżku i liczy uderzenia zegara Karla. I może się złości.

Najbardziej prawdopodobne jest, że Johanna śpi.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Bardzo ostrożnie zbliżał się do posłania syna. Trudno było cicho stąpać po podłodze w ciężkich buciorach, zatrzymał się więc przy drzwiach i zdjął je. W samych skarpetkach szedł po wąskich deskach. Z łóżka za ścianą słychać było ciężkie westchnienia i ciche, miarowe chrapanie. Mężczyźni spali pod lekkimi kołdrami ze zniszczonej wełny, ale i tak wielu zrzuciło z siebie okrycie w tę ciepłą noc. W małym pokoju często było za gorąco.

Pomieszczenie nie miało okien, jedynie mały otwór w krótszej ścianie. Arill spał na dolnej pryczy i światło z otworu do niego nie docierało, Magnus rozróżniał w

mroku jedynie nos i cień gęstych brwi.

Niezdarnie pogłaskał syna. Chłopcu zaczynają się wykształcać mięśnie.

Potem odsunął uśpione ciało pod ścianę, dziecko wydało jakiś żalospny dźwięk, jakby się skarżyło. Widocznie jednak mały wyczuwał przez sen, że to ojciec przyszedł, i zrobił mu miejsce.

Arill spędzał miło czas z żołnierzami. Bardzo się tu wzmocnił, przed chłopcem mogła się zarysować wojskowa kariera, rozmarzył się ojciec.

Oczywiście odziedziczy dwory.

Wszystkie!

Ale stopień oficerski jest nie do pogardzenia. Chłopak jest bystry. Umie czytać i pisać, choć chodził zaledwie dwie zimy do szkoły. Nie jest to wprawdzie męska sztuka, Magnus wyczuwał jednak, że pożytecznie jest umieć coś jeszcze oprócz katechizmu i własnego podpisu.

Arill ma być wielki.

Większy od swoich i tak już przecież potężnych przodków.

Powinien być czymś więcej niż zwyczajny, choćby i bogaty gospodarz.

Srebrne lensmańskie guziki są przemijającym honorem i jednym z wielu osiągnięć rodziny Storlendet w ostatnich latach.

Magnus leżał i starał się uspokoić, rozmyślając o tym, co osiągnął.

Przekleństwo?

Oczywiście, nieraz temu złorzeczył. Złe myśli Raviego odebrały mu aż nazbyt wiele. Starszych synów, i to, jak widać, chyba wszystkich trzech. O ile dobrze pojmował, to dla Edvarda i jego żony nie ma już ratunku. Ragnę Irmelin trzeba by i tak skreślić, z nią się ostatnio już nie dało żyć.

A piękna Maren - ech, Magnus nie potrzebuje baby.

Są inne, które chętnie zastąpią żonę w pościeli, a nie wymagają za to ani nazwiska, ani spadku.

I nie mieszają się do jego planów.

Nie rozpaskudzą też Arilla dogadzaniem i rozpieszczaniem.

Chłopak zapowiada się dobrze.

Należy użyć całej władzy i srebra ile trzeba, by zachować lensmańskie guziki.

Jest tylko jedna sprawa, której za wszelką cenę powinien unikać, zanim naprawdę spojrzy w przeszłość.

Nie dał się dziś podejść temu diabelskiemu pomiotowi. Był z tego dumny.

Gdyby bowiem ktoś inny zaproponował mu czarodziejski przedmiot, który może chronić przed złem, dobrze by za to zapłacił.

Ale Ravi najwyraźniej nie wiedział, że Magnus Storlendet posiada różnorakie umiejętności. On także.

Przecież widział Cyganów.

I widział niezwykle przedmioty, które noszą na szyi. To, czym Ravi chciał go dzisiaj podejść, to właśnie cygański amulet.

Oni mówią o tym złe oko.

Magnus skulił się i pozwalał myślom płynąć dalej. Fakt, że uniknął takiej pułapki, oszałamiał go, rozsadał piersi, pobudzał krew, sprawiał, że ciało stało się lekkie, napięte.

Gdyby Ida teraz tu była...

Leżał jednak sam, coraz bardziej wzburzony.

Nie można się dłużej wahać, trzeba dokończyć dzieła.

Ciało chłopca, jego równy oddech, ciepłe, przytulone do ojca plecy. Zdjął go strach, że tamten może również zrobić krzywdę i temu synowi. Jeśli tylko trafi się okazja, będzie wypowiadał nad głową chłopca diabelskie formułki.

Teraz ważniejsze niż kiedykolwiek przedtem jest unieszkodliwienie tego, co Ravi sam potwierdził. Powiedział przecież, że ściągnął nieszczęście na Storlendet.

Jak dotychczas obracało się ono dla Magnusa na dobre, pomnażało jego bogactwo i władzę.

I jeśli teraz Edvard się zawinie i pociągnie za sobą do wieczności swoją babę, to też nie będzie jakiejś wielkiej tragedii.

Magnus zachichotał bezgłośnie w ciemności.

Szczerze powiedziawszy, ten obcy diabeł wyświadczy mu przysługę.

Spędził bowiem wiele bezsennych nocy na rozmyślaniach, jak odsunąć tego słabowitego niezgułę, który był synem Ragny, i zrobić miejsce dla zdrowego, nowego dziedzica.

Bo to Arill zostanie jego dziedzicem.

Dopnie swego wszystko jedno w jaki sposób, mimo surowych reguł dotyczących dziedziczenia majątku.

No i teraz przekleństwo Ravięgo mogłoby mu w tym pomóc.

Teraz koniec zmagania.

A potem się zmiażdży gada.

W małym koszarowym pomieszczeniu czas włókł się bardzo wolno, ale Magnus Storlendet myślał szybko, jego myśli dosłownie deptały jedna drugiej po piętach, tworząc długi, nierozzerwalny ciąg. Jak lunatyk wstał bezgłośnie z łóżka.

- Chyba rozum postradałeś - westchnęła Johanna. - Po prostu zasnąłeś nad rzeką? I co, gronostaj zaatakował cię we śnie? To najgorsze, co słyszałam. Mógł cię naprawdę niebezpiecznie zranić!

Zerwała się z pościeli i gęsto zastawiła nocny stolik buteleczkami i słoikami. Ravi wiedział, co się w nich znajduje. Wyciągi z ziół, tynktury, wywary. Wyraźnym pismem wykaligrafowano nazwy na naczyniach, ładne, nieduże, żółte etykiety z nazwami łacińskimi i norwesкими, używanymi przez Johannę. Gwiazdnica, odczytywał. Stellana media. I arcydzięglem. Angelica archangelica.

Piękne nazwy, pomyślał. Wszystkie. Johanna używała wielu różnych ziół, mięty, szalwii, liści babki.

Zapieкло, kiedy odchyliła brzegi rany, ale nie jęknął.

- Dziwne - mruknęła Johanna. - To przypomina raczej cięcie nożem. Wiedział, że gdyby teraz zaczął się tłumaczyć, to ona odkryje kłamstwo w jego głosie.

Dlatego się nie odzywał. Przymknął tylko oczy i starał się rozluźnić. Poczuł, że Johanna potyka się o jego nogi, że oddycha zdenerwowana. Była zaniepokojona. Niepokoiłaby się jeszcze bardziej, gdyby jej opowiedział o Cyganach i o Magnusie Storlendet.

Po chwili Johanna wyszła, kroki zamarły w głębi domu. Ravi nie otworzył oczu. Leżał i myślał. Po chwili usłyszał stukot obcasów na schodach, rozpoznał lekkie kroki Marji, szła w butach zrobionych z najpiękniejszej skóry, i z metalowymi podkówkami pod obcasami.

Wyczuwał obecność obu kobiet w pokoju, zmuszał się jednak, by oddychać spokojnie i miarowo jak człowiek pogrążony we śnie.

- Martwię się o niego - usłyszał nad sobą głos Johannny. Ręka wygładzała pled, którym go okryła. Zaczął się pocić.

- Wylize się - szepnęła Marja.

- Chyba wdał się w jakąś awanturę. Mówi, że go gronostaj podrapał, ale spójrz...

Kołdra została zsunięta. Ravi mimo woli drgnął. Marja roześmiała się cicho.

- Coś ty, Johanno! Te zadrapania mogą pochodzić od Bóg wie czego! Słyszał rozbawienie w jej cichym głosie.

- Powiem ci, że to chyba kobiece paznokcie zostawiły ten ślad. Musiał walczyć o swoją cno - o - o - tę...

Johanna coś mruknęła i kołdra została bardzo stanowczo umieszczona na dawnym miejscu.

- Nie zgadzam się, żebyś z tego żartowała, Marjo. Przecież nie co noc biegam do ciebie po pociechę!

Usłyszał, że chyba jakiś kawałek drewna został zmiążdżony pod obcasem Marji. Ale obie panie przeszły do salonu, docierał do niego brzęk buteleczek, które chowały z powrotem do szafy.

Chciał słyszeć, o czym rozmawiają.

Ale głos Marji brzmiał teraz bardzo cicho.

Boże, myślał przestraszony Ravi. Żeby ona tylko za wiele nie nagadała...

Marja jest mądra. Musiał się uśmiechnąć nad swoim niepokojem, bo jeśli Marja miała jakiś problem, to polegał on raczej na tym, że mówiła za mało. Zawsze coś przemilczała, jakby czekała na lepszą okazję. Chciała zaczekać i zobaczyć, jaka domyślna jest Johanna.

Zorientował się, że panie siedzą przy sobie i rozmawiają. Wydawało mu się, że słyszy stłumiony śmiech Johanny. A więc zapomniała o swoim zmartwieniu. I to było najlepsze ze wszystkiego.

Ravi leżał i drzemał, bezpieczny niczym dziecko, które zasnęło, uspięone rozmową rodziców jak piękną kołysanką.

Zdał sobie sprawę, że Johanna wróciła do sypialni i zdjęła kołdrę z jego pewnie błyszczącej od potu twarzy. Jej długa nocna koszula szurała po podłodze, wtedy on ostrożnie otworzył jedno oko. Marja stała nad nim, więc starał się udawać śpiącego. Zdążył jednak zobaczyć wyraźnie jej ciemne włosy, kiedy pochylała się, żeby wziąć lampę.

Może właśnie ten moment wzbudził w nim sen. Ów niezwykły sen, który towarzyszył mu tej nocy i który był dla niego właściwie gorszy niż to, co się naprawdę zdarzyło.

Między wysokimi, pozbawionymi gałęzi pniami drzew biegła Reina. Ktoś ją ścigał przez suchy las, przez nagie, zeschnięte na brąz poszycie, kolce krzewów wbijały się w jej boscie nogi. Widział, że dziewczynka jest podrapana do krwi. Na wpół się odwróciła do prześladowcy i nigdy jeszcze w żadnej twarzy Ravi nie widział większego przerażenia. Chciał ją zawołać, chciał wyciągnąć rękę i jej pomóc, ale ona

od niego uciekała, prawie leciała ponad drapiącymi gałęziami, a przez cały czas las stawał się gęstszy, masywniejszy.

Drzewa nie miały koron.

Przewrócił się nagi na plecy i patrzył tam, gdzie powinno znajdować się niebo. Ale nieba nie było nad nimi, tylko nieskończoność tych brunatnoczarnych pni drzew, wyciągających się wysoko i ginących w gęstej mgle gdzieś w górze, gdzie pewnie jednak jest firmament.

Sen się powoli zmieniał. Reina nadal biegła, ale stopy tkwiły nieruchomo w miejscu. Uwięzione w czymś w rodzaju smoły, zostawiła je za sobą. Krzyczała i teraz krew leciała jej z ust i z oczu, gęstniała niczym wodospad, a nieprzenikniona mgła oddzielała go od córki. Tylko w krótkich chwilach mgła się rozpląwała na boki i wtedy mógł ponownie zobaczyć wykrzywioną strachem twarz małej. Teraz wypadły jej włosy. Jeden lok po drugim, jakby ten czerwony obłok wsysał je w siebie. Została pochwycona jakby w strumień lawy i Ravi we śnie pomyślał, że teraz ją w końcu dogoni.

Akurat w momencie, kiedy to uczynił, ona wydała z siebie ostatni krzyk i przewróciła się prosto na leśną ściółkę, która się nad nią zamknęła. Zaczął rozdrapywać ziemię palcami, natrafił na dłoń córki, zwiotczała i śliską. I poczuł, że siły, które wciągają dziecko w głąb, są większe niż jego opór.

Wtedy i on zaczął krzyczeć, nagle pojął, że to on jest prześladowcą, przed którym Reina uciekała.

Jego krzyk obudził Johannę i śpijające na strychu służące. Kiedy po omacku zbiegały ze schodów, poczuły zapach dymu. Na samym dole musiały zaciskać powieki i oddychać przez materiał nocnych koszul. Tutaj panowało też straszne gorąco.

Johanna, oszołomiona i zaspana, nie była w stanie rozróżnić krzyku Ravięgo od histerycznych wrzasków docierających ze schodów:

- Pali się! Gore! Na pomoc!

Kiedy otworzyła drzwi jak szeroko, do sypialni buchnęły kłęby dymu. Płomienie już lizały schody na całej wysokości, w ciemnym kącie za drzwiami wejściowymi odkryto ogień w stosie drewna na opał, które zawsze tam leżało.

Johanna zdążyła pomyśleć: To nie jest normalna sprawa, że ogień wybuchł właśnie tam.

Potem zaczęła wołać do kobiet na schodach ponad sobą:

- Skaczcicie! Nic się wam nie stanie! Widziała, że się wahają, płomienie strzelały wysoko, osiem lub dziesięć najniższych stopni było już nie do przebycia. Poręcz zaczynała trzeszczeć, wkrótce się zwęgli od gorąca i runie.

- Skaczcicie! Zniosła się kaszlem. Uniosła rękę i wycofała się w stronę salonu. Teraz Ravi krzyczał, nie nawdychał się tak bardzo dymu:

- Uciekajcie ze schodów! Nie jest tak wysoko, można skakać z okien... Służące zniknęły. Johanna otuliła się w kołdrę i ruszyła korytarzem, przyciskając się do ściany, której ogień jeszcze nie sięgał. Płomienie przypalały kołdrę na jej ramionach i na barkach, miała jednak nadzieję, że bezpieczna dotrze do drzwi. Zaciskała oczy i przedzierała się naprzód, macając ścianę rękami, i oparzyła się o rozgrzany skobel przy drzwiach wejściowych. Skobel nie był zasunięty, zapomniała zamknąć po wyjściu Marji.

Nocne powietrze było dla rozpalonej skóry niczym lód. Za sobą słyszała tylko trzask płomieni, domyślała się jednak, że Ravi musi mieć trochę czasu, zanim zacznie gasić, bo on chyba też wyskoczył przez okno albo może uciekł przez tylne drzwi do kuchni.

Zobaczyła, jak służące wyrzucają przez okno na strychu fotel. Potem ukazały się one same, oceniały odległość, jaka dzieli je od ziemi.

Pod oknem rosła jarzębina, wyciągając w górę gałęzie, nieduże, młode drzewo, zbyt delikatne i chwiejne, by można się było na nie wspiąć. Ale najstarsza służąca przełożyła nogi przez parapet, na którym przedtem ułożyła gruby materac z pierza, niegdyś należący do Amelii. Potem skoczyła i wylądowała w krzakach. Wzywała swoje koleżanki, które zachęczone jej powodzeniem, skakały także.

Niestety dziewczyna kuchenna złamała sobie rękę.

Johanna zostawiła je i pobiegła dokoła domu. Wciąż jeszcze nigdzie tu nie widziała płomieni. Widocznie pożar najpierw rozprzestrzenił się na schodach. Kuchnia znajdowała się w drugim końcu domu. Szarpnęła kuchenne drzwi, okazało się jednak, że są zamknięte. Teraz nadbiegli parobcy, na pół ubrani, z potarganymi włosami. Mieli ze sobą wiadra i kociołki do wody. Wodę wylewano wprost na drzwi, buchały obłoki pary.

- Więcej! Szybko jak najwięcej wody! Andreas, wyłam kuchenne drzwi, Ravi jest jeszcze w domu...

Pod ciężkim uderzeniem łomu drzwi ustąpiły. Płomienie strzeliły z nową siłą w strumieniu świeżego powietrza.

Wiedziała, że Ravi da sobie radę. Nie został jeszcze odcięty, prawdopodobnie pobiegł korytarzem z kuchni, okrążył obie duże izby i nabrał wody z dużego kotła. Wkrótce jednak zrozumie, że nic w ten sposób nie działo.

Wbiegła więc do izby z kamienną posadzką i zaczęła go wołać. Jak na ironię tutaj w piecu tlił się słaby ogień. Nigdzie nie widziała Ravięgo, ale po chwili usłyszała jego głos zza zasłony dymu.

Ostre zgrzyty i silne uderzenia mieszały się ze złowieszczym trzaskiem płomieni.

Nic nie widziała, otaczał ją coraz gęstszy dym.

Słyszała tylko, jak Ravi coś krzyczy, jakby przywoływał do porządku nieposłuszne dziecko.

- To po prostu cud, nic więcej - powtarzała Eldrid Olshagen, cmokając z uznaniem dla piwa, którym częstowała ją Marja. Był już późny ranek, krótka noc wciąż jednak trwała w ludziach, którzy tu przybiegli ze wsi, gdy usłyszeli syrenę alarmową, i utworzyli żywy łańcuch, podawali sobie z rąk do rąk wiadra z wodą.

Ale kiedy przyszli, pożar już dogasał. Swąd spalonej wełny mieszał się ze smakiem sadzy, który wszyscy mieli w ustach. Johanna trzymała Ravięgo za rękę i głaskała skaleczoną pierś.

- Ravi dokonał prawie niemożliwego - chwaliła go głośno. - Wrzucił wszystkie lniane i wełniane narzuty, ręczniki, obrusy, co tylko znalazł, do wody i tym zdusił płomień.

Marja kręciła głową, jakby z niedowierzaniem i częstowała zebranych pszennymi ciasteczkami. Większość miała sadzę na twarzach i rękach, nikt jednak nie wyglądał tak okropnie jak Johanna i Ravi. Oboje mieli poszarzałe, umorusane twarze, na których łyż znaczyły jaśniejsze ślady. Pod sadzą widać było czerwoną, przypaloną skórę. Oczy obwiedzione na czerwono, jak najszybciej powinno się je przemyć wywarem z rumianku.

Ale Johanna się uśmiechała, wyjątkowo białe dziś zęby błyskały raz po raz spoza brudnych warg.

Marja popędzała parobków, którym już dawno temu poleciła nagrzać wody w swojej pięknej łazience.

- Najserdeczniejsze dzięki - mruknął Ravi, zwracając się do wszystkich obecnych. - Tym razem też nam się jakoś udało.

Wszyscy odnosili się do niego z wielkim uznaniem, niektórzy odmawiali

modlitwy dziękczynne.

Johanna ziewała często i przeciągle.

Tylko Mons z Hagen nie mógł przestać się zastanawiać, skąd się ten ogień wziął.

- Pani powiedziała, że zaczęły się palić schody? Ale... chyba nikt tamtędy nie nosi świec, popiołu z pieca też się nie wyrzuca tamtymi drzwiami?

Marja spojrzała na niego, pociągnęła z kieliszka. Jej spojrzenie wędrowało między Ravim a Johanna.

- Obawiam się, że to mnie należy winić - rzekła z wolna. - Kiedy rozmawialiśmy z Johanna, zapaliłam fajkę. I... potknęłam się w ciemnym korytarzu, kiedy wychodziłam. Uderzyłam fajką o ścianę... tak, pamiętam dokładnie... mogło wypaść trochę żaru. Na podłogę...

Wielu zebranych odetchnęło głośno. Potem zapadła cisza.

- Bogu dzięki nikomu nic złego się nie stało. Ja... pokryję straty. Tak, na szczęście stać mnie na to.

- Najmłodsza służąca złamała rękę - powiedziała Johanna. - Tej zimy nie będzie mogła pracować, pękło kilka kości. Jeśli jest tak, jak mówisz, Marjo, to powinnaś teraz do niej iść.

Starsza kobieta skinęła pokornie głową.

- Pójdę z tobą - rzekł Ravi. - Wykąpię się w rzece. Uważaj na gronostaje, chciała zawołać za nim Johanna. Kiedy jednak koło południa wrócił i usiadł przy niej na kamiennej ławie pod rosnącym na dziedzińcu drzewem, zapomniała i o skaleczeniu, i o kłamstwie. Cieśla Amundsen, który w ostatnich latach zajmował się rozbudową Vildegard, zostawił jakąś mniejszą budowę, przy której teraz pracował, i zabrał się za naprawę zniszczeń. Nie było tego wiele. Trzeba naturalnie wymienić część schodów i podłogę w korytarzu. Potrzebna też będzie nowa poręcz i może należałoby się zastanowić, czy nie wymienić najbardziej zwęglonej podstawy schodów. Drewniana ściana od strony kuchni była osmalona i popękana, na szczęście dobrze ochroniła ścianę nośną, która mogłaby spowodować wielkie spustoszenie, gdyby się spaliła i runęła.

- Mieliście wielkie szczęście - mruczał rzemieślnik i zaciskał obie dłonie na dużym, cynowym kuflu, w którym Johanna podawała mu piwo.

Oboje kiwali głowami.

- Powiadają, że gospodarz zręcznie posługuje się nożem. Teraz będzie miał

okazję ozdobić trochę dom. Pani wspominała, że chciałby sam zrobić ornament do nowych schodów?

Ravi spojrzął na Johannę spod oka. Ona się uśmiechała, w jej wzroku widział teraz spokój. Pożar przegnał inne zmartwienia.

Zamierzał opowiedzieć jej o śnie, teraz jednak uznał, że nie powinien. Przy jednym tylko będzie się upierał: Ani chwili dłużej niż to konieczne nie będzie zwlekał z wyjazdem do Meisterplassen. Pamięć snu nie przestanie go dręczyć, taki był wyrazisty i przejmujący. Najpierw musi przytulić do siebie Reinę i na własne oczy zobaczyć, że jest zdrowa i silna jak wtedy, kiedy widział ją po raz ostatni.

Nawet zaraza go nie powstrzyma.

Ravi czuł, że serce bije mu tak, jakby wystukiwało imię córki, nawet wtedy, kiedy mocował się z ciężkimi materacami i narzutami, którymi chciał zdusić ogień, kierował nim lęk o córkę.

Reinie nie może się nic stać.

Nie miał odwagi nawet pomyśleć, że mogłoby być inaczej.

Kiedy cieśla poszedł, Ravi dotknął delikatnie dłoni Johannы. Miała otartą skórę na kostkach. Jego ręce nie zostały nawet drażnione, nie mógł się temu nadziwić.

- Hanno moja, tak strasznie tęsknię za dziećmi... Co byś powiedziała, gdybym wyruszył dziś wieczorem, żeby je przywieźć do domu?

Patrzyła na niego długo. Czerwona obwódka wokół oczu była teraz intensywniejsza. Oczy wciąż ją piekły.

- Uważam, że to absolutnie nieodpowiedzialne. Ospa jeszcze nie minęła. Tylu ludzi choruje... myślę, że... wielu umrze.

- Ale nowych zachorowań ostatnio nie było? Musiała przyznać mu rację.

- Mimo to... ja wiem, o czym myślisz, Ravi. Ja odczuwam to samo. Ale boję się, nie możemy kusić losu, nie wolno sprowadzać ich za wcześnie. Bo wtedy wszystko może się okazać niepotrzebne... te wszystkie noce w niemal pustym domu...

- Wiem - westchnął Ravi. - Ale muszę ją przywieźć. Ich.

- Szczególnie boisz się o Reinę.

- Ona... To moja mała córeczka - wyznał z czułością. Johanna uśmiechnęła się i przytuliła do jego ramienia.

W pobliżu świerszcze wyśpiewywały swoją dźwięczną pieśń, choć krople rosy nie zniknęły jeszcze z koron kwiatów rosnących w cieniu wielkiego drzewa.

- No to w takim razie jedź - powiedziała cicho. - Ruszaj zaraz, dopóki fiord

jest spokojny...

Zdziwił się, skąd mogła wiedzieć akurat to, skoro stąd można było dostrzec jedynie skrawek brzegu.

Johanna jednak zawsze wiedziała takie rzeczy, orientowała się w przyływach i odpływach, w stanie wody i wiatru niemal tak, jak zwykli ludzie orientują się w porach dnia i nocy. Może dlatego, że wychowała się nad tą odnogą fiordu. Pod wieloma względami była jakby ulepiona z innej gliny, pochodziła od innych ludzi niż on. I również z tego powodu była mu tak strasznie droga, taka ważna, niczym lustro, w którym mógł się przeglądać bez kłamstw i niedomówień.

- Może i ty się ze mną wybierzesz? Ale już w sposobie pytania wyczuła, że on na to nie liczy.

- O, nie, muszę zostać tutaj. Przygotuję wszystko na wasz przyjazd. Zgodził się w milczeniu, ale przeniknął go niepokój. Przytulił Johannę pospiesznie. Zobaczył, że służące wynoszą do pralni lnianą pościel. Szafa, w której Johanna przechowuje takie rzeczy, ma zwęglony bok i wszystko śmierdzi spalenizną. Służące czeka ciężka praca.

- Czy mam przekazać jakieś pozdrowienia? Johanna nabrała powietrza w płuca. Potem rzekła spokojnie:

- Pozdrów tatę i powiedz, że wiele o nim myślę. Że go kocham. Dzieciom powiedz, że ciotka ma nadzieję, iż przyjadą z wizytą, jak tylko niebezpieczeństwo minie. Może na święto podziękowania za zbiory. A przynajmniej na świętego Michała. Ingalill powiedz, że zalałam płatki róż spirytusem i gdy tylko zrobię różane mydło, które ona tak lubi, to dostanie wielki kawałek.

Kiwał wolno głową. Czekał. Johanna chyba nie zamierza powiedzieć już nic więcej. Ale ona po chwili dodała niepewnie:

- I pozdrów Helenę.

- Oczywiście - rzekł spokojnie. - W takim razie jadę.

- Może weź ze sobą Nilsa. On świetnie wiosłuje.

- No może. Tak, chyba go wezmę, powiedz mu, żeby na mnie czekał koło Dosen. Zechcesz posłać z wiadomością, że potrzebuję łodzi?

Johanna wstała. Byli właścicielami dużej łodzi wiosłowej wespół z czterema innymi gospodarstwami. Czasami powstawały problemy w okresie pilnych prac w polu lub w czasie tingu, ale poza tym wszystko się układało. To przecież nie jest łódź rybacka. Często zresztą była wypożyczana jako łódź podróżna dla wszystkich, od

lensmana do pastora, albo dla posłańca, kiedy trzeba było coś załatwić dla komendanta oddziału stacjonującego w Karlsgard. Była stosunkowo wąska, o sporej wyporności, na wodzie zachowywała się pewnie, sterowna zarówno pod żaglami, jak i poruszana wiosłami. Zabierała jednak znacznie mniej ładunku niż cięższe jednostki.

Ravi poszedł do domu po kuferek podróży i dodatkowe ubranie.

Johanna patrzyła w ślad za nim, podziwiała, jak lekko stąpa, jakie ma zwinne ciało. Zdawała sobie sprawę, że on się niepokoi, nie jest to może strach, ale jednak coś go gryzie.

Spojrzała na swoje złożone na kolanach, zmęczone dłonie i uśmiechnęła się do nich.

I poczuła, jakby w jej piersi zaczynały się poruszać delikatne skrzydła: jak cudownie będzie ich znowu zobaczyć.

Wszystkich troje!

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wczesnym popołudniem lensman wjechał konno na dziedziniec. Ravięgo już nie było. Johanna najchętniej przegoniłaby tego niewczesnego gościa za drzwi. Nie mogła zrozumieć, że odważył się tu pokazać. Magnus Storlendet uklonił się sztywno i oznajmił urzędowym tonem, iż uznał za swój obowiązek zorientować się osobiście, co się stało. Ktoś przecież mógł stracić życie!

- Wszystko w porządku, lensmanie - oznajmiła Johanna krótko. - Nie masz tu nic do roboty i w ogóle w najbliższym czasie miał nie będziesz.

Pragnęła przeszyć go na wylot wzrokiem. Pragnęła w tych skąpych słowach zawrzeć całą swoją nienawiść i cały gniew. On się jednak nie odwrócił. Wyszczrzył zęby w czymś w rodzaju uśmiechu, uchylił kapelusza, wypiął brzuch i brutalnie ściągnął konia.

- Ale powód, pani gospodyni? Czy macie jakieś podejrzenia, jak to się mogło przytrafić?

Johanna uniosła głowę, za nic nie chciała dopuścić do siebie dawnych, bolesnych wspomnień. Erlend był taki podobny do ojca. Och, bardzo, jak się okazało, kiedy przyszło co do czego. Pragnęła, żeby Magnus zniknął jej z oczu jak najprędzej.

- To Marja zaproszyła ogień z fajki. Ale pokryje wszystkie straty. Także służbie.

Lensman zastanawiał się dziwnie długo.

- W porządku - powiedział w końcu. - W takim razie mogę poświęcić się ważniejszym sprawom.

I odjechał. Poły czarnej kamizelki, którą nosił w upał i w mróz, powiewały za nim niczym krótkie kogucie skrzydła.

Johanna wydała z siebie jakieś dziwne, krótkie charczenie i jeszcze mocniej zacisnęła ręce na trzymanej misce. Szarą mydlaną masę, która się w niej znajdowała, trzeba gotować i płukać, aż stanie się jasna, a potem dodać po trochu pszczelego wosku i pachnących olejków. Ingalill się ucieszy. Reina jeszcze się specjalnie nie interesowała bogatą zawartością matczynej szafy z tego rodzaju wspaniałościami, Johanna wiedziała jednak, że nie minie kilka lat, a dziecko przemieni się w kobietę.

Nie umiałaby tylko powiedzieć, czy ją to cieszy, czy martwi.

Reina będzie uparta. I wojownicza jak matka. Posiada jednak również miękkość. Miękkość, która z pewnością rozkwitnie i sprawi, że życie będzie dla niej lżejsze, zwłaszcza jeśli wybierze drogę, na której nie będzie zbyt wielu obciążeń.

Jak długo to możliwe, rodzice powinni prostować jej ścieżki, wyrównywać ziemię, po której kroczy.

O ile Johanna wiedziała, to dotychczas dziewczynka nie przeżyła jeszcze większego nieszczęścia niż strata białego kotka, który wpadł do studni i utonął.

Ale takie sprawy człowiek potrafi przeboleć.

Z tego się wyrasta.

A te niezwykle myśli, które przychodzą jej do głowy w chwilach samotności... z czasem dzięki tym myślom stanie się mądrzejsza.

Reina już jest mądra.

Johanna zauważyła, że nieprzyjemne uczucia, którymi napełniła ją wizyta Magnusa, zaczynają ustępować. Koncentrowała się teraz na myśli, jak to będzie wspaniale znowu zobaczyć dzieci, jak leżą wieczorem w swoich łózkach. Jak będą się śmiać i gadać jedno przez drugie, że jutro wszyscy będą siedzieć do późna w nocy.

Mają sobie przecież tyle do opowiedzenia.

Johanna nie zamierza zasmucać dzieci już pierwszego wieczoru wyliczaniem, ilu mieszkańców wsi zabrała ospa, ilu przyjaciół i znajomych spoczęło na wieki pod warstwą darni.

Pod wpływem tłuszczu ręce zrobiły się śliskie i błyszczące, tłuszcz łagodził też oparzoną skórę w miejscach, gdzie mogły się porobić pęcherze. Czuła na karku lekki wietrzyk, włosy wysunęły się z koka i łaskotały jej skórę. A na dziedzińcu w

cieniu wielkiego drzewa odpoczywała służąca, która złamała sobie rękę, podparta poduszkami rozkoszowała się opieką innych z rodzajem zdumienia i pokory.

Wszystko będzie dobrze.

Marja dała już dziewczynie sakiewkę z pieniędzmi i jedną ze swoich wzorzystych wełnianych sukien. Trzymała ją na kolanach, gładziła i gładziła materiał zdrową ręką, nie mogąc pojąć, że kwiaty na tkaninie nie zostały wyhaftowane ani nie powstały na warsztacie tkackim, ale są jakby namalowane farbą.

Vildegard trwa jak dawniej.

Johanna była z tego niemal dumna, teraz, kiedy zaraza zdaje się być w odwrocie, gdy pożar został w porę ugaszony, ogarniała ją rzadko odczuwana pewność, że nic złego nie może ich spotkać.

Pamiętała, że należy za to dziękować Bogu, miała wrażenie, jakby czyjaś dłoń wysuwała się z nieba i przypominała jej, że mimo wszystko jest dzieckiem szczęścia.

Resztę dnia poświęciła na przygotowanie pokojów dzieci, zmieniała pościel, ścieliła ich łóżka. Jej dzieci sypiały niczym książęta, pod lekkimi puchowymi kołdrami, na poduszkach, w delikatnej pościeli. Z pewnością podczas gorących nocy w Meisterplassen nie było im tak wygodnie, może nawet się drapały. Bendik wołał okrycia z owczych skór i wełnianą pościel. Zawsze tak było, a wątpliwe, by Helena potrafiła i chciała zmienić jego nawyki. Choć Johanna od dawna musiała przyznawać, że ta kobieta dała życiu jej ojca nowe, szczęśliwe lato.

Nie postarzał się w ciągu ostatnich dziesięciu lat. W każdym razie od urodzenia Reiny. I każdej wiosny robił teraz wierzbowe puszczalki dla dzieci - dla bliźniaków, Reiny, Ingalill i Benjamina. Benjamin czuł się wyjątkowo dobrze w towarzystwie dziadka i często spędzał w Meisterplassen tydzień lub dwa. Ravi więcej niż chętnie mu towarzyszył i zostawał zawsze tak długo jak to tylko możliwe.

On też lubił Meisterplassen.

Johanna również chętnie tam jeździła, błądziła po okolicy, odwiedzała ulubione miejsca, koncentrowała się. Głaskała kamienie i skały, które kryły w sobie jakieś wspomnienia. Mimo wszystko tam właśnie przyszła na świat, Amelia zaś w Meisterplassen zostawiła swoje serce.

Ale nie, nie powinna sobie pozwalać na takie wzruszenia, nie trzeba szukać innych korzeni życia, to jest dom Johanny, ten pokój...

A także salony we Wdowim Dworze, w którym tak długo żył ukochany Karl Marji. Natychmiast pojawił się we wspomnieniach obraz napuszonego gospodarza ze

Storlendet wywołany starą goryczą. Obiecała sobie już dawno, że będzie tego unikać, nie wolno rozdrapywać ran, należy zepchnąć tamte sprawy do najdalszego zakątka pamięci i nie wracać do nich bez potrzeby. Najlepiej zapomnieć. Miała nadzieję, że nigdy nie dożyje czasu wielkich rozliczeń, niech więc wspomnienia pokryje kurz, niech trwają w ukryciu, skoro wywlekanie ich na dzienne światło niczemu dobremu służyć nie może.

Karlsgard jest stracone, na zawsze. Zaczynała się już godzić z tą myślą, ale wciąż jeszcze żyła w niej odrobina nadziei. Gdyby kiedykolwiek Magnus Storlendet znalazł się zdany na jej łaskę i mogła odebrać to, co im ukradł, nie wahałaby się ani chwili.

To przecież dziedzictwo Benjamina. I Reiny.

Nie chodzi o pieniądze. Pieniędzy dzieci będą miały dość po Marji. Są zabezpieczone, każde z nich będzie zamożniejsze niż ona, kiedy została żoną Erlenda Storlendet.

Nigdy jednak nie pogodzi się z niesprawiedliwością, jaka spotkała jej rodzinę. Wiedziała zresztą, że Bendika dręczy to tak samo jak ją. Bendik nie chce o tym rozmawiać, nigdy nie chciał. Był zadowolony, że nikt więcej z rodziny nie musiał płacić odszkodowania za śmierć Erlenda. Johanna domyślała się, że ojciec zna prawdę. Wiedział przynajmniej, że albo Johanna, albo Ravi stoją za znalezieniem zwłok Erlenda w Lasrdalsfjorden tamtego lata, kiedy oboje mieszkali w Hallingdalen.

Johanna westchnęła i poszła po gorącą wodę do opłukania rąk.

W domu wciąż jeszcze czuło się swąd, chociaż służące wyszorowały już dokładnie osmalone ściany w korytarzu i przy schodach mocno pachnącymi gałązkami jałowca i piaskiem.

Z kuchni docierała inna woń: pachniało świeżymi podpłomykami upieczonymi na kamiennej płycie. Były tego dwa pełne kosze.

Dzieci będą je jadły, smarując gęstą śmietaną z cukrem i jagodami, i popijając świeżym mlekiem.

Poczuła, że serce tańczy jej w piersi.

Jeszcze tylko jedna noc, może dwie. i będzie mogła przytulać mocno oboje i czuć, jak bardzo cieszą się te dwie istoty, które są częścią niej.

Miała wrażenie, że nie ma ich całą wieczność, kiedy jednak wyobraziła sobie ich buzie, to poczuła, jakby od rozstania minął ledwie moment. Wciąż były z nią, w niej, tak samo teraz, jak podczas tych długich miesięcy, kiedy każde z nich nosiła pod

sercem.

Tego wieczoru Johanna zasnęła spokojnie, rozkoszowała się tym, że może się wygodnie przeciągnąć w wielkim łóżku.

- To tata! Och, Heleno, patrz, to tata! Popędził w dół wąską ścieżką niczym małe dziecko, ledwo Helena zdążyła go ostrzec, że na dole stoi pług.

Wyminał go dosłownie w ostatniej sekundzie, podskoczył wysoko, ale zdołał zachować równowagę i leciał dalej z krzykiem.

Helena odetchnęła. Przez całe lato bała się, że zdarzy się nieszczęście, Benjamin był w trudnym wieku. Wiedziała dostatecznie dużo o jego chorobie, by wyobrazić sobie z przerażeniem, co by to było, gdyby ostry lemiesz rozciął głęboko na przykład nogę chłopca...

Reina stała przy niej spokojnie. Trzymała w rękach miskę. Szeroki uśmiech rozjaśnił jej małą twarzyczkę.

- Miałam rację - mruknęła. Odstawiła miskę, ruchem dorosłej kobiety wytarła ręce o fartuch i oparła się o ścianę lamusa. Dopiero potem spojrzała w stronę fiordu i wtedy uśmiechnęła się jeszcze bardziej. - Przyjechał, żeby nas zabrać, Heleno. Och, jak ja na niego czekałam!

Kobieta zwichrzyła ciemne włosy dziewczynki. Uświadomiła sobie, że nie są tak samo kruczoczarne jak włosy Raviego. Że z czasem nabiorą głębokiej, miedzianobrazowej barwy, z upływem lat zmieniają się i rozjaśniają, gdy tymczasem jej własne, płomiennorude, tracą blask i ściemniają.

Polubiła Reinę. W ciągu tych kilku tygodni Helena musiała kopać w pamięci tam, gdzie ukryła swoje wspomnienia. Wiedziała, że Reina w jakiś sposób brała w tym udział, wskazywała, co najważniejsze, miejsca, w których znajdowały się najgłębsze kryjówki.

Dziecko różniło się od rówieśników. Niekiedy wydawało się to aż dziwne. Córka Raviego, więc Helena nie powinna spodziewać się niczego innego.

Ale mała jest też córką Johanny, dlatego przyniosła na świat zdolność jasnego widzenia spraw, pochodzącą z dużo bardziej racjonalnego świata niż to, co posiadał Ravi i z czym się niegdyś dzielił z Heleną.

Teraz mogła to zrozumieć, te przedziwne desenie na tkaninie życia... Wszystko znalazło swoje miejsce, nawet wściekłość, że ten, przed którym się po raz pierwszy naprawdę otworzyła, odszedł. Z inną kobietą.

Na nią czekał Bendik, uważała, że ma prawo tak myśleć. Nie przejmowała się

tym, że w takim razie Johanna i Amelia musiałyby zostać zredukowane do roli nieważnych postaci, ona widziała życie na swój prosty sposób.

Bendik został stworzony z jednego tylko powodu: By ona mogła go mieć.

Czuła się bezpieczna i silna dzięki świadomości, że jedyne dziecko Liv - Więźniarki przeżyło w takich strasznych warunkach, na jakie było skazane, też tylko dlatego. Żadnego innego wytłumaczenia nie znajdowała. Przeżyła dla Bendika.

Helena uniosła rękę i pomachała, łódź znajdowała się już tak blisko, że widziała silne męskie plecy: parobek wiosłował miarowo, jakby wciąż znajdowali się na szerokich wodach. Ravi zanurzył pióra wiosel głęboko z lewej strony i łódź gwałtownie skręciła. Wrzaski dzieci zmusiły go, by się odwrócił, przekroczył ławeczkę i podszedł do samego dziobu. Chwyił Reinę w objęcia, zanim jeszcze wyszedł z łodzi, rzuciła się do niego, ale bardzo starannie obliczyła skok, tak by nie wpaść do zimnej wody między łodzią i nabrzeżem.

Całowali się nawzajem, czochrali sobie nawzajem włosy, policzki Reiny zarumieniły się z radości, lecz także dlatego, że Ravi drapał ją brodą.

Benjamin stał i przestępował z nogi na nogę, nie chciał zachowywać się jak dziecko, ale nie mógł się doczekać. Helena zauważyła, że kiedy tylko Ravi stanął na lądzie, Benjamin zapomniał o wszystkich obiekcjach, rzucił się ojcu na szyję i on także otrzymał swoją porcję pieszczot. Helena zauważyła także, iż ręce Ravięgo stały się delikatniejsze, bardziej czułe. Dawniej było tak, jakby głaskał małego, kosmatego szczeniaczka. Teraz gładził nowo narodzonego kotka.

Ona sama trzymała się na uboczu, na wzniesieniu w pół drogi między zagrodą a fiordem, patrzyła, jak parobek cumuje łódź. Ustawił ją bokiem do nabrzeża i przywiązał długą linką, żeby się nie zerwała, gdy woda się podniesie.

- Witaj u nas - powiedziała, kiedy nareszcie zobaczyła blisko roześmianą twarz Ravięgo. Usłyszała za sobą kroki, widziała, jak Ravi uwalnia się od dzieci i biegnie. Minał ją, klepnąwszy serdecznie w ramię, a kiedy się bardzo wolno odwróciła, zobaczyła, że tuli w ramionach jej córkę.

Ingalill nie była łagodną osobą.

Cały dzień od rana złościła się z powodu czegoś, co powiedziała jej Reina. Nawet bliźniacy trzymali się od niej z daleka, wiedzieli, że droczenie się z siostrą w takim nastroju może ich kosztować szturchańca lub bolesne uszczyplenie.

Zjedli solone mięso i ciepły chleb. Ciasto na zakwasie bardzo pięknie wyrosło, a Helena położyła chlebowe krążki na rozgrzanej płycie pieca i jeszcze bardziej się

powiększyły pod wpływem ciepła, smakowały teraz jak świeżo upieczone, chociaż leżały w spiżarni od tygodnia.

Ravi opowiadał o ospie, która już była w odwrocie, wypytywał o Bendika, który poszedł do Ylvisaker kupować konia, i pozwolił Ingalill usiąść sobie na kolanach zaraz jak tylko odsunął talerz. Głaskał córkę po plecach i żartował z nią. Helena widziała, że dziewczyna jest dumna z takiej poufałości, dziwne, że w otwartej buzi Reiny nie dostrzegała ani cienia zazdrości. Tego akurat można się było spodziewać. Obie podrastające pannice nieustannie się ze sobą droczyły, sprzeczały się o wszystko, od tego, która ma ładniejsze warkocze, aż do przepychania się co wieczór, która będzie spać od ściany.

Na ile udało się Helenie zaobserwować, to Reina ustępowała najczęściej. Upomniała kiedyś Ingalill, Reina mimo wszystko była gościem. Wtedy córka uniosła głowę i powiedziała:

- Jakim gościem? To przecież moja siostra! No i prawda, pomyślała Helena. Reina nie przyjechała tu po to, by siedzieć na honorowym miejscu i pozwalać się obsługiwać. Uśmiechnęła się więc do Ingalill i powiedziała, że w takim razie sprawiedliwie będzie, jeśli na czas pobytu Reiny podzieli się obowiązkami Ingalill. Wtedy ona będzie mniej zajęta i będą miały mnóstwo czasu na swoje przekomarzania.

Obie dziewczynki chętnie na to przystały.

Teraz Reina sama wzięła łyżki, żeby je umyć w balii przy drzwiach, natomiast Ingalill rozkoszowała się obecnością ojca. Benjamin wyszedł po jedzeniu, jak to miał w zwyczaju, Helena wiedziała, gdzie się podziewa. Ten na wpół dorosły chłopiec okazywał niezwykle zainteresowanie starej drewni, gdzie jeszcze leżały rzeczy po Randarze. Bała się nawet pomyśleć, co by się stało, gdyby chłopak znalazł jakiś ostry nóż lub dłuto albo pilę, której od wielu lat nikt nie używał ani nie czyścił... Bliźniaki nie raz marudziły, żeby tam pójść z ekspedycją poszukiwawczą, pogrzebać wśród starych, nie dokończonych rzeźb, w stosach wiórów, których dotychczas nikt nie uprzątnął, wśród półek pełnych pokrytych kurzem narzędzi i może jeszcze jakichś pozostałości po życiu prawdziwego kata...

Westchnęła, w pewnym sensie cieszyła się, że odpowiedzialność za dzieci zostanie z niej zdjęta.

To dzieci Johanny.

Helena jeszcze nie do końca zdawała sobie sprawę z tego, jaki niepokój wzbudzał w niej fakt, że to jej opiece powierzono te oczka w głowie rodziny.

Kiedy Ravi jej za to dziękował, w jego wzroku widziała prawdziwą wdzięczność.

Dostrzegła też coś jeszcze, co mimo upływu czasu w dalszym ciągu sprawiało jej ból.

Pośpiech.

Tęsknotę za domem.

Pochylił się, ostrożnie zdjął Ingalill z kolan i patrzył na Helenę.

- Opowiedz mi teraz, jak żyjesz. Poczwała, że serce skacze jej do gardła, od Ravięgo promieniowało ciepło, starała się znaleźć słowa, które by zaspokoili jego ciekawość, ale była w stanie wykrztusić tylko parę sylab.

- Dziękuję, bardzo dobrze... Zadowolony usiadł znowu prosto, nie przestawał się jej przyglądać. Splótł gołe do łokci ręce nad głową i kołysał się na krześle; uśmiechał się.

- Po raz pierwszy ktoś mi tak odpowiedział i naprawdę tak myśli - rzekł, mrugając do niej.

Przybiegła Reina i chciała zabrać ojca, żeby mu pokazać domek dla lalek, który Benjamin i parobek Kristian zbudowali dla dziewczynek. Szczerze mówiąc, są już za duże na takie rzeczy, ale obie znakomicie się bawiły, planując i urządzając mały domek. A bliźniacy byli zachwyceni! Obaj chłopcy bardzo lubili fantastyczne zabawy, a w tym domku dla lalek mogli być kim tylko chcieli, Napoleonem lub królem Fryderykiem. Ale ani Reina, ani Ingalill nie chciały grać roli nowej królowej, więc Juliana Maria von Braunsweig nigdy nie dostąpiła zaszczytu zaproszenia na herbatę do lalczyego domu w Meisterplassen.

Ravi wykrzyknął w szczerym zachwycie, gdy dziewczynki otworzyły drzwi domku. Dostrzegwał co prawda, że ściana nośna się przekrzywiła i dach spoczywa na niej pod dziwnym kątem, grożącym zawaleniem, ale drzwi miały prawdziwy żelazny zamek i były wystarczająco wysokie, by dorosły mężczyzna mógł się przez nie prze - czołgać, gdyby naprawdę chciał. Sufit znajdował się na tyle wysoko, że można było siedzieć we wnętrzu domu, ale nawet bliźniacy nie mogli stanąć w nim wyprostowani. Wnętrze zostało też umeblowane! Porcelanowa lalka Ingalill mogła korzystać ze wszystkiego. Była to jej ukochana lalka, zniszczona i zużyta bardziej niż zwykłe lalki bywają.

Jedno oko jej wypadło, usta miała bardzo czerwone, najwyraźniej narysowane niewprawną dziecięcą ręką. Zachowała natomiast długie, jasne włosy, chociaż z

daleka widoczne były ślady licznych zmian fryzury. Teraz zostały upięte pod kapeluszem, uplecionym najwyraźniej z suszonej nadbrzeżnej trawy. Kapelusz był przywiązany rzemiennym paskiem, który Raviemu wydał się znajomy...

- No, czy to nie piękne? - zapytała Ingalill przejęta.

- To jest... to jest śliczne. Naprawdę śliczne... ile pracy musieliście w to włożyć wszyscy!

- Ja wyrzeźbiłem ten ornament na łóżku - powiedział cicho Benjamin stojący za jego plecami. Ravi wpatrywał się, mrużył oczy, by dojrzeć wszystkie elementy skomplikowanego wzoru. Taki sam wzór znajdował się na łożu z baldachimem należącym do Marji, kiście winogron, biegnące zwierzęta, krzewy akantu oplatające wszystko i pnące się chyba do nieba.

Musiał wyciągnąć rękę i dotknąć małego mebelka. Samo łóżko było proste, cztery zbite razem deski. A krótsza ściana... przypominała mu jego własne próby w tej dziedzinie.

Jeszcze przed malowaniem.

Chociaż jego były trochę bardziej udane, to fakt.

Zapukał do drzwi, usiadł w kucki przed małym domem. Wpatrywał się w poważną twarz syna.

- To... to naprawdę bardzo dobrze zrobione, synu... trudno uwierzyć... Ale, Benjamin...

Wzrok chłopca sprawił, że umilkł.

Ravi przełknął słowa, które już miał wypowiedzieć. Nie powinien go napominać. Chłopiec dorasta, zna tysiące ostrzeżeń, którym musiał się podporządkować. Wciąż mu powtarzano, że sam za siebie odpowiada, że musi być ostrożny.

Chyba nie rozumiał powagi swojej choroby aż do świąt Bożego Narodzenia przed czterema laty, kiedy oboje z Reiną kłócili się, które z nich zapali świece w wielkim lichtarzu stojącym na stole. Reina popchnęła go i Benjamin upadł na ścianę, na której Johanna powiesiła skrzynkę na popiół.

Benjamin uderzył się i krwawił przerażająco obficie z małej ranki za uchem. Już myśleli, że go stracą, lekarstwa Johanny nie pomagały, Ravi trzymał swoje martwe ręce na czole syna także bez rezultatu.

W końcu chłopiec stracił przytomność i wtedy uratowała go Marja, rozgrzała kawałek żelaza i przypaliła nim ranę. Krew przestała cieknąć, ale na skórze zrobił się

potężny, niebieskoczarny siniec.

Siniak nie znikał przez wiele tygodni, ale sprawa skończyła się dobrze. Kiedy potem Benjamin zapytał, czy mógłby umrzeć na tę chorobę, po raz pierwszy odpowiedzieli mu szczerze.

Później już o tym nie wspominał, zauważyli jednak, że stał się dużo ostrożniejszy.

Z wyjątkiem sytuacji kiedy się na coś złościł lub coś go cieszyło.

Ravi ujął chłopca za rękę i powtórzył pochwałę.

- Stałeś się zręcznym rzeźbiarzem, mój synu. Ale... kiedy wrócimy do domu, zabiorę cię do mojej chaty. Myślę, że będziesz bardzo dobrym malarzem...

Benjamin zapiszczał z radości.

Jak daleko sięga pamięcią, ojciec nigdy nikomu nie pozwalał przebywać w chacie, kiedy pracuje. A Benjaminowi nigdy nawet do głowy nie przyszło, żeby prosić o pozwolenie.

- Wspaniale - powiedział i starał się wyglądać na zachwyconego. - Ale... nie sądzę, żeby wyrósł ze mnie malarz, tato. Wolę drewno. Lubię rzeczy, które można trzymać pewnie w rękach i które tak nie brudzą, gdy tylko człowiek mrugnie...

Głos zamarł, zanim zdanie zostało dokończzone. Spojrzenie ojca powiedziało mu, jak źle zabrzmiały słowa. Co mogły znaczyć... W milczeniu szli obok siebie, zostawiając dziewczynki i bliźniaków.

- Mama bardzo za tobą tęskniła, Benjaminie. Ja też, ale ja już ci mówiłem. Musisz... Powinieneś pamiętać, że mama bardzo się o ciebie boi. Nie wolno ci jej martwić, synu.

Benjamin wsunął ręce w głębokie kieszenie spodni i bąknął coś, że przecież wie... Czy w taki sposób ojciec zamierza mu wyperswadować używanie noża i dłuta? Nie odważył się o to zapytać; dopóki nic więcej nie zostanie powiedziane, to musi pozostać niewyjaśnione.

- Ruszamy w drogę powrotną, jak tylko przywitamy się z Bendikiem - oznajmił Ravi. - Dziś wieczorem, przy odpływie. Po zachodzie wiatr się uspokoi i będzie można wiosłować.

- Dobrze - powiedział Benjamin cicho. - Ja... bardzo tęsknię za domem. Ravi przystanął i spojrzał uważnie na syna. Błada twarz chłopca zawsze była taka poważna.

- Ty wiesz... co się stało? Wiesz, że wielu ludzi już nigdy nie zobaczysz?
Benjamin uniósł wzrok, poruszał brodą, jakby coś gryźł.

- Ale chyba nikt ważny nie...? Nikt, kogo znałem bardzo dobrze? Ravi starał się ukryć wzruszenie, które wzbudziła w nim ta dziecinna postawa. Chłopiec zachowywał się, rzecz jasna, jak większość ludzi, stać go na uśmiech, dopóki nieszczęście dosięga w bezpiecznej odległości, nawet jeśli jego cień może padać także na jego życie.

- Nie - powiedział. - Nikt z naszych.

- To dobrze - westchnął Benjamin i zaczął gwizdać. Ravi nigdy przedtem nie słyszał, żeby chłopiec gwizdał.

A kiedy już przy wejściu na podwórze przepuścił syna przodem, stwierdził, że spodnie Benjamina jakby się skurczyły, barki też stały się szersze, ramiona pełniejsze.

Miał już trzynasty rok, ludzie jednak wiedzieli o jego chorobie, więc nikt się nie dziwił, że wciąż jeszcze bez zajęcia obija się we dworze rodziców i nie zajmuje niczym pożytecznym.

Benjamin przestał już być dzieckiem.

Ravi zmartwił się, że nie zauważył tego przedtem. Nie dokonało się to przecież w ciągu ostatniego, krótkiego lata.

Chłopiec przestał gwizdać.

- Mam ci jeszcze więcej do pokazania, tato. Chodźmy do drewni. Ravi poczuł ukłucie w sercu. Pamiętał, jak on sam znajdował spokój w tym starym budynku w czasie, kiedy po raz pierwszy zjawiał się w zagrodzie po niewłaściwej stronie fiordu.

Może to dziwne, ale nie pozwolił, by zmartwienie o zdrowie syna stłumiło dumę: świeżo odnaleziona radość Benjamina z tej umiejętności kształtowania drewna była jeszcze bardzo niepewna. Dostrzegał w niej siebie, bezpieczna i ładna strona jego natury została przekazana chłopcu i być może go przeżyje...

- Bardzo ładne - powiedział, obracając w palcach wyrzeźbioną głowę lalki.

- To dla Reiny - wyjaśnił chłopiec skrzepowany. - Ale może ona jest już za duża...

Ravi uśmiechnął się lekko.

- Widzisz, ona zawsze będzie twoją młodszą siostrą. I myślę, że nigdy nie będzie za duża na prezenty od ciebie. Benjamin skinął głową. Splunął po męsku.

- Może ją zostawić do czasu, aż będzie miała własne dzieci.

- Naturalnie - przyznał Ravi. - To będzie bardzo ładna lalka. I nie połamie się...

Benjamin przytaknął.

- Reina dostanie ją na Gwiazdkę. Muszę jeszcze zrobić nogi i ręce.

- Oczywiście. Ravi stał wyprostowany. Ale serce nie biło mu już tak niespokojnie.

Sprawiły to słowa Benjamin. Każdy ojciec syna dotkniętego taką chorobą martwiłby się, widząc, że młody wybiera życie z nożem i innymi ostrymi przedmiotami w rękach.

Widział, jak Benjamin obchodzi się z narzędziami, które pakował przed wyjazdem do skórzanej torby.

Ravi przymknął oczy i położył rękę na dłoni syna, czuł przez nią promieniowanie metalu.

Ale w krótkiej wizji, jaka nadeszła, nie było krwi. Odetchnął więc głęboko, z ulgą. Mimo wszystko jednak ich rozmowa nadal jakby zawisała w powietrzu, a słowa dzwoniły mu monotennie w uszach jak... kościelne dzwony.

Wrócił Bendik i zanim zdjął torbę podróżną z ramienia, usłyszał odpowiedź na najważniejsze pytania: Co u Johanny? Czy udało jej się powstrzymać zarazę? A jak Marja, Remmermann, Emmi, inni...?

Nie ustąpił, dopóki wszystkiego się nie dowiedział. Zresztą mógł sam wyczytać odpowiedź w twarzy zięcia. Nie, nikt z domowników nie zachorował. Tak, dziękuję, zaczyna się już chyba przejaśniać. Johanna naprawdę się nie oszczędzała, ale jest już lepiej. Ludzie są jej bardzo wdzięczni.

- A poza tym nic się nie wydarzyło? Udało się złapać tych przeklętych Cyganów, którzy przywlekli chorobę?

Z odpowiedzią na to pytanie Ravi długo zwlekał.

- Ja... nie bardzo wiem. Ludzie gadają, że od dawna nikt ich nie widział.

- W takim razie na pewno wrócili w góry - uznał Bendik. - W gruncie rzeczy to mi ich szkoda. Nic przecież nie mogą poradzić, że nie mają stałego miejsca na świecie, ani domu.

- Oni mają wozy i konie, tatusiu. Mieszkają w namiotach rozstawianych w zaroślach. To też jest rodzaj domu. Poza tym oni wszyscy to sami książęta i księżniczki. Marja tak mówiła, bo kiedyś był pewien król, który...

Reina szukała odpowiedniego słowa. Helena zobaczyła błysk w jej ciemnych, żywych oczach. Jak ta Reina szybko dorasta, pod wieloma względami jest doroślejsza niż Ingalill. Ale na szczęście bywa też małą dziewczynką, czasami przychodzą jej do

głowy takie głupie pomysły jak ta historia, którą teraz opowiada.

- Cygańskie legendy - skrzywił się Benjamin. - To po prostu głupstwa! Reina zapłonęła.

- Tak? To co w takim razie...

- Czy widziałaś kiedykolwiek drzewo, na którego gałęziach wiszą ludzie, dla postrachu? Czy spotkałaś kiedyś człowieka, którego ojcem jest osika? Musisz zrozumieć, Reino, że to po prostu bzdury.

Bendik starał się zachować powagę. Dyskusje siostry i brata niekiedy nabierały fantastycznego charakteru. Z zainteresowaniem czekał teraz, jak Reina wybrnie z sytuacji.

Dziewczynka wpiła spojrzenie w brata.

- A czy to, że człowiek został ulepiony z gliny, jest mniej dziwne? I to że można wyciąć zebro mężczyźnie i zrobić z niego kobietę?

Przy stole zrobiło się cicho. W końcu Helena zachichotała, zakrywając usta białą dłonią. Bendik też nie potrafił zachować powagi. Kręcił głową, jakby nie dowierzał.

- Naprawdę nadeszły inne czasy. Wiesz, Reino, że gdybym ja powiedział coś takiego w dzieciństwie, to skończylibyśmy w więzieniu, i ja, i moja... i moi rodzice.

Reina uśmiechała się zadowolona, że zwróciła na siebie uwagę.

- Ja mimo wszystko uważam, że Cyganie są zabawni. Wszyscy się z tym zgodzili, Helena podeszła do kuchni, żeby zamieszać w garnku.

Ravi już miał zapytać córkę, skąd o tym wie, ale Bendik pociągnął go na podwórze, żeby mu pokazać nowego konia. Był to solidny wałach, skóra błyszczała w słońcu, proste nogi wskazywały, że zwierzę udźwignie więcej niż jednego człowieka. Teraz wciąż było niespokojne po podróży łodzią. Bendik zaprowadził go do zagrody niedaleko przystani, gdzie rosła bardzo soczysta trawa o słonawym smaku, który wszystkie zwierzęta wyjątkowo lubią. Koń stał w cieniu i potrząsał głową. Dymiło mu z nozdrzy, oczy rozglądały się niespokojnie, ale najwyraźniej nie bał się obcych.

- No, nooo, dobrze już, dobrze. Chcemy tylko na ciebie spojrzeć, przyjacielu. Jesteś teraz dumą Bendika, wiesz o tym? Puszy się niczym kogut...

Ravi gadał cicho do zwierzęcia, nie ujął lejc, jak by to zrobił inny koniarz. Głaskał tylko zwierzę po szyi i przeczesywał palcami gęstą, szorstką grzywę. Wydawało się, że koń westchnął. W końcu zamrugnął i pochylił kark.

- Masz rękę do zwierząt, Ravi. Jak to mówią, do zwierząt i do kobiet najlepszą

rękę mają urodzeni w niedzielę. Urodziłeś się w niedzielę?

Ravi prychnął, przypominało to dźwięk, jaki przed chwilą wydał koń.

- Nie wiem. Ale chyba nie... Bendik zachichotał.

- A ja myślę, że tak. Wiem, że Johanna się nie skarży... a ona, jak wiesz, nie da się zadowolić byle czym.

Ravi wyczuwał nutę sympatii w tych żartobliwych słowach. Bendik kochał córkę ponad wszystko na świecie, łatwo to zauważyć. Oni dwaj jednak w ciągu wielu lat znajomości odbyli wiele różnych dyskusji. Wtedy, gdy Helena wróciła...

Obaj myśleli o tym samym, milczeli, ale nie odwrócili się od siebie nawzajem, obaj zanurzali ręce w końskiej grzywie. Zwierzę najwyraźniej bardzo to lubiło. Trwało to dłuższą chwilę, po czym wspólnie wiechciami ze słomy i zgrzebłem oczyścili konia i zaprowadzili go do stajni. Helena nałożyła już świeżego siana do żłobu, na dno wsypała kilka garści mąki. Na powitanie.

- Będziesz tu miał bardzo dobrze, mój stary - szepnął Ravi koniowi do ucha. Ten w odpowiedzi zarżał krótko. Ravi zdążył zauważyć, że musi on mieć ponad dziesięć lat, a nie sześć, jak wmówiono Bendikowi.

Ale przy dobrej opiece powinien być jeszcze długo wiernym pomocnikiem w najcięższych pracach. Nie wspomniał więc o tym, że na zębach wałach nie ma takich ciemnych plamek, charakterystycznych dla młodego zwierzęcia.

Pod wieczór Ravi zaczął się zbierać do drogi. Lubił wiosłować nocą. Dzieci też były już absolutnie gotowe, tylko parobek siedział pod słoneczną ścianą i rozkoszował się ostatnimi promieniami słońca oraz towarzystwem wychowanki Ranveig i Ivara, Veslemoy, która tego lata została już służącą u Heleny.

Pożegnał się z nią, kiedy Ravi polecił mu przygotować łódź, początkowo jednak wiosłował bez zapału, rozpryskiwał wodę twardymi uderzeniami. Ravi i Reina wymieniali porozumiewawcze spojrzenia. Z chłopaka dosłownie emanowała tęsknota.

- Zobaczysz, teraz będzie się często pływać do Meisterplassen - mruknął Ravi rozbawiony. - A nie znam nikogo, Nils, kto by tak szybko robił wiosłami jak ty.

Parobek uniósł lekko głowę, ale smutna mina pozostała. Dopiero nad ranem wiatr się zmienił i wiał im teraz w plecy. Nils mógł trochę odpocząć i już blisko domu uśmiechnął się do Raviego i powiedział:

- Niech tylko gospodarz powie, a ja natychmiast biorę wiosła i ruszam! Choćby i dziś!

Ravi roześmiał się. Zakochanie może dać człowiekowi siłę, jakiej nigdy poza

tym by z siebie nie wykrzesał.

Wiosłować do Meisterplassen to nie zabawa, nawet przy takiej pogodzie jak dzisiejsza. Trzeba się liczyć z ciężką pracą przez cały dzień, a nawet dwa, a już zimą to mało kto się do czegoś takiego pali. Ale innej drogi nie ma. Podróż przez góry jest jeszcze bardziej uciążliwa i wcale nie jest krótsza, zwłaszcza jeśli ma się spory bagaż.

Łódź to najwierniejszy pomocnik, myślał Ravi, chociaż on sam najchętniej poruszał się na własnych nogach. Jeszcze doznawał zawrotu głowy na myśl o stromych górskich ścianach, wznoszących się wysoko w niebo i jednocześnie schodzących głęboko w przepaść. Jak głęboko? Tego nikt nie wie. Ale czasami, ucepiony jakiejś skalnej półki, Ravi odczuwał, że go ta głębia, podobna do piekielnej otchłani, wciąga w siebie z przemożną siłą.

Johanna najlepiej czuła się na wodzie. Umie też pływać, jak się okazało. Ravi nie mógł się temu nadziwić, nie znał nikogo, komu by ten sposób obcowania z wodą dawał tyle radości.

Świetnie jest wykąpać się w rzece o płytkim dnie. Lubił, kiedy nurt oczyszczającej wody obmywał mu ciało, ale rozpryskiwać toń rękami i nogami i ufać, że podstępna woda fiordu utrzyma człowieka ponad głębiną, nie, nigdy by się na to nie odważył.

Kiedy mijali Nes, Reina wstała z miejsca.

- Patrzcie! Ktoś chodzi po polu Nedrejorden! Czy to nie mama? Ravi położył rękę na ramionach córki i zmusił ją, by usiadła.

- Dziecko, wypadniesz! Nie, to raczej Inger albo Ase. Dziewczynka roześmiała się radośnie.

- Nie, to mama! Na pewno! Patrzcie, bo zaraz zniknie nam z oczu! Łódź płynęła w dobrym tempie. Nils wiosłował teraz sam, bo od kiedy rozpięli mały żagiel, trudno było pracować we dwóch ludziom nie przyzwyczajonym do takiej współpracy.

Ravi wypatrywał, mrużąc oczy, ale drzewa poniżej Vildegard przesłoniły już kobietę. Reina uspokoiła się. Ujęła rękę Benjamina i mocno ją uścisnęła.

- Och, jak ja się cieszę... mama bardzo za nami tęskniła, wiem o tym. Ravi uznał, że nigdy jeszcze buzia córki nie była taka śliczna jak teraz, ciemne włosy wymykały się z grubego warkocza, targał je wiatr. Johanna będzie narzekać i wzdychać, zanim je znowu uporządkuje, pomyślał z czułością.

- Wiosłuj prędzej, Nils! Parobek nie był w humorze, więc nie odpowiedział, ale odrobinę zwiększył tempo i zasłużył na pełne uznanie spojrzenie Ravięgo. Nils to

naprawdę siłacz!

Magnus stał na dziedzińcu Flahamar i śledził wzrokiem ciemną łądz. To ludzie z Vildegard, nie inaczej. Czarna grzywa powiewa na wietrze, widać wyraźnie na tle białego żagla. A wiosłuje parobek Nils, pewno sam gospodarz jeździł do Meisterplassen po bachory.

Zagryzł wargi i poczuł ssanie w żołądku. Serce dudniło głośno; nadarzy się jeszcze okazja, a wtedy on na pewno jej nie przegapi.

Johanna obejmowała przybyłych po kolei, ale Ravięgo odrobinę dłużej niż dzieci. Poczł, że radość ze spotkania z dziećmi dodaje jej skrzydeł. Przyszła też Marja, ubrana wspaniale jak zawsze. Przyniosła koszyk pełen dojrzałych już jabłek, zebranych z młodych drzewek. Remmermann dźwigał skrzyneczkę ozdobioną chińską laka, a tak ciężką, jakby napełniono ją ołowiem.

Reina biegała po domu, zagładała w każdy kąt, zatręsała się na widok czarnej spalenizny w korytarzu, poblada słuchała krótkich wyjaśnień matki na temat pożaru. Zaraz jednak pobiegła dalej. Zauważyła, że półka nad stołem opustoszała, że mniej tam kubków i słoików z maściami. Ale u sufitu nad ogniem wisiały bukiety świeżo zebranych ziół i pachniały swojsko.

Jej łóżko w małym pokoiku wyglądało na rozkosznie wygodne. Ale nie pora teraz na sen, mimo że w nocy kołysanie lodzi nie pozwoliło jej zmrużyć oka.

Marja zachowywała się bardzo tajemniczo. Skrzynka stała przy drzwiach. Reina jednak nie miała odwagi zapytać ani nawet spoglądać w tamtą stronę. Po uśmiechu prababki poznawała, że nadchodzi czas powitalnych podarunków albo coś w tym rodzaju.

Na szczęście ona też miała prezenty.

Przy stole parobek Nils dostał dzisiaj honorowe miejsce u boku Ravięgo, zaproszono też służące. Wyjęto z szafy najlepszą zastawę, a oczy Johanny lśniły pięknym blaskiem.

Reina napotkała ich spojrzenie i wyczytała z twarzy matki pewną historię.

Nie trzeba było słów, by córka wyczuła echo wielkiego obciążenia, w jakim matka żyła ostatniego lata.

- Czy bardzo wielu umarło? - dopytywał się Benjamin, kiedy Johanna zakończyła krótką informację na temat zarazy.

Matka skinęła głową.

- Razem pięćdziesiąt cztery groby. Połowa to dzieci... tej zimy będzie w szkole

dużo miejsca...

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, czując, jak żałoba kładzie się cieniem na tym radosnym dniu. Marja długo tego nie wytrzymała.

- No, ale my powinniśmy raczej podziękować Bogu. Poza tym nikogo nie przywrócimy do życia. Z tej podróży się nie wraca.

Benjamin uśmiechnął się do niej. Marja jest wystarczająco stara, by powiedzieć to, co on także myśli. W końcu Marja wyciągnęła skrzynkę na środek.

- Przyszła mi ochota podarować wam parę drobiazgów - uśmiechnęła się kokieteryjnie. Remmermann siedział szeroko uśmiechnięty i patrzył, jak żona biega po pokoju z rękami pełnymi kosztowności.

Dzieci otwierały oczy ze zdumienia.

Benjamin dostał teleskop. Grube szklane soczewki zgrzytnęły o metal, gdy zaczął je nastawiać. Widocznie teleskop długo leżał nieużywany.

Reina krzyknęła uradowana swoim skarbem. Były to oprawione w srebro szmaragdy, które Marja nosiła przy bardzo uroczystych okazjach.

- Należały do Amelii - powiedziała Marja, ściskając rękę męża. - Pomyśleliśmy, że powinnaś dostać je teraz, żebyśmy jeszcze mogli mieć tę radość i dać ci je osobiście. Chyba o tym nie wiesz, ale twoja babcia nosiła je często...

Johanna patrzyła, jak Reina zakłada ciężki naszyjnik i przymierza pierścionek. Pasował na środkowy palec. Nagle Johanna przypomniała sobie, jakie jej matka miała maleńkie dłonie - małe i delikatne jak ptasie skrzydełka.

Zielone kamienie na szyi Reiny błyszcząły inaczej.

- Piękne - westchnęła Marja. - To ozdoba dla młodej dziewczyny. Może je nosić tylko ktoś bardzo młody albo wyjątkowo delikatna kobieta...

Johanna poczuła ukłucie w sercu. Ona nigdy nie była podobna do matki. Stary naszyjnik Amelii pasował do Reiny. Do jej oczu zielonych jak wody fiordu w wiosenny dzień.

- Bardzo dziękuję - szepnęła Reina. I nagle zbladła, złapała się za gardło. Może zrobiło jej się niedobrze po sutym posiłku i zmęczeniu nocną podróżą w łodzi. Dziewczynka jednak zamrugnęła parę razy i kolory wróciły na policzki.

Johanna wzięła ją na kolana.

- Jesteś zmęczona, moje dziecko. Może powinnaś trochę odpocząć? Dałam wam obojgu takie miękkie kołdry...

Benjamin natychmiast poszedł za radą matki, ale Reina wolała zostać i

przysłuchiwać się rozmowom dorosłych, choć senność przesłaniała jej i obrazy, i głosy.

Nigdy nie widziała babki Amelii, nie mieli żadnego portretu. Mimo to wyobrażała sobie szczerą, otwartą twarz, okoloną wieńcem złotych włosów. Wargi się poruszały, wypowiadały jakieś słowa. A oczy smutne, niebieskie. Nie jest podobna do mamy. Do prababki także nie. Miała jaśniejsze włosy i jaśniejszą skórę i była w niej taka ostrożna życzliwość, jakiej Reina nie dostrzegała u nikogo poza... poza...

Nie mogła sobie przypomnieć.

Kobieta z wizji była obca, a mimo to tak niezwykle bliska. Wkrótce poczuła mrowienie pod skórą, a głosy wokół ucichły, Reina zsunęła się z kolan Johannы.

Całkiem zapomniała o prezentach, które przywiozła! Benjamin pochrapywał za swoją zasłoną. Trzeba pewnie będzie poczekać, aż się obudzi, ale płonęła chęcią zobaczenia wyrazu twarzy matki, gdy jej da te piękne rzeczy.

Marja poklepała Reinę po ręce. Wymieniły z Johanną spojrzenia, po czym starsza pani powiedziała:

- Pewnego dnia dostaniesz coś dużo bardziej kosztownego, moja mała. Klejnot taki piękny i potężny, że ludzie umierali za to, by go mieć!

- Uff! - syknęła Johanna zirytowana. - Nie opowiadaj dziecku bajek, Marjo!

Tamta przechyliła głowę.

- Bajek? Ależ to jest szczerą prawdą, Johanno. Powinnaś o tym wiedzieć ty, która podobno przeczytałaś wszystkie książki Marii...

Johanna wpatrywała się w blat stołu. Klejnot kosztował życie. O, tak, w głębi duszy wierzyła, że kosztował życie Amelię. To bez sensu, żeby kobieta w tym wieku nagle zachodziła w ciążę, i to po dwudziestu latach bezpłodności. No i umarła. Johanna schowała nieszczęsną ozdobę głęboko, między pachnące lawendą woreczki i przybory do szycia Amelii, i najchętniej tam by ją zostawiła.

Marja spoglądała na wnuczkę.

- Okazujesz zbyt mało szacunku, Johanno - mruknęła. Johanna skrzywiła się.

- A może jest na odwrót, kochana babciu. Może to ty nie okazujesz szacunku.

To co słyszałam o tym klejnocie wskazuje, że wielu postradało przez niego rozum, przeżywali opętanie. Pochodzi on bowiem od czarownicy i wciąż trwa w nim zła siła. Czy pamiętasz Sopię, żonę karczmarza? Wiele osób oddało życie z powodu jej szaleństwa. Szaleństwa, które tylko ten naszyjnik mógł ukoić!

Reina pochyliła się nad stołem. To niezwykle podniecające...

- Od czarownicy? To prawda? Mamy naszyjnik, który należał do wiedźmy?

Marja była wzburzona. Słowa dosłownie gotowały się w niej. Ale im bardziej się starała żartobliwie wytłumaczyć sprawę dziecku, tym bardziej Johanna zaciskała wargi. Ravi, jakby z wyrzutem odwrócił głowę.

- Naszyjnik będzie pewnego dnia należał do ciebie. Tak ma być. Gdybyś mnie, Johanno, spytała o radę, to powiedziałabym, że powinno to nastąpić wkrótce! Dziewczyna jest przecież niemal dorosła...

Johanna wygładziła obrus, strząsnęła jakieś okruchy. Twarz jej poczerwieniała.

- Ja go dostałam w dniu ślubu, Marjo. I moja matka również. Już od dawna nie masz prawa rozporządzać tą starocią. Uważam, że powinnaś się powstrzymać od rozdawania biżuterii mojej matki!

Gniew w słowach Johanny nie przeraził Marji.

- To prawda, mam tylko takie prawo, jakie ty mi dałaś, Johanno. To przecież ty sama powiedziałaś, żebym wzięła szmaragdy wtedy...

- Wiem! Ty straciłaś... córkę i myślałam... myślałam... Marja podeszła do Johanny, jedwab jej sukni śpiewnie szeleścił przy każdym ruchu. Pochyliła się nad wnuczką i szeptała jej do ucha. Reina śledziła uważnie zachowanie obu kobiet, nagle pojawiły się jakieś nieporozumienia, których istnienia zawsze się domyślała.

Matka i prababka są takie różne.

A mimo to tak bardzo sobie bliskie i chyba też pod wieloma względami podobne. Zawsze kiedy dochodziło między nimi do wymiany zdań, widziała w oczach Marji prawdziwe ciepło. A mama też przecież nieraz wzdychała i dziękowała Bogu, że Marja istnieje. Była niczym opoka, niczym wielki szary gład, na którym zawsze, mimo upływu lat, można polegać, znaleźć w nim oparcie. I żadne problemy nie wydają się tak wielkie, by Marja nie potrafiła im zaradzić. Reina dobrze wiedziała, że wielkie znaczenie ma też srebro Marji. Ale nawet bez tego nie byłaby w stanie wyobrazić sobie prababki inaczej niż jako kobietę, która rządzi.

Niczym królowa.

Reina uśmiechnęła się.

Nie bez powodu o jej domu wszyscy mówią Zamek Marji!

- Mar jo - spytała przebiegle. - Czy ty, kiedy brałaś ślub... miałaś koronę na głowie?

Marja spojrzała na nią ponad głową Johanny i uśmiechnęła się.

- Nie, moja kochana. Miałam na sobie starą suknię z samodziałowego płótna... i we włosach polne kwiaty, jeśli się nie mylę.

Reina zamrugnęła. Słyszała już, że prababka była kiedyś biedną dziewczyną, ale nie potrafiła sobie tego wyobrazić.

- Opowiedz mi coś więcej - poprosiła szczerze. Oczy Marji zwilgotniały, z niezwykłą ostrożnością przyjmowała zapal dziewczynki.

- Kiedy indziej, kochanie. Gdy wieczory będą ciemne i zasiądziemy przy kominku... to opowiem ci o wielu moich przygodach.

Rozczarowanie Reiny zostało złagodzone przez cudowne uczucie podniecenia i oczekiwania. Niemal zaczęła się cieszyć, że chłodna pora nadejdzie wkrótce. Johanna wstała.

- Jest pewna sprawa, o której chciałabym z tobą porozmawiać, Marjo. Może mogłybyśmy posiedzieć chwilę w bibliotece...? To Reina będzie mogła się trochę przespać. Jutro musimy wstać wcześniej, wiesz o tym, trzeba iść na mszę!

- Ale przecież jeszcze daleko do wieczora - protestowała Reina niepewnie.

- Odpocznij, a na pewno nie będziesz żałować. Dziś wieczorem będziemy mieć gości, musisz być przytomna.

Reina umilkła. Patrzyła w ślad za dwiema kobietami, które zamknęły za sobą drzwi. W izbie zrobiło się cicho, słychać było tylko pochrapywania Benjamina. Służące poszły w pole z motykami i nosidłami.

Wymknęła się do swojej izdebki i ubrana opadła na miękkie, pachnące pościelone. Zamknęła oczy i natychmiast zasnęła.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Po raz pierwszy od jedenastu tygodni dzwony kościelne biły, nie obwieszczając pogrzebu ani dalszego rozprzestrzeniania się zarazy. Pierwsza normalna msza w kościele w Dale, od kiedy wczesnym latem wybuchła epidemia. Kościół wypełniony do ostatniego miejsca. Jak w święta Bożego Narodzenia, ludzie tłoczą się, opierają się sobie nawzajem na plecach.

Mimo to widać między nimi wyraźnie puste miejsca. Miejsca, które ktoś powinien zajmować, wprost krzyczą pustką, wywołując łzy w oczach zgromadzonych.

Nie ma w parafii człowieka nie pogrążonego w żałobie. Niektórzy utracili więcej, niż są w stanie znieść. Całe rodziny zmiecione z powierzchni ziemi. Spośród blisko trzydziściorga zmarłych dzieci połowa pochodziła ze wsi kościelnej. To łatwo

zauważyć. Tej jesieni i zimy komornicy nie odrobą swoich obowiązków. Właściciele ziemi stracili tych, dla których pracowali: spadkobierców, którzy pewnego dnia mieli przejąć majątki i korzystać z owoców ich trudu. Twarze kobiet postarzały się o kilka lat w ciągu tych paru miesięcy, ale one znosiły żalobę z tym samym upartym wzrokiem, z jakim w ogóle przyjmowały życie.

Wśród ludzi nie trzeba płakać.

Nie można sobie pozwolić na taką słabość. Zresztą pierwszy, najstraszniejszy ból już minął.

Pastor wypowiadał święte formułki zachrypłym głosem. On też nie wyglądał jeszcze na zdrowego.

Ludzie powtarzali półgłosem modlitwy, zagłębiali się w nie.

Z mętnych okien spływało na nich rozproszone światło.

Johanna czuła przez ubranie ciepło ciała Reiny. Sprawiało jej to przyjemność. Teraz, kiedy córka jest znowu w domu, wydaje się, że nic nie może ich już martwić.

Nawet ci ludzie, którzy otoczyli ją i Ravię kręgiem na kościelnym cmentarzu po nabożeństwie i dopytywali się, w jaki sposób Ravi zamierza dowieść swojej niewinności. Przecież można wyczuć obecność upiora między grubymi ścianami świątyni, zapewniali. Czyście nie zauważyli, jak tam jest zimno? I to po tyłu słonecznych dniach jak w tym roku!

Ravi patrzył im prosto w oczy i wiedział, że niektórzy traktują to bardzo poważnie.

- Dobrze rozumiem, że dla ciebie może to być dziwne, obcy - powiedziała jakaś kobieta gniewnie. - Ty nie pochodzisz stąd!

Umilkła i wypowiedziana przez nią wiekuista prawda jakby na chwilę zawisła ciężko w powietrzu. Ludzie przytakiwali, spoglądali podejrzliwie na Ravię.

Johanna miała wrażenie, że mąż kuli się pod ich wzrokiem.

Broń się, powtarzała sobie w myśli. Ona sama zmuszała się do milczenia. Ravi nigdy nie zdobędzie szacunku tych ludzi, jeśli jeszcze raz pozwoli, by baba gadała w jego imieniu.

- Nie bardzo rozumiem, co miałbym w ten sposób udowodnić - mruknął Ravi.

Kobieta o przenikliwym głosie ponownie ruszyła do ataku.

- Ty nie jesteś stąd! Dlatego nie rozumiesz! Ale moja babka opowiadała o Czarnym Monsie i myślę, że ty jesteś z tej samej gliny co on! To ciebie on ściga! Bo tylko ty możesz go znowu odesłać do grobu, gdzie będzie spoczywał w spokoju!

Zbliżył się pastor i teraz tłum odwrócił się ku niemu.

- Oni mają rację, Ravi Reinsson z Vildegard. Cóż my, prości ludzie, wiemy o tajemnicach Pana? Może taka jest właśnie jego wola, byś ty... przywróci! tamtemu starcowi spokój.

Ravi wpatrywał się z uporem w gębę proboszcza.

- Myślałem, że spokój duszy to raczej wasz obowiązek, panie Cimber. Tłum znowu się ożywił. No tak, tak, coś w tym jest, dobrze gada. Johanna miała ochotę bić brawo. Ale oto przed zgromadzonych wyszła gospodyni Thoriniussen z Kapteinsmoen.

- Dlaczego ty się tak wahasz, Reinsson? Co cię w tym wszystkim kosztuje tak wiele? Boisz się? Przeraża cię spędzenie jednej nocy w świętym domu? Czy może w tobie samym jest coś, co nie pozwala ci szukać spokoju w świątyni Pana?

Groźba w jej słowach była oczywista. Kobieta mówiła teraz niemal szeptem:

- Gadają, że jesteś poganinem, Ravi Reinsson. Gadają jeszcze gorsze rzeczy, że jesteś bluźniercą!

Wprost wypluwała z siebie te straszne słowa.

Johanna uznała, że trzeba coś z tym zrobić. Stoją oto przed tłumem ludzi na poświęconej ziemi niczym skazani przestępcy. Z całą godnością, na jaką mogła się teraz zdobyć, popchnęła Raviego w plecy, chcąc, by zaczął torować im drogę w tym ścisku. Serce z trudem pompowało krew w żyły, które nagle wydały się za ciasne. Przymknęła oczy, zaczynała ją boleć głowa.

To się nigdy nie skończy.

Oni nigdy nie uznają go za prawdziwego gospodarza i pełnoprawnego mieszkańca wsi. Starła się opanować wstyd, który w niej wzbierał.

Oni wciąż widzą w nim przygłupka, dorosłego mężczyznę, który bez celu jeździ po górach i lasach, zamiast polować. Kogoś, kto spędza czas na malowaniu obrazów, których nikt nie ogląda, i kogoś, kto nigdy nie weźmie do ręki ani motyki, ani siekiery, żeby popracować na polu czy w lesie. Nie, oni są przekonani, że sprowadziła sobie do domu lenia i byle kogo. O niej pewnie też dobrze nie myślą, jest przecież wiarołomną wdową po Erlendzie Storlendet. Wielu z nich uważa za sprawiedliwe, iż musiała swoje postępowanie okupić tak wielką częścią swego majątku, ponieważ wszystko wskazywało na to, że albo ona, albo ten jej dziwny kochanek przyczynili się do tajemniczej śmierci Erlenda.

Czy jeszcze ciągle wierzą, że to Ravi zamordował Erlenda? Tego nie

wiedziała. Sprawy nie wznowiono po powrocie Raviego, prawo bowiem mówi wyraźnie, iż nikt nie może być dwa razy skazany za to samo przestępstwo. Choć za pierwszym razem sąd był przekonany, iż oskarżony nie żyje. Dzięki temu uniknęli jeszcze gorszych przeżyć.

Ale od ludzkiego gadania, szeptów za plecami Johanna nigdy chyba się nie uwolni.

Próbowała wysoko podnosić głowę, przekonywać samą siebie, że jej po prostu zazdroszą.

Teraz wystawiała rozpalone policzki pod wiatr, powóz jechał bardzo szybko. Ravi uśmiechał się do niej blado ze swojego miejsca. Reina i Benjamin widzieli całe zajście, nie domyślali się jednak, o co chodzi. Wydawało im się, że to jedna z tych dyskusji po nabożeństwie, zanim ludzie rozejdą się do domów albo do karczmy, by jeszcze tam pogadać. Marja i Remmermann wracali swoją kariolką, służba miała wolne w świąteczny dzień, bo to ostatnia niedziela miesiąca.

Johanna zamrugała raz i drugi, pozwoliła, by chłodny wiatr wygładził jej zmarszczki na twarzy.

Obok siedzi Reina, wyprostowana i nie tylko urodziwa. Jest na dodatek mądra, czasem aż to matkę przeraża. Ile to dziecko ma zdrowego rozsądku, ile poczucia sprawiedliwości. Nawet Johannie wydaje się niekiedy zbyt bezkompromisowa. A przy tym potrafi być taka ciepła i troskliwa. Człowiek może być dumny z takiej córki.

I Benjamin, teraz już na wpół dorosły, też ma wspaniały charakter i zdolności. Tak dużo czyta. Powinien studiować, mógłby zostać, czym tylko zechce. Może profesorem. Uczonym. Teleskop, który dostał od Marji, natychmiast skierował ku gwiazdom...

No i Ravi. Mężczyzna, który po tylu latach jeszcze umie sprawić, że Johanna bawi się jak młoda dziewczyna, zapomina o wszelkich zmartwieniach i poddaje się całkowitemu szczęściu. Ile tych kobiet dostąpiło takiego błogosławieństwa?

Mają więc uzasadnione powody do zazdrości.

Johanna usiadła wygodniej i wchłaniała powiewy świeżego powietrza nadchodzącego od gór.

- Czuć już jesień w powietrzu! - zawołała do Benjamin. - Bardzo lubię jesień! Jesienią mogłabym uciec z tobą w góry, Ravi, gdybyś mnie o to poprosił! I wtedy moglibyśmy się przekonać, kto maluje lepiej, ty czy Pan Bóg.

Nikt nie odpowiedział, ale posyłali jej rozbawione spojrzenia, świadczące, że

cenia sobie wysoko jej umiejętność rozładowywania złego nastroju po bytności w kościele.

Ravi uśmiechnął się nawet bardzo szeroko.

Jesienią oni na pewno stąd wyjadą, przemknęło mu przez myśl.

Muszę zaraz znowu do nich pójść. Może dostanę odpowiedź na więcej pytań, muszę ich odwiedzić, zobaczyć, jak sobie dają radę... Ludzie - cienie, ukrywający się w górskiej kotlinie, potrzebują go bardziej, niż chcą wierzyć. Nie przeżyją surowej zimy, nie przywykli chyba zimować tak daleko na północy. Musi im doradzić, by wyruszyli w drogę przed pierwszymi śniegami. Musi przestrzec Tindir, żeby dobrze chroniła dzieci przed wilkami i niedźwiedziami.

Johanna pochyliła się ku niemu, oparła rękę na jego kolanie. Zapytała o coś, on mrugał zakłopotany.

- Prawda, kochanie? Pozwolimy jej spróbować! Skinął wolno. Reina rzuciła mu się na szyję i przytuliła, krzycząc z radości, a konie lekko zbiegały z ostatniego niewielkiego zbocza.

Zapytała właśnie matkę, czy jest już wystarczająco dorosła, by mogła przespacerować się do wsi w niedzielny wieczór razem ze służącymi, które pewnie mają swoich wielbicieli i chciałyby się trochę zabawić.

- Z tyloma nie rozmawiałam od tak dawna! Pewnie spotkam Halldis albo Britt!

Johanna kręciła głową.

- Chyba zapomniałam ci o tym powiedzieć, Reino, ale Halldis wyjechała.

Wróci nie wcześniej niż za miesiąc. Jest obiecana jakiemuś kawalerowi z Gudbrandsdalen, on się bardzo niecierpliwił... Bałam się, że Halldis przeniesie ze sobą zarazę, ale słyszeliśmy, że u nich wszystko w porządku. Jej matka przekazywała pozdrowienia. Muszę powiedzieć, że nie jest specjalnie dumna z córki, nie.

Reina przyglądała się matce, niczego nie rozumiejąc. W końcu jednak dotarła do niej ta niewiarygodna wiadomość, że przyjaciółka, ledwie dwa lata od niej starsza, uciekła z domu z chłopakiem...

- Głupia Halldis - rzekła skwaszona. - Tyle miałam jej do opowiedzenia... ja nigdy nie będę miała narzeczonego, mamó. W każdym razie nie wcześniej niż za tysiąc lat!

Johanna zauważyła, że Ravi poklepał córkę po szczupłym ramieniu.

- Bardzo dobrze, moje dziecko! Unikaj uwodzicieli przynajmniej jeszcze jakiś czas!

Benjamin uśmiechał się wyniośle. Reina to przecież jeszcze dzieciak, choć nieraz przeraża go swoim wyczuciem spraw i orientacją.

- Ale do wsi możesz iść, jeśli nasze dziewczyny cię zabiorą. Pamiętaj tylko, żeby trzymać się z dala od karczmy.

Obiecała solennie i rozpoczęła wielogodzinne czekanie na to, by służące zdjęły nareszcie ubrania, w których chodzą do obrządku, i znowu wyjęły niedzielne stroje.

Johanna i Ravi potem długo patrzyli w ślad za trzema dziewczynami, Reina sięgała dwóm pozostałym do ramienia. Podskakiwała i wierciła się między nimi, zniknęły za zakrętem, a rodzice wciąż słyszeli radosny śmiech.

Ravi westchnął.

- Nasza córka dorasta - powiedział. Po czym wziął żonę w ramiona. - Wiesz co, chętnie przeżyłbym jeszcze raz te wszystkie lata.

Johanna przyjrzała mu się uważnie. Przytulał ją tak mocno, że zaczynało jej brakować tchu.

- Nie mogłabyś... nie jesteśmy jeszcze za starzy... czy nie moglibyśmy... Nie.

Umilkł. Johanna wiedziała, o co mu chodzi. Nie chciała jednak podpowiedzieć mu właściwych słów.

Bardzo żałowała, że nie mają więcej dzieci. Recepty Marji okazały się i tym razem skuteczne. Ravi o tym wiedział, znał przecież rozkład jej... on pewnie też liczył i zauważał, że w pewnych okresach Johanna okazuje więcej zapału niż w innych...

Nigdy jednak nie przyszłoby jej do głowy pozbyć się tego, co już zostało poczęte.

Zapobieganie to coś zupełnie innego. Mimo wszystko mieszała swoje kwaskowate mikstury po kryjomu i piła, kiedy on nie widział.

I okazuje się, że on znowu pragnie dziecka!

Poczuła ciepło w sercu, ręce Ravięgo gładziły jej płaski brzuch.

Nigdy przedtem o tym nie wspominał, tak strasznie rozpaczał z powodu choroby Benjamina. Kiedy więc urodziła się Reina, taka cudownie zdrowa i pełna życia, postanowili spokojnie i bez słów, że się tym zadowolą.

Nie należy kusić losu.

Serce Johanny dygotało z przejęcia. Gdyby tylko dane jej było zachować tych dwoje, to nie będzie pragnąć więcej.

- To nieprawda - szepnęła Reina. Oczy miała wytrzeszczone, z całej siły

szturchnęła przyjaciółkę w bok.

- Powiedz, że kłamiesz! Mama mówiła, że ospa ustępuje! Mała siostrzyczka Britt mocno przygryzła język białymi przednimi ząbkami, które jej wyrosły w lecie. Britt zmarszczyła brwi i przegoniła dziecko.

- Powiedziałam ci to tylko dlatego, bo mama wspomniała, że ludzie z Vildegard pewnie z radością się o tym dowiedzą. Gospodarz Storlendet straci ostatniego dziedzica! I dobrze mu tak, skoro ukradł wam wasz majątek!

Reina stała jak porażona. Britt szturchnęła ją.

- Co tak zamilkłaś? Przestraszyłaś się? Mama mówi, że nie ma niebezpieczeństwa, dopóki nie będziemy rozmawiać z żołnierzami albo nie pójdziemy do Karlsgard.

Reina potrząsnęła głową.

- Nie! - jęknęła. - Nie, to nie może być prawda!

- Ale to jest prawda - upierała się Britt. - Arill zachorował wczoraj, wiem o tym bardzo dobrze, bo tata i wuj Aslag musieli tam iść w środku nocy i prawie nie mogli utrzymać Magnusa. On po prostu oszalał!

Britt traciła dech ze strachu i przejęcia, że jest pierwszą osobą, która mogła opowiedzieć Reinie tę potworną historię.

- Oni mówią, że kwiczał jak zarzynana świnia i że wypędził Idę z domu w samej koszuli.

Reina nie bardzo rozumiała:

- Ida... Koszula?

Ona miała w głowie tylko jedną myśl. Mama musi natychmiast pomóc Arillowi! Musi przestać gadać o tym, jaką to niesprawiedliwość jego ojciec im wyrządził. Arill to przecież tylko dziecko! I jeśli mama teraz pomoże Arillowi, to Magnus Storlendet tak się ucieszy, że odda im ich dwory!

- Muszę wracać do domu! - zawołała i pobiegła, nie pożegnawszy się nawet z przyjaciółkami, które tak długo na nią czekały. Nie dowiedziały się, jak Reina spędziła lato w zagrodzie kata.

No tak, ona zawsze była jakaś dziwna. Nie bawiła się z nimi, jeśli nie pozwalały jej o wszystkim decydować. I wciąż chciała się bawić tylko w szkołę, a nie w coś wesołego.

Wkrótce jednak o niej zapomniały, na drodze bowiem ukazały się dwie spacerujące damy, jedna to ta francuska hrabina, a druga Emmi, która mieszka w

Zamku Marji i nosi spodnie jak jaki chłop. Opłaca się iść za nimi. Bywa bardzo wesoło, kiedy te panie pokazują się we wsi. Idzie na przykład syn gospodarza z Vigdal, który uczy się w łacińskiej szkole, i teraz przemawia do pań w jakimś dziwnym języku.

Dziewczęta trzymały się wprawdzie na odległość, ale wchłaniały łączywie każdy wybuch śmiechu, lato bowiem było takie smutne, że aż trudno uwierzyć, iż dobiega końca.

Reina za nic się na to nie zgodzi! Nawet gdyby matka powtarzała odmowę dziesiątki razy.

- Musisz mu pomóc, mamó! Musisz! Johanna miała surową, prawie nieruchomą maskę na twarzy, tylko kąciki ust drgały.

- Nie, Reino, wiesz za mało na ten temat, żeby zabierać głos. Poza tym Magnus Storlendet nigdy by mnie nie poprosił o pomoc, nawet gdyby świat miał się zawalić...

- Skąd wiesz? Pytałaś go? Johanna westchnęła i uklękła obok córki. Ujęła małe zaciśnięte pięści, trzymała je mocno.

- Musisz zrozumieć jedno, Reino... Jeśli tam pójde, to sama znajde się w niebezpieczeństwie. Magnus Storlendet wyrządził nam wiele zła. I jeśli będzie miał okazję, wyrządzi jeszcze więcej...

- On się powinien ucieszyć. Tatusiu, czy ty byś się nie cieszył, gdyby cię uratował nawet twój największy nieprzyjaciel?

Ravi bezradnie milczał.

Johanna puściła ręce dziewczynki, jak martwe opadły na kolana.

- Ona jest za mała - szepnęła Johanna do Ravięgo. - Może ty spróbujesz jej to wytłumaczyć...

Ale on rozłożył ręce, nie wiedział, co powiedzieć.

- Ty mogłabyś go uratować, mamó! Tyłu uratowałaś tego lata, wszyscy to mówią! Dlaczego nie chcesz się zgodzić? Dlaczego?

Twarz Johanny powoli zmieniała barwę, robiła się szara.

- Reina - powiedziała matka ponuro. - Czy ty znasz tego chłopca?

Nieoczekiwana szorstkość i groźba w głosie matki ostrzegły Reine, że może nie być odwrotu.

- Nie - zaprzeczyła z uporem. - Ale on nic wam nie zrobił! Zamknięte twarze obojga rodziców przekonały ją, że niczego tu nie osiągnie. Postanowiła więc

porozmawiać z Marją. Ona zrozumie. Ona też jest zła na Magnusa Storlendet, lecz mimo to zrozumie. Johanna zatrzymała ją, kiedy zdejmowała płaszcz z oparcia krzesła.

- Zostaniesz w domu, Reino. Dostyc już biegania na dzisiejszy wieczór. Czas do łóżka. A jeśli to prawda, co mówisz, że chłopiec ze Storlendet zachorował na ospę, to chyba będziemy musieli znowu wysłać was do Meisterplassen. Bo może zaraza nie całkiem dała za wygraną...

Reina potrzęsnęła głową tak mocno, że brązowe loki opadały na policzki.

- Ale ja nie chcę - powiedziała z uporem. Ravi położył ręce na jej ramionach.

- Staraj się nie myśleć o tym za wiele. Przyjdzie taki dzień, że zrozumiesz.

Pewnego dnia.

Popatrzył na Johannę. Musimy jej wkrótce o wszystkim opowiedzieć, wyczytała w jego oczach.

Nie, nie, to przecież jeszcze dziecko. Nie zrozumie. Nie ma pojęcia, co uczucia mogą zrobić z człowiekiem. Będzie roztrząsać historię swoich rodziców. Z jej poczuciem sprawiedliwości... może osądzić nas bardzo surowo.

Johanna nie mówiła nic. Ból głowy się wzmaczał, był teraz rytmicznym, bolesnym, głośnym pulsowaniem.

Od dawna wiedziała, że głównie dlatego nie chce Reinie powiedzieć o przeszłości rodziców, bo się boi jej osądu.

A gdyby córka wiedziała o zamordowaniu Erlenda...

Johanna bała się, że ona by im tego nie wybaczyła ani nie znalazła niczego usprawiedliwiającego taki postępek. Bała się, że jest wiele spraw, z których nigdy nie będzie mogła się córce zwierzyć.

Przerażała ją też myśl, że Reina i tak kiedyś wszystko wyczyta z jej twarzy. Reina ustąpiła pod wpływem, surowego spojrzenia ojca. Jednak do późna słyszeli, że przewraca się na swoim pościeliu.

To już od dawna nie była kwestia wygranej czy przegranej. Ani nawet zimna gra, by zapewnić sobie zwycięstwo i pozwolić się rozkoszować upadkiem znienawidzonej baby.

Marzył o takim dniu, gdy zobaczy załamanie w tych przeklętych diabelskich oczach. Zobaczy, jak się wywracają i gasną pod ręką kata, może pod jego ręką...

Ravi ściągnął na niego przekleństwo. Powinien się był domyślać, że to jeszcze nie koniec. Powinien był dostrzec to tamtej nocy, kiedy diabeł go nawiedził i

próbował wciągnąć w swoje czarne sztuczki. On zdołał przegonić potwora, nie dał się podejść gadaniem o pojednaniu.

A mimo to tamten zdołał jakoś go omotać swoimi czarami.

Jeszcze raz rzucił na niego przekleństwo i tym razem trafił tego jedyne, który Magnusowi jeszcze został.

To, co utracił dotychczas, jest niczym wobec ostatniego nieszczęścia.

W jego głowie nie było już miejsca na inne myśli. Nie chciał sam oddać się we władanie szaleństwa i czekać końca.

Zanim mały Arill wyzionie ducha na swoim, tkniętym zarazą posłaniu, musi popłynąć krew Ravięgo Reinssona. Magnus nie ma już nic do stracenia, myśl ledwo czasem potrafi o to, jakie następstwa może mieć morderstwo. Co tam, ten obcy nie należy przecież do najznaczniej szych we wsi. Wielu uważa, że trzeba było go przepędzić na cztery wiatry, wyrwać niczym chwast tego samego dnia, gdy jego stopa stanęła na wiejskiej drodze.

Ale ten syn diabła dorastał i nieustannie tu powracał.

I ścigał za sobą wszelkie plagi, nieurodzaje, zarazy, śmierć!

Teraz jednak to już koniec.

Magnus Storlendet nie czuwał przy posłaniu swojego chorego synka.

Wsiadł na konia i jak szalony pognął do Storlendet, gdzie wpadł do starej kuźni. Od wielu lat nikt nie rozpałał ognia na okopconym palenisku. On teraz to zrobił, dał w miechy tak, że piszczały niczym dzikie ptaki.

Gdy gorąco w końcu rozgrzało kamienie do czerwoności, poszedł do izby i zdjął ze ściany dużą, srebrną łyżkę. Ciężyła mu w ręce, zobaczył, że wyryto na niej inicjały Antona z Wdowiego Dworu.

Zachichotał, podrapał srebro paznokciem, ukazała się smużka lśniącego metalu.

W porządku, w kuźni srebro odzyska blask. Nie będzie to już łyżka, ale popróbuje krwi.

Tym razem nie może popełnić błędu. Nie wolno nie doceniać tego szatana. Jeśli ogień się go nie ima, ani nóż, ani zaciśnięta pięść, to przecież wszyscy wiedzą, że kula ze srebra jest w stanie powalić każdy diabelski pomiot, więdźmy i wilkołaki też.

Ravi do nich należy, Magnus Storlendet już dawno się o tym przekonał.

Marja siedziała w altanie na głębokiej kanapie, czymś pośrednim między

wąskim łóżkiem a szeroką ławą. Od czasu do czasu spoglądała w stronę jasno świecącego słońca. Reina, Benjamin i Rikard świetnie się ze sobą czuli. Posunięty już w latach małżonek Marji nie miał nigdy szczęścia zostać ojcem, ale spędzane w Lyster lata znakomicie mu to wynagradzały. Cieszyło go przywożenie dzieciom najrozmaitszych książek. Teleskop też bardzo przypadł do gustu, czasami profesor wprawiał dzieci w zdumienie, pokazując im chemiczne sztuczki: potrafił czerwony płyn zmienić w niebieski i potrafił zmusić mały kawałek metalu do wytwarzania kłębow białej pary. Nawet Reina umknęła przestraszona, gdy pewnego dnia zmieszał podgrzane płyny z jakimś proszkiem i rozpętał w nocnych ciemnościach prawdziwą burzę z błyskawicami.

Dzisiaj najwyraźniej rozmawiali o czymś zupełnie innym. Reina rozrzuciła na białym obrusie mnóstwo roślin, a Remmermann wybierał niektóre i pokazywał jej, jak można odcinać z nich cieniutkie plasterki i potem oglądać uważnie pod silnie powiększającym szkłem.

Bardzo się też cieszyła, kiedy szklana soczewka skupiła promienie słońca na kawałku drewna tak, że zaczęło dymić.

Wtedy przyszła Johanna z Ravim.

Marja drgnęła i wołała do nich głośno po imieniu, żeby ostrzec męża. Na takie zabawy z dziećmi rodzice często patrzą niechętnym okiem.

Spojrzał na przybyłych i pomachał im na powitanie.

- Chodźcie, chodźcie, napijcie się z nami ponczu! Mamy też ciastka! Johanna uśmiechnęła się.

- Przecież to nie żadne święto, Marjo. Powszedni dzień. Babka skrzyżowała, jak to ona, ręce na piersi.

- A kto powiedział, że nie mogę pić ponczu i jeść ciasta w poniedziałek? Johanna roześmiała się, chętnie sięgnęła po kawałek ciasta z brązowym cukrem. Usiadła potem i oparła się wygodnie o kolumnę, która podtrzymywała wspaniałą altanę Marji.

- Widzę, że dzieci bawią się świetnie. Żeby go tylko za bardzo nie zmęczyły...

- Och, nie, on jest odporny, nic mu nie będzie - żartowała Marja. - Ale wy wyglądacie jakoś nietęgo, stało się coś?

Ravi chrząknął, on też wziął ciastko.

- Niewiele spaliśmy dzisiejszej nocy. Reina przyszła wczoraj do domu... okropnie się rozgniewała o to, że Johanna nie chce iść do Storlendet z lekarstwem dla

chorego chłopca.

- Chłopiec zachorował? Syn Magnusa? Johanna potwierdziła.

- Podobno to ospa. Oczywiście komendant wyrzuci go z koszar w obawie o żołnierzy.

Marja kiwała w zamyśleniu.

- No, tak, nietrudno to zrozumieć. Chłopiec jest w wieku Reiny. Chyba to sprawia, że ona się tak buntuje. Miałaś rację, Johanno, że wysłałaś ich na całe lato z domu. Tylu ludzi zmarło, ale oni jakoś to przyjęli do wiadomości. Dobrze, że nie widzieli, co się tu dzieje.

Johanna opadła na sofę obok Marji, Ravi usiadł po drugiej stronie, odsunął tylko jakieś poduszki, żeby zrobić sobie miejsce. Marja przełknęła ostatni kęs ciasta i popiła ponczem, a potem sięgnęła po fajkę i tytoń.

- Ach, a nam mimo wszystko powodzi się bardzo dobrze. Czy widziałaś, jakie piękne wiśnie będziemy mieć w tym roku, Johanno? Gałęzie uginają się pod ciężarem owoców. A jakie czerwone! W ostatnich dniach bardzo dojrzały.

Johanna wstała, uśmiechała się do Marji, ale nie mogła powstrzymać kaszlu, kiedy ogarnęła ich chmura tytoniowego dymu z rozgrzanej już fajki.

- Zerwę garść, to spróbujemy. Ravi spojrzał w oczy Marji. Długo nie odwracał wzroku, nauczył się wszystkich jej gestów, poznał wszelkie odcienie błękitu jej tęczywek.

Pogłaskał ją po rękę i stwierdził, że skóra jest jeszcze bardzo gładka, ale żyły zrobiły się wyraźniejsze i pod koronkowymi mankietami pojawiły się brązowe plamki.

Widzieli, jak w ogrodzie Johanna wspina się na pałce, żeby zerwać dojrzałe owoce, wiszące najwyżej na niewielkich drzewkach, najbliższej słońca.

Żadne nie zauważyło skradającego się za domem mężczyzny, który nieoczekiwanie pojawił się przed nimi.

Ciemny otwór lufy był, niczym złe oko, wycelowany prosto w twarz Ravięgo, potem przesunął się nieco niżej, Ravi wiedział, że z tej odległości Magnus na pewno nie chybi.

Widział, jak palec napina się na spuście. Była to strzelba starego typu, długo musiała leżeć gdzieś w ukryciu. Ravi zdążył jeszcze pomyśleć, że gdyby odległość była trzy lub cztery razy większa, to Magnus nigdy by nie zdołał dokładnie wycelować.

Słyszał trzask spustu, głucho uderzenie, a potem rozległy się krzyki.

Przeżony głównie tym, że wszystko odczuwa, spostrzegł, że ręce zalewa mu strumień ciepłej krwi.

Z jeszcze większym zdumieniem słyszał własny głos, wzywający Johannę.

Odwróciła się w sekundę po strzale i usłyszała, że jej imię pojawiło się na wargach Ravięgo, zanim jeszcze on zdołał wyposażyć je w dźwięk.

Pobiegła do altany, widziała, że dzieci leżą na ziemi i osłania je wielkie ciało Remmermanna. Widziała, jak Remmermann się podnosi i też zaczyna biec. Dobięł wcześniej niż ona i spadł na Magnusa Storlendet z taką siłą, że ten rosły chłop runął całym ciężarem na ziemię. Broń zdążył już od siebie odrzucić.

Ona wciąż biegła i krzyczała, widziała, że krew zalewa koszulę Ravięgo, na jasnożółtych poduszkach rozkwitły czerwone wzory. Marja leżała na piersiach Ravięgo, wyglądało to tak, jakby obejmowała go mocno, jakby za wszelką cenę chciała go utrzymać przy życiu...

Dopiero kiedy była już tak blisko, że mogła ich dotknąć, Johanna zobaczyła otwór po kuli. Wyglądał jak wielki, czarny krater, strzępy tkaniny sterczały po brzegach, a krew wypływała rytmicznie jakby pompowana.

Kula przeszła przez gęsty jedwab sukni Marji i prawdopodobnie trafiła prosto w serce.

Podszedł Remmermann, Storlendet leżał spokojnie na trawie, unieszkodliwiony metalowym prętem, który trafił go w skroń.

Rikard ostrożnie wsunął rękę między oba ciała, Ravi głośno chwycił powietrze, widocznie wciąż do niego nie dotarło, że to nie on został trafiony. Bezwładne ciało Marji osunęło się na sofę, na której dopiero co siedziała i śmiała się.

- Ona nie żyje - powiedział Rikard Remmermann. Ravi szukał jakiegoś oparcia dla stóp, po chwili wstał.

Koszulę miał przesiąkniętą ciemną krwią. Uniósł rękę i przyglądał się jej. Szloch dużego profesora brzmiał żałośnie i bardzo cicho. Johanna wyszeptwała:

- Dzieci, o mój Boże, dzieci... Ale się nie ruszyła. Słyszała ich płacz, przerażenie. Siedzieli oboje przytuleni do siebie tam, gdzie Remmermann ich zostawił. Widzieli jednak każdy ruch, każdą oznakę szoku w twarzach dorosłych.

- Ona nie żyje - powtórzył Remmermann i wypuścił ciało Marji z objęć. Tupnął głośno w zakrwawioną podłogę i szarpnął Johannę za ramię.

- Ona nie żyje, nie żyje! Czy wy tego nie rozumiecie, ona nie żyje! Johanna

chciała przytaknąć, chciała mu odpowiedzieć, wiedziała przecież, że to prawda. Ale nie była w stanie wydać z siebie żadnego dźwięku. Żeby chociaż mogła mrugać, to wtedy ten straszny widok z pewnością rozplątałby się jak zły sen.

- Ona mnie zasłoniła, ta kula nie była przeznaczona dla niej. To ja miałem ją dostać, on chciał zabić mnie.

Johanna słyszała te słowa powtarzane przez Raviego tyle razy, że nie próbowała już nic mówić.

Ravi nie dawał się pocieszyć. Nie pomogło nawet to, że Remmermann ujął jego rękę i serdecznie uściskał, ani to, że stary człowiek objął go, mocno przytulił do siebie i gorzko płakał na jego ramieniu.

- Nikt nie ma do ciebie pretensji - powiedziała Johanna. - Nic nie mogłeś na to poradzić, że ona... stanęła na drodze...

Kiedy ciało wnoszono do domu, Ravi wpił w Johannę wzrok i rzekł:

- Poniosłaś jeszcze jedną stratę z mojego powodu. Twoja ukochana babcia...

Nie miało to najmniejszego sensu, Johanna wiedziała jednak, że on musi zanurzyć się cały w poczuciu winy, utonąć w nim, zanim będzie w stanie znowu wypłynąć na powierzchnię i nabrać w płuca świeżego powietrza.

Reina była w szoku, nie wykrztusiła ani słowa, wciąż tylko szlochała i krzyczała zrozpaczona, aż zupełnie straciła głos, wtedy pozwoliła Benjaminowi zaprowadzić się do studni, gdzie delikatnie obmył jej zapłakaną twarz.

Johanna, Emmi i Diana stały nad zwłokami Marji i też nie miały sobie nic do powiedzenia. W milczeniu zaczęły zdejmować z niej piękną suknię. Strumień krwi ustał już dawno. Twarz się powoli wygładzała, głaskały ją, zamknęły jej uszminkowane usta, które otworzyła jakby w niemym krzyku.

Powieki sama mocno zacisnęła w chwili śmierci.

Johannę przeniknął dreszcz. Co ona wtedy zobaczyła?

Zapalono świece na dużym stole w hallu, który teraz służył jako przygotowalnią zmarłej.

Zimna woda usunęła resztki zakrzepłej krwi. Rana na martwym ciele zamknęła się sama z siebie, nie wyglądała już tak strasznie, kiedy wszystko stężało.

Johanna wyciągnęła palec i nie wiadomo dlaczego zaczęła głaskać zniszczoną skórę.

Emmi płakała bezgłośnie, Diana wzdychała raz po raz boleśnie.

Johanna poszła po białą suknię, wiedziała, że Marja właśnie tę by wybrała na

taką okazję.

- Zamknęli go w domu wariatów. Ludzie pisarza przyszli dzisiaj, ale nie dowiedzieli się niczego. Profesor dał mu porządnego kopniaka, widocznie wykopał mu ze łba resztki rozumu!

Parobek, zataczając się, pobiegł przez dziedziniec, żeby swoją nowinę przekazywać dalej głosem, w którym obok pragnienia sensacji słyhać też było szczere przerażenie.

Ravi nie czekał na nic więcej. Widział, jak mężczyźni z najbliższych zagród przybiegli w pośpiechu, żeby włożyć nieprzytomnego Magnusa Storlandet na furę. Tym, co się potem stało, nie zamierzał się przejmować.

- Zrobiło się późno, Severinie. Weź sobie coś do jedzenia.

- Ale... ale chyba będzie nocne czuwanie?

- Nie dzisiaj - odpowiedział Ravi zmęczony. - Sam chyba rozumiesz. Nie dzisiaj.

Parobek wycofał się. Krewni chcą chyba mieć spokój, na pewno tej nocy wokół Zamku Marji będą się palić światła.

Ravi wrócił do wielkiego hallu, jego kroki odbijały się głośno na kamiennej posadzce. Teraz ją przeniesiono, leżała na swoim miękkim łóżku na piętrze. Remmermann nie przejmował się tym, że trumnę też trzeba będzie tam wnieść, a potem znieść schodami na dół.

- Nie będzie leżała na twardym stole - oznajmił krótko i nikt nie znalazł powodu, by protestować.

Johanna bardzo długo siedziała sama, a łzy spływały jej po twarzy, na szyję i na piersi. Góra sukni całkiem przemokła, niebieski materiał zrobił się prawie czarny od wilgoci.

W zakrwawionej, zaciśniętej dłoni trzymała srebrną kulę.

Sama nie wiedziała, dlaczego chciała ją znaleźć, dlaczego oślepią łzami wyjęła piękne instrumenty przywiezione z instytutu Crugera, które tyle razy ratowały żywych ludzi.

Teraz to nie miało sensu.

Ale wciąż zaciskała palce na chłodnym kawałku metalu i uparcie trzymała się myśli, że jeśli istnieje w niebie jakaś sprawiedliwość, to wkrótce ostatni, w którym płynie krew Storlandet, będzie tak samo martwy i czarny jak plamy na tym przeklętym srebrze. Może wtedy będzie mogła dostrzec choć odrobinę sensu w tym, że Marja

została złożona w ofierze. I w tej wielkiej wdzięczności dla niej, jaką teraz odczuwała.

- To po prostu tragedia. Dla nas to prawdziwa tragedia. Emmi spojrzała na Dianę i wiedziała, że kobieta chyba nie bardzo rozumie jaki ciężar zawierają te bezradne słowa. Marja nie żyje. Już samo to trudno pojąć. Wydawała się zawsze taka żywotna, jakby nikt ani nic nie mogło jej dotknąć, nigdy nie widywano jej chorej czy słabej.

A teraz nie żyje.

Pastor powiedział, że przeżyła długie życie. Wiedzieli, że w jakimś sensie ma rację. Ale mówił, jakby chodziło o jakąkolwiek starą kobietą, która dożyła swoich dni. A to nie tak. Lata Marji nie mają tu nic do rzeczy.

Ona po prostu była. Żyła. Bawiła się życiem, jakby nigdy nie przekroczyła siedemnastu lat.

A potem przyszedł koniec niby pierwszy przymrozek. Magnus Storlendet ją zastrzelił. Bez słowa. Bez wyjaśnienia. Ścigał Raviego, opętany myślą, że malarz rzucił na niego przekleństwo.

Szaleństwo.

Został zamknięty w domu wariatów, a jeśli w tym, co ludzie mówią, jest trochę prawdy, to nigdy stamtąd nie wyjdzie.

Na pogrzebie stali w gromadce wszyscy, którym była droga. Chcieli być jak najbliżej siebie i otoczyć szczelnie piękną trumnę, żeby ją chronić przed złymi spojrzeniami.

Ogłosili, że nie będzie żadnej stypy w Zamku Marji. Ona miałaby im to może za złe, ale mogą przecież zorganizować przyjęcie ku jej czci w innym miejscu, gdzie nie będzie tych ciekawych chłopów i ich bab.

Remmermann zaraz po wypadku oznajmił, że zamierza wrócić po pogrzebie do Kopenhagi.

Emmi chciała mu towarzyszyć, Diana również.

Teraz obie kobiety siedziały w hallu, gdzie złożono ich kufry podróżne i worki. Dom był pusty. Nie wyniesiono niczego prócz rzeczy wyjeżdżających. Nawet najmniejsza serwetka nie zmieniła miejsca.

Johanna otrzymała papiery, w których Remmermann zrzekł się swojej części majątku po zmarłej żonie.

Nic nie pomogły prośby ani przysięgi Johanny, że ona nigdy nie przeprowadzi

się do wspaniałego domu babki.

- W takim razie przyjedziemy na przyszłe lato - obiecała Emmi. - Nic już nie będzie takie jak dawniej, ale bardzo bym chciała przyjechać...

- Oczywiście - obiecała Johanna. - Dom jest do twojej dyspozycji. Zadbam, żeby wszystko było przygotowane na twój przyjazd. Ale ja sama... moja noga tam nie postanie. Póki życia...

Zapamiętały pełne goryczy słowa Johanny, ale ich nie rozumiały. Diana spojrzała na Emmi.

- Ja bym myślała, że będzie jej łatwiej żyć pośród rzeczy Marji. Że mając to wszystko przed oczyma, będzie też pamiętać o wesołych chwilach spędzonych w Zamku Marji.

Mała kobieta podkurczyła swoim zwyczajem nogi i wpatrywała się w mdły płomyk świeżo zapalanej lampy.

- Johanna odnajdzie swoją drogę. Wszyscy odnajdziemy, moja droga. Nie musimy wyrażać żalu tak samo, by cierpieć równie mocno.

- Nikt nie cierpi bardziej niż Johanna - przytaknęła Diana. Emmi przymknęła oczy.

Myślała o małej, o wszystkich planach, jakie Marja snuła w związku z nią. O Reinie, która miała tyle odziedziczyć. Więcej niż Johanna w ogóle była w stanie sobie wyobrazić. Teraz nic z tego nie będzie.